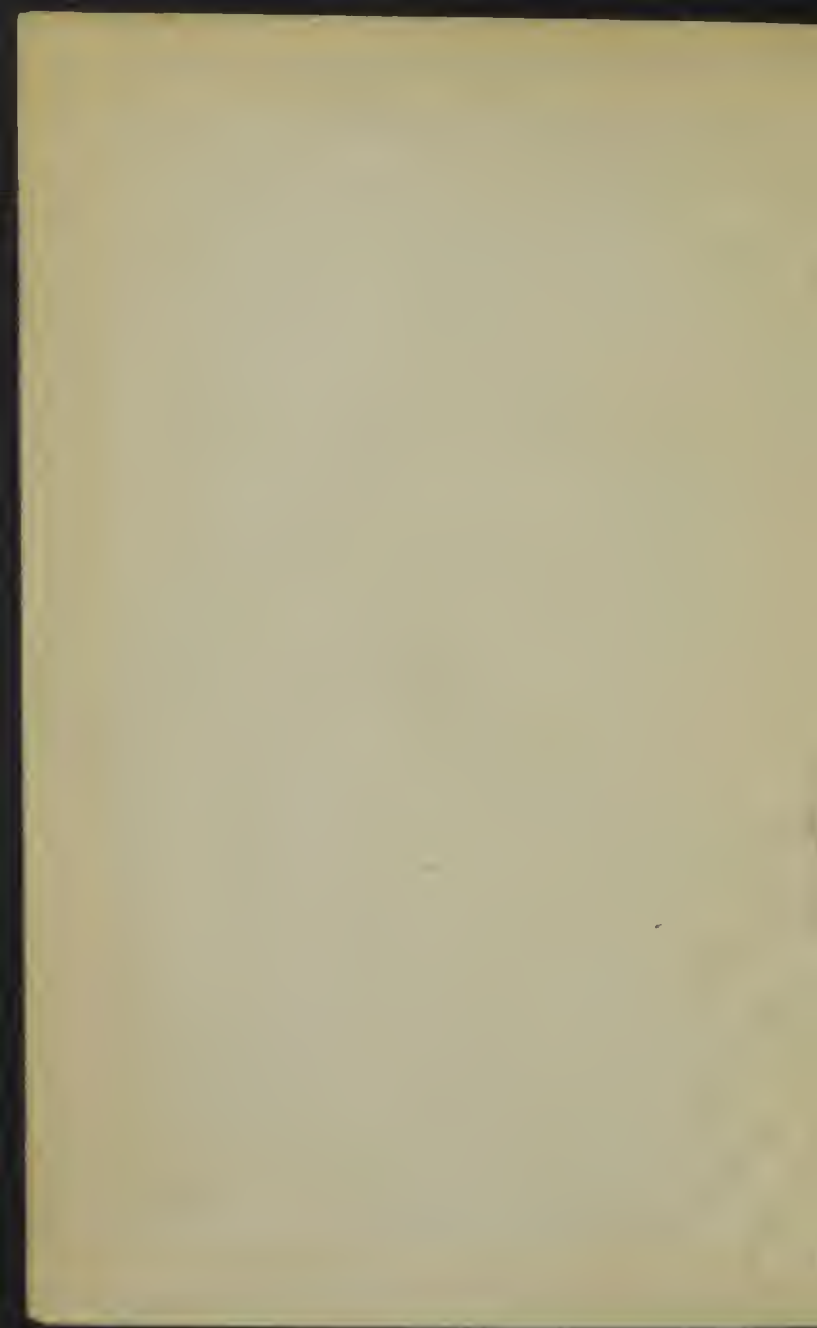


KRÓLEWSCY SYNOWIE.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VI.

KRÓLEWSCY SYNOWIE.

Powieść

z czasów Władysława Hermana
i Krzywoustego.

Tom I.

Boleslae, Boleslae Dux gloriosissime
...defendis tuam terram quam studiosissime...

Pieśń obozowa niemiecka.
Gallus.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

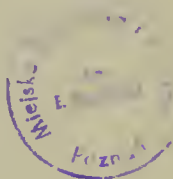
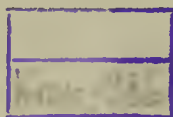
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

1900 3 26

KORNELOWI UJEJSKIEMU

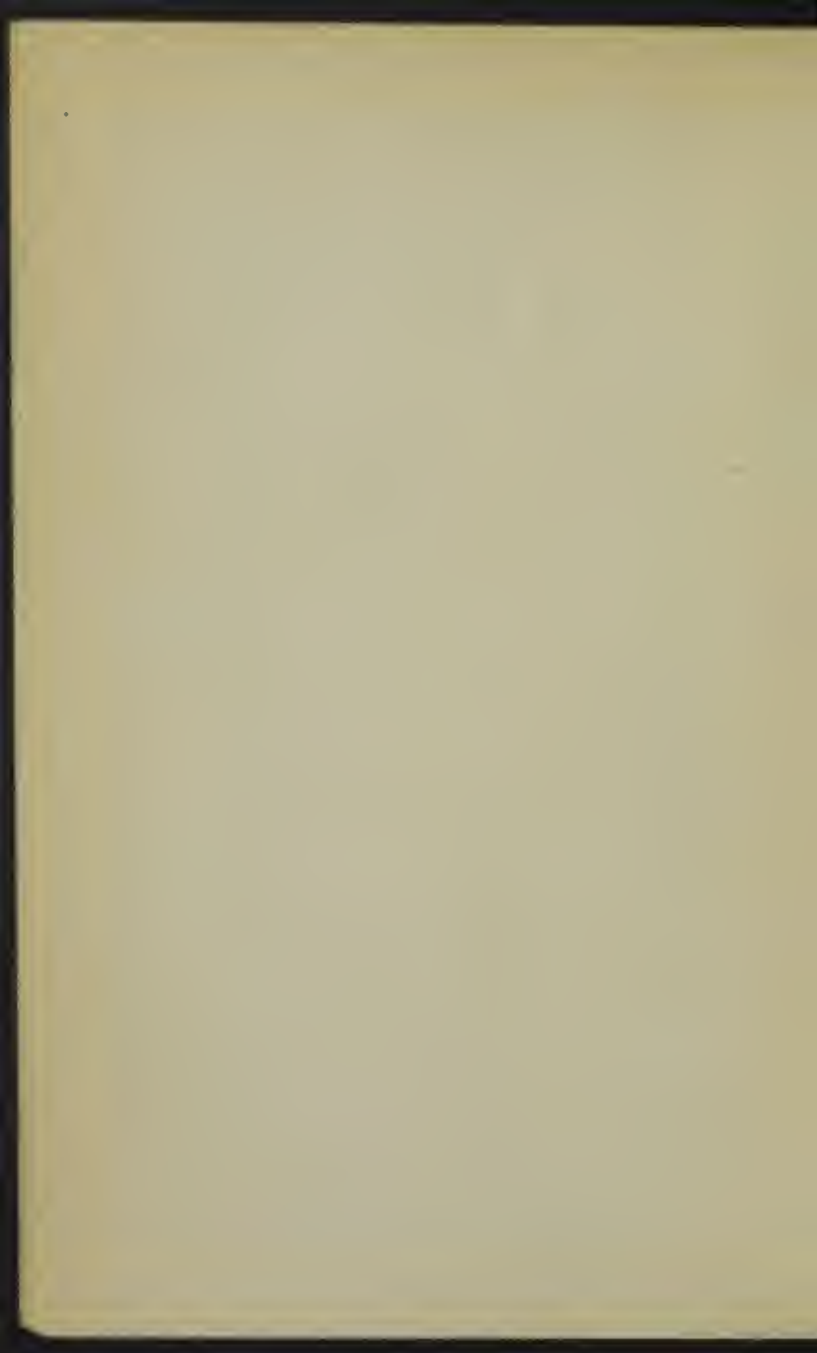
jako upominek przyjaźni, ten grosz wdowi

przesyła

AUTOR.

Drezno.

22. kwietnia 1877.



I.

Słońce zachodziło za lasy złocące niebios. które się gorzeć zdawały, tam nawet gdzie błędy jego blaski, lazur się mienił w barwę ołowianą, jaką po skwarach przybiera. Wieczór był duszny, najmniejszego ruchu w powietrzu. Na starych drzewach, które cichy klasztor otaczały, liście wisiały jakby powiędłe od gorąca. Co żyło szukało cienia, a w nim spoczynku i orzeźwienia. Niebo bez chmurki nie zapowiadało zmiany.

W klasztorze i po za tynem, który opasywał jego podwórza, cisza panowała głucha; niekiedy szmer, jakby powolnego, znużonego chodu ludzkiego przerywał ją na krótką chwilę i ginął gdzieś w dali.

Ukośne promienie słońca, zabarwione gorąco, padały na czoło małego kościółka, na mury i ścia-

ny klasztorne, silnemi cieniami oznaczając każde wgłębienie, gżéms, kamień, zarysowaną powłokę.

Jak pustka wyglądały teraz te budowy ze drzwiami pozamykanemi, z pozasuwanemi oknami, około których ani człowiek, ani zwierz, ani nawet mała ptaszyna nigdzie się nie pokazywała. Wszystko co żyło chroniło się w mury, czekało aż wieczór odżywi powietrze rosą, a noc świeżość z sobą przyniesie.

Był to rok posuchy, na polach zboża pożółkły przed czasem, samotnie stojące drzewa miały już spalone liście, w rzekach resztki wód, jakby wstrzymane w biegu, drzémały i okrywały się pleśnią; strumienie w obniżonych łożyskach jeżyły się oschleni kamieniami, w studniach brakło wody, trzęsawiska wśród lasów gorzały; gdzie-niegdzie bory zażegniete przez pastuszków paliły się luny szerokimi, czerwieniąc niebo po nocach.

Powietrze przejęte było tą zgorzelizną błót i lasów, i jakby od dymu skwaśniałe.

Klasztor stojący wśród puszczy niedawno prze-trzebionych, choć na owe czasy rozległy, wspa-niałej nie miał powierzchowności. Znać na nim było i trudność budowania i pośpiech może i małą troskę o kształty jego zewnętrzne. Kościół się nie wiele nad nim podnosił, a w skronnój wieżycze jego zaledwie para z blachy kutych dzwonów wi-siała. Mury z których się składały budowy, były z kamieni polnych grubo i nie bardzo foremnie

polepione. Część budowli do nich przytykająca z drewnianych brysów zaledwie ociosanych złożona, ciemniejszą barwą odbijała od ścian kamiennych.

Obok tych gmachów, dość rozległych a niepozornych, znać jednak było w podwórcach i ogrodach przytykających, troskliwą rękę, która koło nich chodziła. Bujnie tu rosły posadzone krzewy, którym dostarczano wody ze studni, jak świadczyły leżące na ziemi korytka; nieznanie pod północnym niebem rośliny kwitły tu i rozwijały się na podziw bujno i pięknie.

Na wbitych w ziemię kołach obwijały się latorośle winne, między których liśćmi już ciemne grona się zatarbowały; na grzędach rozścielały się ziola, wonią aromatyczną napelniające powietrze. Tuż około studni z której ożywece na sad rozlewały się wody, wysoki krzyż drewniany ze znakami męki pańskiej zdawał się błogosławić źródło. U stóp jego na tablicy głoskami wielkimi stał napis:

Tu es fons et vita.

(Tyś jest źródłem i życiem.)

Wpółśród sadu na pochyłości wzgórza ku południowi zwróconej założonego, ręka co trzebiła las tam niegdyś rosnący, pozostawiła kilka starych drzew rozłożystych, ocieniających szerokie przestrzenie, zieloną okryte murawą.

Pod kilką z nich stały ule z pszczolami, pod

innemi leżały kamienie dla spoczynku, lecz teraz ani pszczoł około ulów, ni ludzi na siedzeniach widać nie było.

W rogu sadu, gdzie kilka razem skupionych starych lip zostało, a krzaki pod niemi promieni słońca nie dopnszczały, przyparty do parkanu był daszek słomą okryty, a pod nim ława leżała z jednego kłosa drzewa.

Dwóch ludzi ukrytych siedziało tu w mileczynie. Oba odziani byli w suknie czarne, braciszków klasztornych odznaczające; nie mieli jednak ani kapturków, ni zwierznieli sukni kapłańskich. Oba młodzi byli, a choć ubiorem nie różnili się od siebie, najmnieję wprawne oko masiało w nich dojrzeć, jeśli nie stanu różnicy to charakterów i usposobienia.

Jeden z nich siedział w rogu lawy. sparty na rękach, które na kolanach trzymał jak wbite: drugi patrzący nań z rodzajem obawy i podziwienia, nieco opodal się umieścił i z oka go nie spuszczał. W rysach twarzy jego malowała się zarazem litość, podziwienie i trwoga. Ten drugi twarz miał łagodnego wyrazu, bladą, oczy niebieskie, włos jasny krótko postrzyżony, ciało wątłe i delikatne, ręce male. Suknia czarna, zbyt dłań obszerna, w szerokich a grubych fałdach opadła na wychudzonych jego ramionach, pas którym był ściśnięty, osnwał się i zdawał rozpnszczać.

Ten na którego on patrzył, jak gdyby tylko co mówić poprzestał, a ostatniemi słowy brwogł napełnił towarzysza — mimo sukni zakonnej, nie miał mnicha pozoru. Odzież, którą miał na sobie zdawała się dlań za ciasną, wyszarzaną była jakby obchodzeniem się z nią niedbałym i dzikiem; w kilku miejscach widać było na niej dzinry jakby galeźmi wyszarpane, plamy od tłuszczu i kurzawy która przylgnęła do niego. Twarz i postać cała stan ten sukni tłumaczyły. Mężczyzna był zaledwie zmężniały, bujno się jeszcze rozrastający, na wojownika może bardziej stworzony niż na spokojnego mnicha. Ręce wystające z rękawów silne były i do dźwigania miecza lub siekiery jakby ulane; kark obnażony, ogorzały, ponad kołnierz wychodzący, nadawał głowie charakter zwierzęcej siły jakiegoś. Wyrazistszą jeszcze nad te kształty była głowa sama z długą i wielką twarzą bladą, która miała w sobie coś dzikiego. Ponad nią obcięty włos jeżył się twardy i poplątany.

Mimo wieku młodego oblicze było prawie stare, zbladłe, żółtkłe i patrzące srogo a szydersko. Rysy jego nie piękne, wyciosane grubo a twardo, odpychały dumą i jakby złością tłumioną, trawiącą wewnątrz człowieka. Szerokie dosyć usta warg nie miały prawie, jednym wązkim pasem przecinając policzki. Nad oczami brwi zmarszczone, pofałdowane, ruchome wisały jakby je

myśl jakaś sięgnęła gniewu. Z bladych oczów patzących bystro, grozę tylko tłumionej złości można było wyczytać.

Z pod sukni nogi wysunięte w chodakach zaniedbanych i okurzonych, tak silnie wryły się w ziemię, jakby je w nią gniew jakiś i miotańie się wkopało. Na całym też młodzieńcu widać było wyraz buntowniczy, bezsilnego uporu.

Milezeli tak, dwaj pod daszkiem siedzący dosyć długo; ostatnie promienie słońca zapadały za lasy, a ogród okrywał się pół mrokiem zwiastującym chłód wieczorny.

— Wracajmy do celi — rzekł w końcu cicho, bojaźliwie niemal młodszy brat siedzący na rogu ławy.

Zadumany smutnie młodzian odwrócił ku mówiącemu głowę, i potrząsnął nią tylko na znak, że tego uczynić nie myśli.

Po niejakiem czasie, znowu cicho powtórzył towarzysz toż samo żądanie. Usłyszawszy je jakby gniewem zatrząsł się słuchający i nagle zwracając się cały do mówiącego, zawołał:

— Nie chcę! dosyć się w niej nasiedzę... Dusi mnie ta cela wasza, zdaje mi się w niej żem w trumnie.

— Ojciec przełożony gniewać się będzie -- szepnął drugi oczy spuszczać.

Uśmiech przebiegł po ustach niecierpliwego

młodzieniec, który zadrżał i twarz na chwilę ukrył w dłoniach.

— Bracie Aleksy, ozwał się łagodnym głosem drugi — bracie Aleksy, jużby wam czas było z tem się położeniem oswoić a o dawném zapomnieć. Co być nie może, tego się daremnie spodziewając człowiek dręczy tylko... Trzeba się poddać...

— Tak! tak! dziwnym bełkotliwym głosem wybuchnął brat Aleksy, w którym czuć było razem złość i szyderstwo — chcecie, to wam powiem to co wy mnie mieliście mówić?? Rozum mieć trzeba, rezygnację mieć należy, głowę skłonić, całować rękę co chłoszcze, miłeżać. uśmiechać się, jakby to było szczęściem co jest karą i tyranstwem... Hę??

— A tak, tak! potwierdził młody, który słuchał z trochę podziwienią — wyrwaliście to mi z ust. A czemuż nie czynicie tego co tak dobrze znacie??

— Bo, nie mogę — zawołał brat Aleksy — bo nie jestem bratem Aleksym, tak jak wy jesteście bratem Łukaszem, ale księciem jestem i królewskim synem! Na mnicham się nie rodził, suknia ta cięży mi i ścisza jak żelazna, pali jak ogień, parkany te mnie duszą, klasztor mi się wydaje więzieniem, wy katami i stróżami, a ojciec przełożony — oprawcą...

Z trwogą obejrzał się młodszy i załamując ręce zawołał:

— Na Boga! coście to rzekli! Idźcie i spowiadajcie się ze słów waszych, bunt to grzeczny.

— Idź, idź, zdradź mnie, powiedz że mi się te słowa wyrwały, jeśli chcesz — krzyknął wstając z ławy i napowrót się na nią rzucając królewski syn, z miną pogardliwą. — Braciszek Łukasz zarumieniony spuścił głowę i zamilkł.

— Nie potrzebuję ja was zdradzać — odezwał się po przestanku łagodnym głosem politowania — wy się co dzień zdradzacie sami, mową, wzrokiem, milezeniem nawet. Żal mi was.

— A co mi po twojej litości! roześmiał się królewicz. Ona mi tej sukni nie ściągnie i nie da swobody.

Westchnął ciężko.

— Gdybym choć zapomnieć mógł dziecinnych lat i moich nadziei, i czyja to krew płynie we mnie, i co mi wydarto.

— Zapomniećbyście mogli gdyby wola — odezwał się brat Łukasz — wy się daremnie tém trujecie i jąttrzycie. Wszystko to sny są tylko i marzenia niezdrowe.

— Jakie sny! wybuchnął królewicz znowu zrywając się z ławy i opadając na nią. Matka moja była tak dobrze żoną królewską czy księżką jak Judyta, dla której ją precz odegnano, gdyby nałożnicę. Ojcem moim był król, czekało mnie panowanie. Cóż z tego że z książęcego nie szła rodu, kiedy łożę pańskie podzielała przez lat

tyłe. Gdybym nie był królewskim synem, gdyby się mnie nie bali, czyby mnie byli postrzygli i gwałtem zaparli w tych murach obrzydłych?

— Dajcie już pokój tym żalom — począł uśmiechając brat Łukasz — gorycz pijecie dobrowolnie.

— Daj mi ją pić — przerwał królewicz — co ci moja gorycz szkodzi? Ja tēm żyję, tēm piodunami się karmię — postrzygli mnie, ale i postrzyżeni na świat wracają, włosy odrastają.

— Darmo o tēm nie marzyć! wtrącił braci-szek.

— Któż ci powiedział że darmo? gniewliwie przerwał drugi — póki człowiek żyje, póty nie nie stracone!

Brat Łukasz ruszył tylko ramionami.

— Ach! rzekł cicho — czyż może być większe szczęście nad to jakie my tu mamy? Zaprawdę, jabym go na żadną stolicę książęcą nie mieniał. Czegoż nam brak? sługami jesteśmy największego z panów, panów pana, nie znamy trosk życia, w ciszy możemy chwalić Boga, zarabiając na królestwo niebieskie. Na tronie, na wojnie żadna chwila życia nie pewna, brat morduje brata, wrogi się zasiadają, wojna sieje niebezpieczeństwy.

— Tak — odparł szydersko królewicz — a tu! co za rozkosze! W murach ciasnych jedne ścieżki o jednej codzien wydeptywać godzinie, milczeć, śpiewać, pościć, słuchać i powoli umierać. Tak,

bracie Łukaszu, dla ciebie to wszystko dobre, ale nie dla mnie, nie dla mnie. Mnie należało i należy panowanie, mnie wydarto ziemię moję, imię moje, godność moją, starszeństwo moje, część matki, prawo, własność... wszystko.

Brat Łukasz wstał, stanął przed mówiącym i przypatrywał mu się bacznie.

— A nie powinniścież Boga dziękować, że wam, jak drugim, życia albo oczów nie wydarto?

Podniósł głowę z groźném wejrzeniem królewicz.

— Tyś male czlecze — krzyknął — tyś się gdzieś rodził w ubogiej chacie; tobie przystało za wszystko dziękować, boś ty nie miał nic; a ja się burzę, bo mi wydarto wszystko! Dosyć tego!

— Zaraz zadzwonią na chór wieczorny — rzekł Łukasz — chodźmyż już.

— Idź — jam chory, zostanę w ogrodzie, rzekł na rękę się podpierając królewicz.

— Bez was nie godzi mi się.

— Boście do mnie łańcuszkiem przykuci, stróż mój — zaśmiał się królewicz. Weź że mnie siłą, nie chcę i nie idę.

— Siły nie mam, a gdybym ją i miał nie użyłbym — rzekł Łukasz.

— Widzisz żeś stworzony do niewoli — zaśmiał się złośliwie drugi. Ja, gdybym mógł, gdyby się to na co zdało, choć cię lubię, zdusiłbym cię jak

żabę aby być wolnym. Ciebie, twoje bracia zakonną, i samego przełożonego.

— Człowiecze! krzyknął przerażony brat Łukasz.

Królewicz śmiał się złośliwie — wstał z siedzenia, wyciągnął się tak silnie, że ciasna suknia zakonna pękać na nim poczęła, ręce do góry podniósł z dłońmi zaciśniętymi, papatrzał z pogardą na towarzysza i zdawał się, mimo to co mówił, zabierać do pochodu; gdy nagle, jakby zmieniawszy postanowienie, by mieć przyjemność dręczyć dodanego mu towarzysza, znowu padł ciężko na kłodę i położył się na niej. Odetchnął całą pierśią, powietrze zaczynało ostygnać nieco; otarł czoło po którym krople potu spływały...

Łukasz stał, zdając się niecierpliwie oczekiwać na niego, spozierając niekiedy ku klasztorowi.

— Idziemy — rzekł zeicha.

Królewicz śmiał się urągająco.

— Czekaj, rzekł, dlatego że ty chcesz iść tak posłuszny, ja właśnie nie chcę? co mi uczynią?

— Ojciec przełożony, począł braciszek.

Królewicz ramionami ruszył z pogardą.

— Wszysey nad wami litość mają — dodał brat Łukasz — tylko wy jej nie macie nad sobą. Gdyby chciał ojciec przełożony, tak dobrzeby was posadził do ciemnicy na chleb i wodę jak każdego innego.

— A ja, myślisz, nie zaniósłbym do ciemnicy

mojej damy i moich dum? szydząc rzekł brat Aleksy. I ręką zamachnął w powietrzu.

Mrok padał, ptastwo w galeziach ruszyło się przed snem czyniąc przygotowania, około gniazd polatując z krzykiem. Jaskółki pokazały się górą szymbując ponad ich głowami, leciuchny wietrzyk zaszeniriał w galeziach.

— Chodźmy już! prosił brat Łukasz.

— Iść i w dusznych murach się zamknąć teraz, gdy właśnie jest tu czém odetchnąć. Bodaj was wszystkich z tym waszym klasztorem.

Zamilkł, wziął liść z drzewa i odwilżył nim usta, ale wnet zębami poszarpał go w kawałki i odrzucił.

— Co wam dziś jest? zapytał stojący i oczekujący braciszek.

— Dziś?? a! macie słusność, odparł żywo królewicz, prawda!! Dziś jestem gorszy, rwę się z powroza jak ciele które do rzeźni prowadzą. Wiesz czemu?

— Cóż się nowego stało?

— Miałem sen — odparł królewicz.

— Sen? Sny zsyłają złe duchy, aby kusily ludzi. Snom nie potrzeba dawać wiary — rzekł Łukasz.

— Nieprawda, są sny prorocze — zawołał królewicz. Nie czytałeś w biblji o snach wykładanych przez Józefa?

— Ale wy nie jesteście Faraonem — szepnął braciszek.

— Jestem synem królewskim! odparł z dumą zagadniony. Sen był straszny, dziwny, wstałem po nim jakbym wyszedł z łaźni, długo oprzytomnieć nie mogłem. Śniła mi się dawno zmarła matka moja; widziałem ją przed sobą tak, jak oto was widzę, taką piękną, silną, zdrową, jak ją nigdy pamiętam. Ale miała włos rozpuszczony, szaty podarte, wzrok z gniewu ciskający pioruny. Choć uśmiechała się do mnie, straszną była. Wyciągnęła rękę ku mnie leżącemu i poczęła głosem w którym gniew mieszał się z płaczem, choć po ustach jej uśmiech się przesunął. — Zbyń! — tak ona mnie nazywała. Zbyń! wstawaj, zrzuć tę suknię pługawą, zbroję wdziej, drzwi wyłam, koń tam stoi i czeka na ciebie. Idź! śpiesz! pamiętaj że wolność ci dam na to abys się mścił na nich wszystkich, wszystkich do ostatniego, na ojcu nawet, tak, na własnym ojcu. Mścij! mścij!

— A! okropny sen! zawołał kleryk drżący.

— Na ojcu! tak mówiła — kończył królewicz. Co mi za ojciec, który się wyparł własnego dziecięcia!! Cały dzień tętniały mi w uszach te wyrazy matki. Widzę ją jeszcze przed sobą rozkazującą — wstawaj, idź. — Mam ochotę wybić furtę klasztorną i lecieć w świat!

Zbudzony napół, wpół śpiący, mówił dalej — chciałem zaraz zerwać się posłuszny, nie mogłem.

Coś mnie przybijalo do łoża, głowa była jakby obreczęą przykuta do poduszki, nogi jakby żelaznem obciążone brzemieniem.

Wysilałem się aby wstać, jęcząc, miotając się, a nie mogąc ruszyć z łoża. Matka wolala ciągle: Wstań, idź, mścij!

Dopiero nad ranem okrutną tą męczarnią znękany zerwałem się z krzykiem, dzwoni na jutrznię, wołał do chóru. Obejrzałem się, matki nie było, ale głos jej, głos ten mam jeszcze w uszach, w pamięci...

— Sen mara, Pan Bóg wiara! szepnął braci-szek. Było się przeżegnać i pomodlić, ustąpiłyby siły nieczyste.

Słów tych domawiał, gdy nagle królewicz się zerwał.

— Tst! krzyknął głosem stłumionym — tst! Słyszysz?

Milczeli oba.

Na drodze wiodącej do klasztoru, która przechodziła po za parkanem ogrodowym, coraz wyraźniej zbliżający się slychać było tentent koni. Ucho królewicza rozróżniało już brzęk rycerskich zbroi i mieczów, głosy jakieś obce. Lice mu się mieniło.

Gościńcem jechali niewidzialni, bo parkanem zakryci jeźdźcy jacyś, których kilkunastu lub kilkunadziesięciu być musiało. Długo tak slychać było wolne stapanie koni, pobrzękiwanie oręcza

i zbroi. Królewicz uczeplił się lawy, aby spojrzeć na drogę, ale dach spuszczaający się na ogrodzenie nie przepuścił wzroku. Ciche jakieś szepty od tej gromady jeźdźców, dostawały się tylko do sadu klasztornego. W dźwiękach ich zdało się królewiczowi rozpoznawać mowę znauą, tę pierwszą którą z ust matki słyszał w dzieciństwie. Po czołe jego przepływały światła i cienie.

Teraz już i on chciał co rychlej do klasztoru powracać, bo rzeczą było pewną, że ktokolwiek byli ci podróżni, pod noc znajdujący się na gościńcu wśród lasu, musieli u mnichów szukać spoczynku i do gościuniej furty zapukać. Królewski syn rad był zobaczyć tych obcych ludzi rycerskich, coś od nich posłyszeć, zwłaszcza że z pochwyconych kilku wyrazów, domyślał się Czechów lub Polaków.

— Chodźmy! odczuwał się — żywym krokiem wyprzedzając towarzysza — chodźmy, żywo!!

Brat Łukasz z trudnością mógł za nim podążyć, tak szybko przez wązkie między krzewami i ziemię zostawione ścieżki, przesunwał się królewicz, ciągle towarzysza swojego i stróża wyprzedzając. Właśnie bramą drewnianą przez całą klasztoru szerokość z sadu na dziedziniec wiodącą, dostawali się w pierwsze podwórze, gdy do zewnętrznych wrót stukać zaczęto.

W gorączce niecierpliwej, chciał już sam królewicz biedz otwierać przybyłym, gdy brat Łu-

kasz zatrzymał go chwytając za poły i odezwał się surowo, że to do brata odźwiernego należało, a nikt inny do wrot mieszać się nie miał prawa.

Stała królewicz i za wrotami pierwszemi, na wpół otwartemi ukryty, mimo że go towarzyszy odciągał, pozostał uparcie, chcąc koniecznie zobaczyć przybywających.

Odźwierny, człek stary, włókł się mruczając powoli z pękiem kluczów, nie otworzył jednak zrazu bramy, wstąpił na wschodki przy furcie, z których gościniec widać było i wyjrzał za wysokie ogrodzenie.

Rozmowy która się między nim a podróżnemi rozpoczęła, dosłyszć nie było można. Stary zdawał się z otwarciem wahać i układać z podróżnemi o warunki, gdy, powołany, przyszedł mu w pomoc, zakonnik drugi. Układano się jeszcze; naostatek zstąpił odźwierny i otworzył nie wrota całe, ale furtę z boku, przez którą jednego z przybyłych wpuszcł do wnętrza.

Cały wychylony, rozciekawiony, oczyma pożerał przybywającego brat Aleksy.

Ten który wszedł nie młodym był już mężczyzną, silnym, rycerskiego oblicza! w żelazne blachy odzianym, z hełmem kowanym na głowie, mieczem u pasa, ostrogą u nogi, cały kurzem okryty. Znać przybywał z daleka...

Barwy jego włosów dla pyłu rozpoznać nie było można, twarz też ogorzała pomałowała się

dziwnie, bo pot który po niej spływał, jakby zaschlém popstrzył ją błotem. Was tylko ciemny i brodę widać było na kaftan spływającą, siwizną już pomalowaną. Odźwierny starzec został u furty na straży, a drugi zakonnik powiódł gościa do przełożonego. Nim jednak zaprowadzono go do klasztoru, rycerz ów zwrócił się ku swoim i głośno do nich zawołał.

— Stać i czekać na mnie, aż wrócę.

Słowa te zadźwięczały dziwnie w uszach słuchającego królewicza, mowa to była, której nie słyszał już od lat kilku, która mu dziecinne przypomniiała lata; ręce zacisnął silnie, twarz oblała się krwią, jasne oczy ogniem zapalały.

Byłby się rzucił naprzeciw gościa gdyby go kleryk stojący przy nim, strwożony coraz bardziej, oburącz objawszy, gwałtem całą nie powstrzymał siłą.

— Na miłość Bożą, do celi! chodźmy do celi! bracie Aleksy — błagać począł obejmując go rękami. Do celi! My tu nic do czynienia nie mamy, to do nas nie należy!

Zrazu wyrwał mu się królewicz, i zdało się jakby iść chciał przebojem, potem spuścił głowę jakby go jakaś myśl złamała, i, słowa nie mówiąc dał się prowadzić.

Ciemnemi wschodkami poczęli na piętro wstępować. Tu wązki ciemny także korytarz, ciągnąc się przez całą długość budowy, zaledwie kiłką

wązkami otworami od podwórza oświecony, wyciągał się przed nimi cichy i pusty, smutny ze swym więziennym nrokiem i pustki milezieniem.

Tuż przy wschodach były dwie cele obok siebie. Do jednej z nich jakby z rozpaczą jakąś, rozdrażniony wpadł królewicz, a brat Łukasz, widząc go w takim stanie, po krótkim namyśle, weisnął się za nim.

Cela była zakonna, nielepsza od innych, po mniszemu urządzona. Jedno w niej okno, na sad wychodzące, zasunięte okiennicą, natychmiast z trzaskiem, gwałtownie otworzył przybyły. W pół światła, które izbę oblało, widać w niej było łoże twarde, prosty klęcznik z krzyżem nad nim, dzban u drzwi gliniany, drewnianą misę i skrzynię, której wieko napół stało otworem.

Królewski syn był tu niczém więcej jak ubogiem S. Benedykta dziecięciem.

Królewicz popatrzawszy przez okno, odskoczył od niego, rzucił się na twarde łóżeczko, siadł na niem i głowę zanurzył w dlonie.

Pornszony był, niespokojny, rozgorączkowany. Przybycie tych rycerzy po śnie nocnym, rodziło w nim przeeczucia i nadzieje.

Milezał trochę, potem głowę podniósł i począł głosem niespokojnym.

— Słyszaleś? to są Krakowianie, to moi są. Po mowie ich poznałem. Zkąd oni tu? po co? Między Sasami? Jak? dla czego?

— To może Czesi od Pragi — odparł Łukasz —
onić tak samo mówią i rozpoznać ich od Polan
trudno... Czesi tu często się zapędzają.

— Oh! oh! poczał królewicz — co ty mi mó-
wiesz? Czeska mowa pieszczona inaczéj brzmi niż
nasza. Słowa jedne a śpiew inny. Moje ucho na-
wet Szlązaka rozróżni od Krakowianina, co do
piero Czechów od Polan? To są moi, Krakowia-
nie—poczał rozgorączkowany się coraz bardziej —
moi są! Sen mój! sen! konie stoją za wrotami.
Siadaj, jedź, mścij! mścij. — Belkotał coraz ży-
wiej i pięściami bił po kolanach...

Brat Łukasz, patrząc jak na obłąkanego ru-
szał ramionami, nie wiedząc co z nim robić.

— A! gdybym choć widzieć się, choć pomó-
wić mógł z niemi—rozpoczał po przestanku kró-
lewicz. Któż wie? Serce którego z nich ulitowało-
by się może krwi królewskiej... Wzięli by mnie
z téj niewoli.

Zbliżył się doń brat Łukasz, i w ramię go po-
całował.

— Bracie mój—rzekł — bo mi was inaczéj na-
zywać nie wolno, bracie, na miłość Boga, zakli-
nani was, uspokójdzie się! uspokójdzie. Co wam
pomóże mówić z niemi, aby się rany otworzyły
i smutek potém urósł jeszcze? Choćby i Polanie
byli, wasi, cóż oni wam pomogą? Ztąd was ża-
dna siła nie może wyrwać.

Królewicz zlekka go odtrącił.

— Precz! — krzyknął — tyś prawy klecha... Ty tego nie rozumiesz, że kto swęj rodzonęj mowy od dawna nie słyshał, ten dla tego tylko aby się jęj napić uszami i sercem, gotówby się skazać na męki. Ty! ty!

I pogroził mu. Brat Łukasz milczał ręce zalamując. Zwolna odstepił ku oknu.

Cisza panowała w klasztorze, a że korytarz sąsiedni na podwórze wychodził, słyseć prawie ztąd było można co się na nięm działo.

Po chwili zaskrzypiały szerokie wrota, tentent koni wchodzących na dziedziniec tłumnie i wrzawę rozpoznawali braciszkwowie, brzęk żelaza, rozmowę gwarną, to cichszą, to głośniejszą.

Królewiczowi twarz się paliła, nastawiał ucha, serce mu biło, zrywał się po kilkakroć z siedzenia, jakby chciał biedz, a towarzyszył łagodnie, chłodno ale uparcie spychał go na łóżę; w pół prośbą, na pół musem zmuszając do pozostania na miejscu.

— Cierpliwość miejcie — dodał. Jeżeli ich tu już wpuszczono, toć i do refektarza poproszą, nocleg tu pewnie mieć będą. Zobaczycie ich, posłyszycie, choćby jutro na mszy świętęj w kościele, boć bez nięj przecie odjechać nie mogą.

Zmilszał brat Aleksy, ale usta zagryzając rzucał się niecierpliwie. Szmer, który słyseli w dziedzińcu, zrazu cichy, wzmógł się, głosy jakieś gwałtownie podnosić zaczęły, brzmieć groźnie. Zdawało

się jakby spór jakiś powstał między wpuszczone-
mi gośćmi a zakonnikami. Brat Łukasz rozpozna-
wał podniesiony głos Ojca przełożonego, potem
odpowiedź nań hałaśliwą, niecierpliwą i okrzyk.
Rycerze wtórowali swojemu, i znowu mówił prze-
łożony, potem wszyscy razem rwali się wrzawli-
wie głośząc jedni drugich. Po krótkich ciszy prze-
stankach, następowały jakby wybuchy i milczenie
znowu; krzyki uparte i postukiwania oszczepami
o ziemię.

Można się było domyśleć, że spór o coś zajęć
musiał, brat Łukasz drżał, Aleksy podchodził ku
drzwiom, uśmiechał się, siadał na łóżko, zrywał.

Po burzliwej owęj rozmowie, nastąpiło łago-
dniejsze mruczenie i umiarkowane głosy, ustał
spór, wróciło znowu milczenie klasztorne tak dzi-
wnie i niespodzianie przerwane.

Wtém na korytarzu dały się słyszeć szmer
i kroki, brat Łukasz niespokojny podbiegł ku
drzwiom, gdy się one otwarły szeroko i Ojciec
Abdon przełożony, wszedł z twarzą chmurną, kro-
kiem powolnym. Widać było na nim że tylko co
był do gniewu pobudzony, i teraz dopiero odzy-
skiwał spokój zwykły i powagę.

Zjawienie się jego niespodziane w celi jedne-
go z braciszków, było tak dziwnym wypadkiem,
iż ujrawszy go, królewicz już nawykły do kar-
ności, na pół zachowując regułę klasztorną, która
z przyklęknięciem, pocałowaniem ręki witać prze-

łożonego nakazywała, na pół się z niej wylamując, pochylił się tylko i nie zgiąwszy kolan, zawołał:

— Ojciec przewielebny — ojciec! to moi, Krakowanie są. .

Opat spojrział nań surowo, zatrzymał wzrok na nim, usta mu się litościwie uśmiechnęły, i rzekł z westchnieniem:

— Bogu jednemu wiadomo, ażali wy się tym cieszyć macie czy zasmucić. Tak, Polanie to są i Czesi, którzy nie mając prawa, gwałtem wymóźd chcą na mnie, abym was im wydał... Ja wojny z nimi prowadzić nie mogę. Wdarli się tu jako goście, a postąpili jak gwałtownicy.

Królewicz zaledwie dosłuchawszy, wykrzyknął z radości. Radość ta była z początku tak wielką, iż padł na kolana i rękę opata niechętnie mu podaną, ucałował, ale wnet zerwawszy się z ziemi począł wołać.

— Sen mój! matka moja! koni stoi! Ja jechać muszę z niemi! Muszę...

Rzucił się niepatrząc na starszego ku drzwiom, wypadł niemi, i słychać było jak biegł po wscho-
dach. Opat z wolna poszedł za nim zamysłony.

II.

W wielkiej izbie na dole, w której gości zwykli byli przyjmować zakonnicy, zdawna tak tłumno i huczno nie było jak tego wieczora.

Przy blasku kilku kaganków, widać było kilkunastu zbrojnych ludzi, którzy stali, oczekując, pozdejmowawszy helmy z głów oblanych potem i z kurzawy twarz i odzieżę swe ocierali.

Byli to tylko ci przybyli goście, do których biegł królewicz. Zatrzymano go jednak, drzwi pozamykawszy i sam opat miał go tu wprowadzić. Napróżno się zżymał i wyrywał, uledek musiał, choć złość nim miotła.

Czesi i Polanie czekali z równą niecierpliwością, jak on się ku nim wyrywał. Na twarzach ich widać było radość, że się ureszcie do celu podróży dobili i postawili na swoim. Mężowie

to byli wszysej niemal lat poważnych, znać wojennego rzemiosła, ogorzali, silni, niektórzy z bliźniami na twarzach, poodziewani dostatnio, bogato nawet, zbrojni jak należało.

Zostawieni sami sobie, gdyż zakonnik, który ich tu wprowadził wyszedł zaraz, rozpatrywali się ciekawie po foresterium.

Na głównej ścianie jęj wisiał olbrzymi krucyfiks, z wielką figurą ukrzyżowanego Chrystusa, wyrzeźbioną z drzewa nie bardzo zgrabnie i pomalowaną. Naturalne włosy okrywały głowę. Wyras rzeźby, jak całej sztuki owych wieków, surowy był, smutny i groźny. Bóg i święci jego tym ludziom namiętnym i dzikim musieli się przedstawiać jako siły straszliwe; nie dobrocią, ale strachem można było pokonać tych, dla których łagodność słabością się wydawała. I sztuka owych czasów nie miłością i miłosierdziem, lecz grozą i trwogą mówić musiała, przedstawiając męki, malując postacie surowe a niezblagane. Takim był i ten Chrystus na ścianie foresterium.

Izba była rozległa, niska, z ławami u ścian i podobnemiż siedzeniami ciężkiemi przy dwu stołach, które środek jęj zajmowały.

U stóp krucyfiks u palila się lampka mała, światelkiem mdłym niekiedy oblewając spuszczoną twarz Chrystusa. Miedziane naczynie z święconą wodą u wnijscia, było jedyną ozdobą ścian na-

gich i pociemniałych. U stropu widać było belki olbrzymie, na których topor ciesielski próbował rysować jakieś ozdoby. Przez otwarte okna na przestrzał widać było zielony sad z jednej, podwórze puste z drugiej strony.

Niektórzy z przybyłych znużeni już na ławach spoczywali, inni chodzili, oknami ciekawie wyglądając na sad bujno i pięknie rozrastający się, jakimiś nieznanymi krzewy. Wiadomo, iż benedyktyni pierwsi z sobą z innych krajów przyносили nie tylko winną latorośl, ale wiele innych nasion i roślin pożytecznych.

Trzech czy czterech panów w pośrodku izby kołem stanąwszy, mówiło z sobą po cichu, jakby się naradzając.

Za każdym od strony drzwi szelestem zwracali ku nim głowy, ale już po kilkakroć zawiodło ich oczekiwanie. Zwłoka zdawała się ich niepokoić. Ten, który pierwszy zjawił się u furty klasztornej stał na przedzie, gotując się widocznie wyrezytować towarzyszków w rozmowie i przyjęciu tych, których oczekiwano, bo na drzwi ciągle miał zwrócone oczy.

Był to Dobek z Morawicy, daleki jakiś powinowaty matki królewicza, przy nim stali Sreniawa, Kaniowa i Mutyna Czech dodany im w Pradze. Siedzący na ławach wszyscy byli Szlężacy lub Krakowianie.

Gdy tak czekają, po troszę się zżymając już,

podejrzewając opata, kręcąc głowami, bo mimo obietnicy zaczęli powątpiewać, czy ten, po którego przybyli, wydany im zostanie. Otworły się nareszcie drzwi i opat wszedł, wiodąc za rękę królewicza Zbigniewa, w tej samej sukni poszarpanej i poplamionej, w której siedział przed chwilą w ogrodzie. Odmienić mu ją ehciano, ale się oparli temu.

Nikt z przybyłych, nawet Dobek z Morawicy, po matce mieniający się powinowatym Zbigniewa, nie znał go z twarzy. Wszyscy sobie wystawiali królewskiego syna, owe dziecię pańskie, po które przybyli — pięknem, rysów twarzy szlachetnych, postawy rycerskiej. Jakież było zdziwienie ich, gdy ujrzeli przed sobą niezgrabnego kleryka w sukni ciasnej, rozrosłego wprawdzie i silnego, lecz do parobka stajennego podobniejszego niż do księżęcia, z twarzą długą, bladą, odstraszącą, na której się zwierzęca niemal radość jakaś rozszalała, malowała.

Jakiś czas stali osłupieni, nie mogąc przyjść do siebie, takim zawodem wydał się im ten wyrostek, którego widzieli przed sobą. Zmierzyli się oczyma, ledwie nie posądzając opata, że ich oszukać pragnął, podstawując im innego kleryka w miejsce królewskiego syna. W tém, nie czekając na ich powitanie, Zbigniew gwałtownym ruchem naprzód wystąpił, stanął i począł śmiejąc się głosem drżącym.

— Witam, miłości wasze.

Brzmienie mowy wywiodło ich dopiero z wątpliwości i osłupienia. Ci, co króla znali i słyszeli mówiącego, w głosie znaleźli jakieś z nim podobieństwo. Dobek z Morawicy poszedł ku niemu i hełmem, który trzymał w ręku, do kolan mu się pokłonił.

— Czołem a głową miłości waszej — odezwał się. — Myśmy po was tu przybyli. Dosyc tego zamknięcia w klasztorze, pojedziemy z wami, aby odzyskać, co wam odebrano.

Śmiejąc się głośno, Zbigniew rzucił się go ściskać.

— Zbawcami mi jesteście! — zawołał — marłem zaszyty w tej sukni.

To mówiąc, potrząsał nią — Konałem w tej ciennicy — osiem lat, wiek, nim dorosłem, zestarzałem.

Łatwość i śmiałość z jaką mówił, poprawiła pierwsze niemiłe wrażenie. — Przybyli powstawszy z ław, kołem go otaczać zaczęli.

Opat tymczasem, mowy tej nierozumiejący, widząc siebie i godność swą nieco zaniechbaną — ponury stał i milczący. Dawny wychowaniec wcale się nie zdawał zważać na niego, poczynął już sobie jako człek swobodny, który przełożonego nad sobą znać nie chce.

Wyczekawszy chwilę opat, skinął na Dobka z Morawicy, który starszym się zdawał między

przybyłemi i szepnął mu, gdy się zbliżył, iż chciałby z nim mówić na osobności. Dobek zważy i poradny człek, swoim coś rzekł i zostawując na ich rękach królewicza, sam z opatem udał się do jego celi.

Zwolna kroczył ojciec Abdon, nie mówiąc, zamyślony. Mąż to był powagi, doświadczenia wielkiego i zdobytego wiekiem spokoju ducha, a przełożenstwo po kilkakroć w różnych miejscach piastował i nawykł był do rozkazywania. Nadawało mu to postać i obyczaj prawie pański. Dobek z Morawicy czuł się, im dłużej z nim obcował, bardziej przybitym i znalazłym... Coś biskupiego dlań miał w sobie, a pod owe czasy biskupia dostojność, niemal się z królewską równała.

Weszli do sporęj izby, w której ojciec Abdon zwykł był gości dostojniejszych przyjmować. Nie było w niej innego zbytku nad ten, jaki przystał duchownemu: ksiąg wiele, obrazów złocistych kilka, krucyfiksy, ołtarzyk do modlitwy ozdobnie przybrany. Otwartemi oknami wpadało światło jeszcze żywe i jaskrawe, choć dołem w podwórzach mrok się już poczynął.

Zajął miejsce opat w krześle swem z poręczami, na poduszce, a drugie wskazawszy Dobkowi, odczuwał się po krótkim namyśle:

— Przynieśliście mi list i pieczęć z Pragi, abym na ręce wasze wydał wychowanka mojego

Zbigniewa. Ci, co go żądają, nie dali mi go, prawa doń nie mają, bierzcie mi go siłą.

Z Krakowa mi był powierzony, z woli króla, jak mówiono, dziś może przeciw niéj go bierzecie?? Mily panie, gdym brał tego młodzieńca, nie wiełem o nim wiedział; gdy mi go zabieracie, godziłoby się, byście mnie nancezyli, dla czego wprzódys odsunąć i zamknąć go chciano od oczów ludzkich w eiszny klasztornej, a dziś go chcą ztąd siłą odebrać? Ciemném to dla mnie. Obcym jestem i zakonnikiem, o sprawach Polan tak jako nie nie wiem. Sasi téż o nich tyle tylko wiedzą, iż się napaści na siebie od królów waszych lękają.

— Byćże to może ojcze przewielebny — spytał Dobek, ażeby was zostawiono w nieświadomości?

— Tak ono jest — odparł opat spokojnie. Lat temu osiem przywieziono płaczącego chłopaka, gwałtem znać do klasztoru, ze znacznym darem dla kościoła naszego. Niepamię, jak się zwał ten, co go oddawał, stoi zapisane na mszałe imię jego. Powiedziano mi, że dziecko jest nieprawym potomkiem księcia polskiego, że je chcą zamknąć i oddać, aby król czy książę żonę biorąc ślubną, dziecka się nie wstydził, i aby prawym następcem jego uszczerbku nie było. Kazano go do zakonu sposobić, przyrzekając wyposażenie.

Imie mu było Zbigniew, myśmy w zakonie zwali go Aleksym.

Dobek słuchał zawstydzony i nieco zdziwiony.

— Ani królów waszych, ani królestwa waszego dziejów i spraw nie znam — kończył opat. — Tyle moich uszu doszło, iż mieliście zuchwałego pana, który się na swojego ojca duchownego porwał i zamordował go; że z Rzymu Ojciec nasz, interdykt rzucił na królestwo wasze, iż korony pozbawiono panującego, a ta się pono z woli Ojca naszego biskupa rzymskiego, czy cesarza, dostała czeskiemu królowi.

Dobek ramionami ruszył.

— Niechże mnie przewielebność wasza posłucha — rzekł powolnie — ja wszystko, jak uniem opowiem. Prawda to jest żeśmy króla mieli, który jak rycerzem był wielkim, tak niepołamowanym i zuchwałym, bo ani królów swych braci za równych, ani Papieża, ani cesarza za wyższych nad siebie mieć nie chciał. Zabił on biskupa naszego, męża świętobliwego, który mu grzechy jego na oczy wyrzucał, ale potem sam z kraju uchodzić musiał. Ulitował się przecie Papież rzymski nad nami, brat króla, choć nie koronowany, królestwo dzierży, przecie dla nas królem jest.

Synem jego pierworodnym ten oto Zbigniew, po którego my przybyliśmy.

— Ale dziecięciem nieprawem — wtrącił opat.

— Jako żywo — odparł Dobek — my tej różnicy nie znamy. Dawnym obyczajem naszym domowym, wziął Władysław pan nasz żonę, krewną moją, Iannę, żył z nią jako z małżonką,

choć kościół nie pobłogosławił związku, boć u nas to nie było w owe czasy koniecznością i duchowni się o to nie upominali jako teraz.

Z tój Hanny, ciotecznej mojej, miał król oto tego syna, który tak jego prawym synem jest. jako i ten drugi co mu się później z czeskiej Judyty narodził za przyczyną Idziego świętego.

Gdy król Judytę brać miał za małżonkę z krwi królewskiej, zażądano, by nie tylko pierwszą żonę, ale i pierwsze dziecko odtrącił od siebie i zapomniał o nich. Zmarła z boleści wielkiej żona, sierota została, tę wtrącono do klasztoru jako w studnię.

Opat się poruszył mocno.

— Mily bracie — rzekł — nie na zgubę, ale na zbawienie dano go nam, nie studnia to jest, ale wrota do wiecznej szczęśliwości.

— Pewnie, pewnie — poprawił się zmięszany, głową skłaniając Dobek — ale, dalże on się nalać i skłonić, aby umiłował ten stan, ojciec przewielebny?? Powiedzcie, abyście nasze uspokoił sumienie?

Opat pomilczał nieco, w twarzy jego znać było zakłopotanie pewne, smutek, walkę z samym sobą. Namyslał się, miałli rzec, co mu na sercu leżało.

— Miłościwy panie — odparł — nie zataję prawdy przed wami. Osiem lat trzymamy go na oku, mogę rzec na pasku, zobowiązaliśmy się do

tęgo. Dziecko zepsute i krnąbrne tu przyszło, a daj Boże, aby lepszém ztąd odebrane zostało. Naturę ma do przewyciężenia trudną i niezgiętą, umysł pojętny, krew burzliwą. Nie wiem co z nim czynić myślicie, lecz jeżeli władzę jaką z rąk waszych ma otrzymać — bodajbyście danęj mu nie pożałowali.

Ostatnie wyrazy ciszej domówił opat, spuścił głowę na piersi i umilkł. Zdziwił się mocno, gdy podniósłszy na Dobka oczy, ujrzał go prawie uśmiechniętym i rozradowanym tęp, co go powinno było nastraszyć.

— Ojcie przewielebny — odezwał się Dobek — takiego nam potrzeba właśnie, któryby rękę silną i wolę miał, a strasznym był... Stary król nie wiele może, rządzi Palatyn i nas wszystkich zabierać chce w niewolę. Niech będzie zły, byle silnym był, a mógł się mu opierać...

Opat się poruszył.

— Nie żądajcie złego w złą godzinę! — rzekł cicho.

— Nie odwołuję com rzekł — począł Dobek — pan nasz pobożny Władysław Herman, dobrym jest, ale słabym i bojaźliwym, nie panuje on, a nad nim panują. Nie pana mamy, ale z ręki jego tyranów, a raczej tyrana, przez którego królestwo paść może. Zawczasu o sobie myśleć musimy; królowa niewiastą jest i nie wie kędy idzie, król zawojowany, wojewoda Sieciech, fawo-

ryt obojga, bodaj na przywłaszczenie sobie wszystkich ziem godzi i zastawia sieci. Nie było rady innéj, jak oto to królewskie dziecko wziąć, a niém się podeprzeć przeciw samowoli Sieciechowéj. Garnie on wszystkie ziemie pod siebie, a każda chce swoje prawo i wojewodę mieć...

— Daj Boże, by wasze lekarstwo gorsze od choroby nie było — odezwał się opat — Świeckie sprawy obce mi. Nie radbym też obmawiać tego wychowanka mojego, ale o niego i o was trwoży się dusza moja. Dzikie zwierzę w klatce nie straszne, na wolności biada z niém.

Umilkł.

— A cóż w nim tak złego jest? — zapytał Dobek.

— To najgorsze, żem dobrego w nim znaleźć nie mógł. Jak na suchéj płonce com zaszczerpił zmarniało, a dzikie wilki bujają. Ugiąć się, nstuchać, nkorzyć nie umiał nigdy. Rozumu nie brak, słowo ma łatwe, bystrość wielką, gdy zechce, ale przewrotność w nim większa jeszcze...

Jakby znudzony opat zamilkł znowu i czoło ocierał.

— Nie posadzajcie mnie — dodał — abym niechęć jaką miał ku niemu, Bóg mi świadkiem, kochałem go i litowałem się, trochę z serca mi zdejmujecie, zabierając go. Nie miałbym sunienia jednak, gdybym was nie ostrzegł, nie oznajmił wam, iż pilno czuwać nad nim powinniście.

Dobek pochyliwszy się do ręki opata, ucałował ją.

— Dziękujemy przewielebności Waszćj — odezwał się. — Bynajmniej to nieznienia naszych zamiarów. Jakikolwiek on jest wziąć go musimy. Kto wie, czy swobodnićj puszczoney nie znieni się, a nie stanie takim panem, jakiego nam trzeba. Namby teraz żelaznych rąk Mieszka i twardej prawicy Bolka Chrobrego nie nadto było...

— Mówiliście przecie sami, że pobożnego i dobrego króla macie? — spytał opat.

— Pobożnego, tak ci jest — odezwał się Dobek — dobrego też, ale słabego. On dziś już nie panem jest tylko na łasce Sieciechowćj posłusznćm narzędziem.

— Mówiliście, że syna ma? — wtrącił opat, spoglądając niedowierzająco.

— Dziecko to prawie jeszcze — rzekł Dobek — zawojowane przez Sieciecha, który je wychował, bo u nas Sieciech Palatyn wszystkićm i królowćj ulubieniec i króla prawą ręką i królewicza nauczycielem i królestwa władcą, a jutro kto wie czćm być zechce?

— A któż ten Sieciech jest? — rzekł opat.

— Kto Sieciech pytacie? — rozśmiał się przybyły, ramionami ruszając, jakby go to pytanie nie pomału zdziwiło. — Jakże to rzec, kto on jest? Byłto gładki młodzienniec, Toporezyk rodem, nie wielkićgo mienia, ale pięknćj postawy i żywego

ducha, śmiałości wielkiej. Królowi się podobał, bo mu do wszystkiego służył, miłym się stał królowej, która młodzież lubi. Umiał się przymilić, wyręczyć i objął powoli wszystko. Króla obsadził swojemi ludźmi, w ręce wziął miecze i klucze, Władysławowi dając spoczywać, modlić się i zażywać pokoju. Żołnierz i wódz szczęśliwy, rozumem i nauką choćby z biskupami o lepszą isę wotów. Dziś on pan na Sieciechowie, a jutro na ziemiach i karkach naszych panem być może.

— Cóż jeden taki chłopak przeciw niemu zna-
czy? — odparł przełożony.

— Bardzo wiele — zawołał Dobek. — Mamy dlań zapewniony Szląsk, gdzie go Wrocławianie i wojewoda Magnus przyjmą za pana, aby postawić przeciw Sieciechowi. Ukróćim władzę jego i uratujemy krew pańską.

Pomileczał trochę opat.

— Lepiej to zapewne wiecie co czynić macie — odparł krótko — róbcie jak was Bóg natchnął, ja z sunienia mojego zrzuciłem brzemię. Teraz — dodał, zlekka się podnosząc duchowny — idźcie miłościwy panie, sam na sam weźmijcie przyszłego pana, a zajrzyjcie mn w dalszą. Obaczym co o nim powiecie.

— Pospieszę, gdy dozwalacie — rzekł Dobek i raz jeszcze rękę opata ucałowawszy, wyszedł z celi. Tu stojący kleryk, który na rozkazy czekał, drogę mu do foresterium pokazał

Zbliżając się do wnijscia, już omylić się nie mógł Dobek, taką tam wrzawę wewnątrz słyhać było i śmiechy, w których głosy towarzyszków swoich poznawał. Nad wszystkimi huczniej rozlegało się ryhotanie dzikie, w którym się domyślał Zbigniewa.

Uchyliwszy drzwi ujrzał widowisko osobliwe. Polanie przybyli z Dobkiem, którzy jadąc na tę wyprawę, zawczasu obmyślili, czego potrzebować będą, zabrali z sobą suknie i uzbrojenie stosowne dla przyszłego księcia, aby się w nich mógł przystojnie Wrocławianom okazać.

W czasie niebytności Dobka albo oni się o przebranie nędznie odzianego kleryka upomnieli, lub on sam zażądał innych sukni. Dobek trafił właśnie na tę chwilę, gdy sakwy i węzły na ziemi leżące rozwiąawszy, towarzysze jego młodego syna królewskiego na nowo przedziewali.

Zbigniew szczęściem swém był upojony, i. jako się nie dawno rzucił rozpaczliwie w niewoli, tak teraz miotał się oszalawszy swobodą bez miary. Nie czyniło go to piękniejszym. Rozebrany z ciasnych sukien silnym się okazał, ale równie niezgrabnie wyciosanym, jak wprzód. Twarz jego blada rumienila się weselem, a oczy iskrzyły dziką jakąś zapalezywością, niemal rozpasaną, która już i tych, co go otaczali razila.

Gdy Dobek wszedł, ujrzał na ziemi podarty w szmaty drobne habit zakorny, Zbigniewa już

na pół rycersko przyodzianego, samemu sobie dziwiącego jak się dziecię. Wszyscy dokoła posługiwali mu chciwie; jeden kaftan podawał, drugi pas opinał, inny chciał helmu próbować. Zbigniew nogą obtą bił w ziemię, śmiał się, nragając i wykrzykiwał głośno.

— Osiem lat mię więzili — wołał — raz wolny wolę zginać, niż się im dać okuć na nowo. Ani panu ojcu, co się zaparł syna, ani królowej matce, ani miłemu bratu, ni w świecie nikomu.

Wydali mi wojnę gdym dzieckiem byłem; zaprawdę, nie poczynalem jej, będą mieli wojnę, bo ja tak ich nie znam, jak oni mnie znać nie chcieli. Prawo tylko swe znam i Boga nad sobą, więcej nie.

Dobek nie zbliżając się, przysłuchiwał z za drugich.

Kleryk (bo mu już tu pierwszego dnia niektórzy nadali to przezwisko, mające przy nim zostać na zawsze) im mu bardziej śmiechami potakiwano, tém raźniej wykrzykiwał. Nie wiedział Dobek, czy się miał tém radować, czy trwożyć; miarkował, że człek był jeszcze nie wytrzeźwiony z pierwszego szaleń, a młody, lecz w zahukańm dziecku nieśmiałości się zbytniej raczej było można spodziewać, niż takiego nagłego rozzu-chwalenia.

— O! ho! — wołał ryhocząc wyzwolony, gdy mu miecz przypasywano — oho teraz mi już nikt

nie zabroni, gdy włosy odrosną puścić je na ramiona i brodzie też dać bujać, a jeść a pić i — na niewiasty patrzeć i pieśni słuchać i śmiać się dowoli!!

— Na niewiasty — wtrącił któryś — nietylko patrzeć wam wolno, ale je i brać.

— O! — przerwał Zbigniew — a no cicho! tu o nich ani mówić, ani ich widzieć, ani myśleć o nich nie wolno pod karą wielką. Ojcowie mówią, że szatan siedzi w nich.

Śnieli się niektórzy, inni szeptali.

— Krew nie woda, teraz sobie nagrodzi!

Zbigniew dosłyszał to i ręce podnosząc, począł wołać.

— Zaprawdę! zaprawdę! nagrodzić sobie muszę stracone lata! Gędzby, pieśni, śniechu, swawoli zażyć, jak mężczyźnie przystało.

— Wszystko mieć będziecie — odezwał się poważnie Dobek — ale i miecz też nie będzie próżnował.

Zbigniew spojrzał na wiszący u boku obojętnie jakoś.

— Tym ja jeszcze nie władnę, rzekł, bo mi też ani go dotknąć, ani próbować nie dano. Zkądżebym miał wziąć go tam, gdzie i pałka zakazana była?

Nauczycie mnie z nim się obchodzić.

— Nauczymy! nauczymy! — odezwali się chórem wszyscy.

Wesołość była wielka, bo każde słowo ksią-

żęce nią witano, on zaś był jak pijanym i rozpasanym do zbytku. Nogami gniotł i szarpał zrzucony habit, i wyciągał się radując wygodnemu kaftanowi, mieczowi przypatrywał, pasa pociągał, a coraz to mu się słowo wyrwało zuchwalsze, niżby się z ust kleryka spodziewano.

Dobek odwiódł Starzę na stronę.

— A co, pan nasz? — spytał po cichu.

— Widzicie go — rzekł Starża — człek chudy, zasepiony i frasobliwy z natury. Musiało mu się od téj nagłej swobody w głowie zakręcić. Mówi jak po pijanemu — po mnie ciarki chodzą słuchając.

Pochylił mu się Dobek do ucha.

— Jeszczeby was gorsze wzięły dreszcze — rzekł — gdybyście posłyszeli, co mnie o nim opat rozповідаł — a, no, wyboru nie mamy.

— Cóż mówił?

— Straszył mnie nim. Ażali my na nasze karki nie ostrzymy topora? — Szeptal Dobek nieco zasepiony. — Któż wie?

Namyślił się Starża.

— Gorzej ci nie będzie — odparł po namyśle. — W naszych on rękach, jakeśmy go wzięli, tak go porzucić możemy...

— Łacniej pono wziąć, niż się zbyć — dokończył Dobek. — Znajdzie sobie zawsze tych, co go podpierać będą.

Spozierali z niosa na królewicza, a Starza rzekł w końcu:

— Po tém, coście wy od opata słyszeli i ja się trwożyć będę. Bogiem a prawda, ten syn królewski do serca mi nie przystał. Suknia zakonna nie uczyniła go lepszym, choć na rozumie i języku mu nie zbywa.

Przysłuchajmy się im — Czech wtrącił.

— Dzieckiem jest jako oni wszyscy po klasztorach, po wielkiej niewoli bryka człek jak żróbek, którego na łękę wypuszcza.

— Prawdęś rzekł — potwierdził Dobek. — Nie łapmy ryb przed niewodem!!

I zbliżył się do wesołego kółka, które Zbigniewa otaczało.

Właśnie stoly dla gości zakonni braciszkwowie przygotowywali do wieczerzy, gdy Dobek ze Starzą podeszli do królewicza, który odziany w szaty nowe, pysznił się niemi. Siedział na ławie, dumnie spoglądając na braciszków, niedawno towarzyszów swych, z obawą jakąś rzucających nań przestraszone wejrzenia. Przeistoczenie to człowieka, którego wczoraj sądzili, już na wieki obłożonym suknią i ślubem, budziło w nich myśli trwożne. Wedle ich pojęć zgnbionym był i zaprzędanym nieczystej sile. Z poszanowaniem podnieśli z ziemi podartą suknię zakonną, którą Zbigniew zdeptał nogami, i jeden z nich wyniósł ją co prędzej z foresterinm. Na twarzy pozostałych

malowała się zgroza, oburzenie, postrach kary bożej, która świętokradzcę dosięgnąć miała.

Zbigniew się im rozparty na ławie urągał.

— Bracie Łukaszu, bracie Agapie, braciszku Odonie, patrzajcie no! nie wyglądamli ja na rycerza? nie dobrze mi tak? Chciałoby się i wam takiej sukni? he?

Braciszkwowie nie spoglądali nań, nie odpowiadali nawet, ustawiali na stole miski, kładli chleby, krzatali się okolo kubków i dzbanów; spryszczalioczy. Wesołość tylko co rozdzanego kleryka, choć się tłumaczyć dała, nawet świeckim jego towarzyszom wydawała się nieco dziwną, trochę raziącą, cóż dopiero skromnemu braciszkowi Łukaszowi! Szal ten trwożył go nad wyraz wszelki, gdyż i ów sen i przygody uważał za dzieło złego ducha, wiedzącego nieszczęśliwego do zguby.

Wejście nawet opata i kilku milczących zakonników, którzy mu pokornie towarzyszyli, postępując za nim z oczyma w ziemię wlepionemi, nie wiele usmierzyło rozbujanego księcia.

Dobek musiał go cichą przestrogą skłonić, aby nieco skromniej i ciszej się znajdował, za co mu wejrzeniem złośliwém zapłacił.

Opat odmówił stojąc błogosławieństwo, gościom podano miednice, nalewki i ręczniki, skromny posiłek zastawiła służba na stolach, na trzech jedną, wedle obyczaju, dając misę, z której społem jedli.

Rozmowa stała się ciższą i nieśmiałą, opat był poważny i milczący. Nie biesiadowano też nad miarę, gdyż, choć przyjęcie dostatnie było, zbytku w klasztorze nie dopuszczano. Piwa po kmbku postawiono przy każdym, jadła brał każdy ile chciał i jak stało. Mięso dawano tylko dla obcych, a Zbigniew długo pozbawiony go, niepomniernie użył i z widoczną żarłocznością.

Nie okazując tego opat mierzył go oczyma, spoglądali nań i inni, nie mogąc poznać w tym śmiałym aż do zuchwałości chłopcu, który się im uragać zdawał, chmurnego, milczącego braci-szka, jakiego znali w sukni zakonnej.

Po dziękczynnej modlitwie mnisi ucałowawszy z przykłonieniem rękę opata, opuścili jadalnię, przełożony sam został z obecnymi.

Widać było, iż życzył sobie mówić ze Zbigniewem, który unikać się go zdawał. Stało się to nareszcie niemożliwem, gdy o. Abdon wprost doń podszedłszy, stanął, mierząc go oczyma, które wzrok spuścić zmusiły. Siłę tego wejrzenia, którego słuchać był nawykł, uledez musiał. Gniewny czekał, co opat mu powie.

— Powinszować wam chęć i pobłogosławić — odezwał się głosem surowym przełożony. — Zmienił się los wasz tak pono, jakoście w duszy waszój pożąдали; daj Boże, by na szczęście dla was i dla tych, co was na pana ku sobie powołują. Wielki ciężar zaprawdę spada na ramiona wasze,

a ujrzyć kiedyś, iż cięższym jest do dźwigania od tej sukni ubogięj, której nie umielibyscie umi-
łować. Idźcież w świat z Bogiem miłościwy panie —
tak z Bogiem! nie zaponinajcie o Bogu, którego
wola spełnia się nad wami. Jutro do dnia, niżeli
rozpoczniecie podróż, odprawię mszę świętą na
intencję waszą i pobłogosławię...

Sądziłi wszyscy, słuchając, że się chłopak
słowy pełnemi dobroci uczuje za serce ujęty, że
się ugnie, jako należało przed opatem i podzię-
kuje za doznaną opiekę i względy. Czekali. Zbi-
gniewowi czoło się zachmurzyło tylko, zmarszczyły
brwi, oczy spuścił w dół, zamruczał coś niewy-
rażnie i nie pochylił się nawet do ręki opata.

Kaplan stał, popatrzał chwilę, nie rzekł już
więcej nic, głowę skłonił ku otaczającym się zwr-
cając i krokiem powolnym, z klerykiem, który ze
światłem czekał nań u drzwi — wyszedł.

Gdy się te za nim zamknęły, ksiązę dopiero
podniósł głowę z wyrazem niemal gniewnym.

— Ha! — mruknął — chciał, bym mu jeszcze
dziękował meże, że mnie ręką żelazną trzymał
przykutego bez litości lat tyle. Niedoczekanie ich!
Mnichy i życie mnisze mi dojadło. Jutro jak świt,
w drogę.

— Ale nie bez mszy i błogosławieństwa —
odezwał się Dobek. — Niepewna jeszcze, co nas
i was miłościwy panie czeka, jest o co Pana
Boga prosić.

— O! dla mnie byle na swobodę i za te mury — zawołał Zbigniew, ręką machając przed siebie.

W tém zbliżył się nieśmiało braciszek Łukasz, dawny towarzysz, pytając go, czy w dawnéj swéj celi nocować nie zechce.

— Ja, w téj dzinrze! — krzyknął szydersko Zbigniew. — Nie! wolę tu na goléj ziemi. Od moich towarzyszków nie odejdę krokiem.

Wnet młodszy wziął go między siebie, a brat Łukasz zawstydzony, skloniwszy głowę, z pomiedzy nich się wysliznął.

III

Działo się to w 1096 roku.

Zameczysko w Plocku, kędy król, (bo tak go w domu zwano, choć koronowanym nie był) najczęściej przebywał, już naówczas nieco przystojniejszy, niż za lat dawnych pozór miało, acz i teraz obozowisko i namioty więcej przypominało niż gród stołeczny.

Stolicę téż naówczas stałych nie mieli królowie, czasowo przemieszkując po grodach i ziemiach, do których ich upodobanie, obowiązki, wojny i sprawy domowe powoływały.

Kraków, od tego czasu gdy Bolesław Szczodry skałał kościelne progi krwią świątobliwego biskupa, był jeszcze jakby pod klątwą; unikano go, tkwiły w nim wspomnienia straszne, obawiano się jakby miejsce samo nieszczęśliwem było.

Pustoszało potrosze opuszczone zameczysko, nie zartate nosząc ślady niedawnej jeszcze przeszłości.

Władysław Herman bezpieczniejszym się czuł w pośrodku ziem swoich, na mazurach w Płocku, niż w Poznaniu, Gnieźnie, na Szlązku i w Krakowie. Tu więc i on i dwór i królowa Judyta, cesarskiej krwi pani, przebywać z nim musiała, tu lata pierwsze spędzał Bolko, młodziuchny, jedyny syn królewski z Judyty czeskiej, bo 4 niemiecki trzy tylko córki rodzinę pańską pomnożyły.

Wdowa po królu Węgrów, krwią z domem cesarskim blisko połączona, królowa Judyta, spędziła tu życie, które sobie sama zabawami i wesołością zaprawiać umiała.

Król ehorowity lubił ciszę, ale nikomu się weselić i wedle myśli swój zabawiać nie bronił.

Zamek w skwarne dni lata tego, bardzo ożywionym nie był. Połowę budynków jego zajmowała ze swym dworem, niemiecko-węgiersko-polskim królowa pani, pół mniejszą król zamieszkiwał. Do koła obajga dwór a raczej dwa osobne dwory się rozkładały, nie licząc trzeciego, otaczającego królewicza Bolesława, naówczas jedenastoletniego, przy którym nieodstępny był ochmistrz jego, Wojsław, Sieciecha pokrewny i rówieśnicza drużyna.

Dworska gawiedź przy królu i królowej w większej części młoda była, rażna, ochocza i dosyć swobodna, bo taką i królowa pani i Wła-

dysław otaczać się lubił. Starszyzna służyła tylko aby trochę ładu wśród niestornej młodzieży utrzymać i z karbów jej wyjść nie dawać.

Pięćdziesiąt i kilka lat mający król, starszym się wydawał niż był w istocie. Zwał się panem i królem, ale królować się obawiał; cugle z rąk jego dawno się już w inne dłonie dostały. Rad był temu. Chorzał i stękał, a jeśli mu się kiedy rozjaśniło lice, to chyba gdy oznajmiono przybycie Wojewody Sieciecha. Naówczas i król i królowa, która go nad wszystkich przenosiła, występywali jak dla najmilszego z gości, życie się budziło w Plocku, twarze jaśniały radością, zamek brzmiał weselem.

Sieciech wojewoda wojewodów, naczelny wódz, namiestnik pański, ręka prawa, zjawiał się tu często, ale bawił krótko. Musiał zarazem na wszystko mieć oko, docierać wszędzie, pilnować granic, a w środku strzedz by mu się Starostowie z pod zwierzchnictwa nie wyłamywali. Trzeba było to się ku Krakowu puścić, to na czeską granicę podслуhać co się tam działo, to na Szląsk, to na niespokojne Pomorskie rubieże, to do Gniezna i Poznania, na grody, po ziemiach, gdziekolwiek się co luzowało i psuło.

Król dawał mu czynić co chciał, a co on uczynił, dobrem było. Królowa się też nie przeciwiała. Z jego ręki ludzie stali przy panu i przy pani, krewny jego Wojśław był przy królewiczu,

a kto nie od niego był, albo nie z nim, długo tu trwać nie miał nadziei.

Po skwarnych dniach lata, król osłabłym czuł się bardzo, a im się gorzej na zdrowiu czuł, tém Sieciecha więcej pragnął, bo mu tylko z nim i przy nim dobrze dyło.

Już dnia przeszłego wyglądano Wojewody; pytała się nieustannie królowa, król przypominał co chwila — Sieciech, mimo obietnicy nie przybywał.

Zamknięty w izbie, której okna ku północy obrócone, gorących promieni słonecznych nie dopuszczały, Władysław Herman wstał następnego dnia blady, nieustanne czuł pragnienie, wargi miał spiekłe, oczy zaognione, oddech ciężki, ręce drżące. Patrząc nań litość brała, tak nad wiek wyniszczonym się zdal i z sił opadłym. Oczy jego podnosiły się nieśmiało, patrzyły trwożliwie, cały wyraz twarzy cierpieniem był napiętnowany i wyczerpaniem. Dopalały się w nim resztki życia.

Wstającego z łoża dwu młodych chłopaków wzięło pod ręce, aby go przeciw okna otwartego, na świeżem powietrzu posadzić.

Król powiódł oczyma zgaslemi po izbie, po dworze swym, jednego z chłopaków służących mu poglaskał pod brodę i zapytał głosem ochrypłym.

— Niema?

— Pana Wojewody? podchwycił odgadując chłopak, który się nieznacznie uśmiechnął — nie, miłościwy panie.

— A gdzież on jest? — odezwał się jakby sam do siebie król — gdzie on jest?

Na to mu odpowiedzi nie dano.

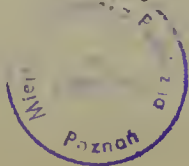
Nie było stołów rannych, obiednich dla dworu razem i państwa; król chory jadł u siebie, królowa sama, gdy rozerwać się była rada. szła między dwór i za stołem panowała. Szmer, tłum, gwar króla męczyły.

Że klęknąć nie mógł król pobożny, siedząc począł modlitwy odmawiać, co postrzegłszy chłopcy, stary szatny pański i podkomorzowie, którzy w progu stali, oddalili się. Wzdychając modlił się król, zadumywał, czasem modlitwa marła mu na ustach, to się jak pokutnik bił w piersi ręką wychudłą i kościstą.

Do koła cicho było, niekiedy śmiech się wyrwał zdala stojącej młodzieży i wnet przycichnął; to goniących się po podwórzu swawolników słychać było, których rozkaz starszych precz odpędził.

W drugiej stronie dworca u królowej bałaśliwiej i żwawiej ranek się poczynał, bo każde z państwa po swojemu żyło, jako chciało.

Raniej od wszystkich wstał królewicz i już w lesie był. Ten z konia prawie nie zląził, a choć jedenaście lat liczył dopiero, jak stary



do łowów i do wojny tylko wzdychał. Mordowali się z nim wszyscy, on nigdy dosyć nie miał.

Gdy po skończonej modlitwie służba weszła królewska i komornicy, niosąc jadło w misach pokrytych i napój w dzbanach, zapytał król naprzód słabym głosem o syna. Odpowiedziano mu że w lesie już był ze psami, a nie wracał zwykle aż nora.

Mimowoli oko królewskie zwróciło się na rozpostartą skórę niedźwiedzia.

Była ona pamiątką pierwszego, dziecinnego przed laty dwoma boju młodego Bolka ze straszonym zwierzem, na którego i starszy człek sam jeden nie rad by się porwał. Spotkawszy w borze starego niedźwiedzia, który się z polowicą swą w płasach zabawiał i igrał wesoło, Bolko puścił się nań mężnie, i choć mu śmierć groziła od rozjuszonej bestyi dla przerwanój zabawy, oszczędem go przebil. Skórę tą ojcu pod nogi młode chłopię rzuciło, jako zdobycz pierwszą.

Był to zadatek przyszłości.

— Nie darmo on Bolesławów imię nosi, odezwał się naówczas król, ale mu zapewne Szczodrego losy przysły na pamięć, bo posmutniał.

Zapytawszy wprzód o syna, spytał król potem o królowę, panią swą. Podkomorzy oznajmił iż obiadowała ze dworem i panami, którzy

przybyli z pokłonem. Starczyła ta wiadomość królowi i nie badał już więcej.

Na stojące przed sobą misy popatrzył obojętnie i polewkę jeść począwszy, o czémś innem dumać się zdawał. Oczy jego patrzyły w jedno miejsce i nie widziały nic, bo nie widzieć nie chciały.

W tém w podworcu zdała zaszumiało coś, zatętniało, królowi łyżka wypadła z ręki, zatrzęsł się cały, na poręczach sparl i poruszył jak do wstania. Ale sił mu nie stało.

— Wojewoda? — zapytał.

Służba rzuciła się do okien, inni wybiegli precz, i komornik królewski Zegrzda, rzekł wyjrawszy.

— Tak jest, miłościwy panie.

Z radości widocznój, drżąc cały, usiadł król bo na nogach się utrzymać nie mógł, blask jego oczom bladym powrócił, uśmiech ustom.

— Wojewoda! — powtórzył sam do siebie, Wojewoda!

Rozradowany był i odżywiony.

Zaledwie wyrazów tych dokończył, gdy drzwi boczne otwarły się z łoskotem, dał się słyszeć szelest sukni niewieścich i niewiasta ukazała się w progu, wchodząca śmiało, ku którój król oczy obrócił.

Była to pani już nie pierwszój młodości, ale pragnąca być młodą jeszcze; siostra cesarza Hen-

ryka IV., Judyta, małżonka schorzonego pana, tak zdrowa i rzeźwa, jak on był zniszczony i wybladły. Prawda że i twarz i strój z wielką sztuką były barwy jasnymi odżywione. Słusznego wzrostu, bujnych kształtów, dumą i lekceważeniem królowa. trzepiotowatość miała zarazem odbijającą dziwnie od dobrze zwiędłej twarzy, obwisłych policzków, oczu podbitych i pofałdowanych skroni.

Ubiór jasny, włos starannie trefiony, nawet kwiatek który trzymała w białych rękach przystałyby lepijć młodej dziewczeczce, a śmieszna czyniły niewiaścę, która dawno młodą już nie była.

Szła królowa ku siedzeniu męża, zwolna rozglądając się na wsze strony, uśmiechając do podkomorzych i komorników, nie wiele zdając troszczyć o chorego. Stała wręście o parę kroków od siedzenia i wachając kwiatek, odezwiała się głosem nieprzyjemnym, jakby w nim fałsz jakiś czuć było.

— Ciesz się, miły panie — pana Wojewodę mamy. Przyjechał.

Klasnęła w ręce, patrząc ku drzwiom, król uśmiechnął się, sklonił głowę i razem z nią ku drzwiom już spoglądał niecierpliwie, czekając zapowiedzianego.

Wszystkich wejrzenia zwracały się w tą stronę, milczenie było w izbie, Wojewody spragnieni byli wszyscy, królowa nogą uderzała o podłogę,

król siedział oparty o poręczę jakby do wstania się gotował. Upragniony ów gość nie ukazywał się jeszcze.

Judyta oglądała się i niecierpliwiła coraz bardziej, uśmiech przebiegał po jej zwiędłych ustach, oczy zmięknęły z wyrazem jakimś czułym; ręką w której trzymała kwiat potrzasała, to ją podnosząc do twarzy, to zabawiając się dziecinnie.

Król o jedzeniu zapominał, skinął na podkomorzego, który rozkaz ów niemy zrozumiałwszy wyszedł. W tém za progiem kroki slyszeć się dały, lecia króla i królowej rozjaśniły się, po brzęku ostrogi, po chodzie śmiałym, poznali wszyscy przybywającego, on to sam był, a z nim dwór dosyć liczny i bogato przybrany, który się u progu pokłoniwszy, zatrzymał.

Słuszny, wspaniałego wzroku i postawy, w siłę wieku mężczyzna, z twarzą jasną i młodą jeszcze, okoloną włosami złocistymi, oczyma bystremi zdawał policzył kto był w pańskiej komnacie. Wzrok to był co dwa razy spojrzeć nie potrzebuje. Królowa pierwsza, nim wszedł już go ręką z kwiatkiem witała, przymrużając oczy, uśmiechając się czule.

Król rozradowany wyciągnął dłonie obie, jakby wzywając ku sobie. Zwolna szedł ku nim po rycersku ubrany, można było powiedzieć, strojny Wojewoda; gdzie indziej z pozoru za księcia, a nawet za króla wzięćby go było można;

tak pańskie, piękne, rozkazujące, dumne, promieniste miał oblicze. Wpatrzywszy się w nie jednak strach przejmował, oczy były nielitościwe, w ustach siedziały fałszy i zdrady.

Stworzonym się zdał do rozkazywania, wyraz twarzy, postawa, chód, wodzem go czyniły; królowa Judyta patrząc nań zdawała się zachwyconą i przejętą.

Szedł jakby umyślnie powoli, gdy serca ku niemu leciały.

Król i królowa, znając go dobrze, spostrzegli zdala że niósł z sobą coś niemilego, że przybywał gniewny czy smutny. Chorego pana oblicze sciągnęło się, królowa posunęła się ku drzwiom, jak gdyby pytaniem uprzedzić chciała lub przestrziedz.

Zawahawszy się nieco w progu, wolnym krokiem, niby winowajca, lub zwiastun złej wieści, przybliżył się Wojewoda, klaniając panu i pani. Judyta, niezważając na małżonka, który także pragnął zwabić ku sobie, wyciągała rękę białą.

— Sieciech do mnie! — zawołał król żywo. Cóż tak ociężałym krokiem?

— Bo ciężkie, ciężkie na sobie brzemię niosę, odparł ponurym głosem Wojewoda.

— Jezus ukrzyżowany niech będzie z nami! wykrzyknął król — co się stało?

Mniej daleko zatrwożona królowa, usta zagryzła i bystrym wejrzeniem w oczach Sieciecha

szukała tajemnicy, z której wypowiedzeniem się tak opóźniał.

— Czesi nam niepokój i zawichrzenie niosą, rzekł Sieciech.

— O! te Przemysławy obłudne! — zamruczała królowa nogą uderzając o ziemię.

— Z jakiegoż powodu? — zapytał król ręce trzymając załamane.

— Bo im Szląska żal straconego, odparł Sieciech, stojąc u stoła przy którym król siedział — bo im się znowu zachciwa może Wrocławia i Krakowa i niewiem czego.

Odetchnął Sieciech, jakby się znużył, twarze się chmurami powlokły — królowa przystąpiła bliżej, zablisko może, bo się niemal o Sieciecha otarła, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę.

— Miěj, miłościwy panie męztwo wysłuchać wszystkiego jak jest, mówił zwolna patrząc na twarz króla Sieciech. Przekupiono Magnusa, którego ja dawno precz wyrzucić, oślepić lub zabić radziłem, bo czułem w nim zdrajcę; wzięto z klasztoru saskiego Zbigniewa.

Królowej twarz się zmarszczyła groźnie, król oczy sobie zasłonił i jęknął.

— Tak, miłościwy panie, kończył Wojewoda. Czechy co przytułek zdrajcom i zbiegom dawały, użyły ich i Zbigniewa, który śmie się synem starszym i prawym mienić. Zbigniewowi Magnus

Wrocław wydał, siedzi już na nim — Szląsk opadował.

Głuche milczenie w izbie zapanowało. Król siedział ciągle z oczyma rękami zasłanionemi; królowa spoglądała nań z rodzajem zimnego politowania. Sieciech stał ponury i zachmurzony.

— Trzeba lud zwołać i swoje odzyskać, a buntu nie dopuścić — odczuwał się Wojewoda.

— Wojna więc! — znowu wojna! krwi przelew chrześcijańskiej, wojna ojca z synem, jęknął król — a! nie, nie!!

— Niemожemy tracić Szląska, zawołał Sieciech, jutro puszcza się dalej, jutro nam zabiorą więcej.

Milczał król długo i jęk głuchy tylko z piersi mu się dobywał.

— Czechy! zaczął cicho. — Czechy. Król nie może być przeciwko mnie, przeciw nam! Swawolnicy obszyli się jego imieniem. Do króla się ze skargą na nich udać potrzeba, wezwać go o pomoc. W przymierzu z nim i z Węgrami jesteśmy, niech nas ratują.

— A myż sami się ratować nie możemy? zapytała królowa.

Sieciech głową potrząsnął.

— Z Magnusem zdrajcą jest część naszych — Wojna to przeciw miłościwemu panu, ale bardziej przeciw mnie, co łaską jego żyję i szczęśliwy jestem. Mnieby to oni obalić i odegnąć chcieli,

aby broili bezkarnie. Szląsk się oderwać chce, jutro Kraków tego zażąda, Mazury też i wszystko się rozpadnie.

Gdy Sieciech wspomniał że jego obalić chcą król wtrącił prędko:

— Ja bez was żyć nie chcę i nie mogę!!

Królowa potwierdziła to głowy skinieniem.

— Musimy się odczuwać do sprzymierzeńców bośmy swoich niepewni, dodał Wojewoda, ludzi przekupują i odwodzą.

Zamileczał król tuląc twarz w dłoniach i pasując się z sobą. Sieciech czekał odpowiedzi. W tém zniecierpliwiona wtrąciła się królowa, dotknęła ręką Wojewodę i rzekła.

— Co wy postanowicie i uczynicie to będzie dobrem. Widzicie że król się słabym czuje, zdał na was wszystko. Wy myślcie, wy poczynajcie, niedopuszczcie aby lada bękart groził ojcu własnemu.

Sieciech słuchając patrzył na króla, który myślami zdawał się być gdzieindziej.

— Magnus! przerwał nagle, niby sam do siebie. Magnus zdrajcą! a komuż ufać, wierzyć komu!

I ręce spuściwszy załamał.

— Miłościwy panie, wtrącił Sieciech — sprawa trudna, ale z pomocą Bożą damy radę bękartom i zdrajcom.

Dwa razy w rozmowie wyrzeczony wyraz, piętnujący nieprawe urodzenie Zbigniewa, przy-

kro się zdawał razić króla. Syknął jak z bólu i Sieciechowi dał znak ręką aby umilkł. Królowa gniewnie ramionami ruszyła.

Tak rozpoczęta rozmowa, przeszła w opowiadanie, które Sieciech ciągnął dalej, starając się wywołać gniew pański. Król słuchał milczący, blady, siedząc w krześle swém zwisty i bezsilny. Judyta przerywała niekiedy wykrzyknikami oburzenia. Wojewoda coraz się bardziej zapalał.

Wiść przywieziona przez niego popłoch na całym rodziła dworze, podawano ją sobie z ust do ust; wchodzili i wysuwali się u drzwi stojący komornicy, na podwórzu widać było skupiających się coraz gromadniej i gwarzących z dworem Sieciecha. Król tak był widocznie przejęty i osłabły że Wojewoda sam na razie, powieść swą o Zbigniewie przerwać musiał, i rzekł.

— Wam, miłościwy panie, spoczynek potrzebny.

Nieprzecząc temu, powiódł Władysław oczyma osłupiałemi i oparłszy się o krzesło zmrużył powieki.

Widząc to Sieciech powoli od stołu się odsunął, królowa skinęła aby szedł za nią.

Komornicy zaczęli się cofać ku wnijściu, król usypiać się prawie zdawał, ale z pod powiek zaciśniętych płynęły dwie łzy świadczące że cierpiał okrutnie, a wybuchnąć nie śmiał z tym bó-

lem. Gdy wszysej wyszli, podniósł powieki strwożony, i szybko zamknął je znowu.

Zostawiono go samym.

Królowa wiodła Wojewodę podsieniami i krużgankami ku swojemu mieszkaniu. Tu inny był świat, inne życie. Króla w jego komorach otaczała cisza jakaś złowroga, jakby śmierć zwiastująca, około cesarskiej siostry kręciło się wesoło ludzi mnóstwo, wszystko strojne, butne i trochę swawolne.

Swobody widać mieli do zbytku.

Przephych też większy daleko spotykał się na każdym kroku.

Judyta wprost do swjej komnaty prowadziła Wojewodę, którego orszak został u wnijscia, w drodze już poufną z nim rozpoczynawszy rozmowę. Chociaż przedmiot jej był smutny, siostra cesarska prowadząc ją niemal wesoło się wdzięczyła do pięknego towarzysza, który butnie a śmiało szedł koło niej. Oczy jej z tej mężkiej postaci rycerza nie schodziły na chwilę i zdały się w niej po długim niewidzeniu lubować.

Zbigniew niekiedy się uśmiechał, lecz wnet wracała mu powaga, znać było na nim troskę przygniatającą, która zaprzatała go mocno, tarła czoło dłonią, marszczył się i okazywał w mowie popędliwym i gniewnym.

W obec króla miarkował się i łagodził, teraz poufalej sobie poczynął, pewien będąc że słowa

jego zostaną dobrze przyjęte. W istocie królowa im potakiwała tylko i starała się widocznie dowieść że z nim trzymała jedno. Niekiedy słowem to ruchem wyrazistym potwierdzała oburzenie Sicciccha.

Komnata gościnna królowej, do której weszli, lśniła przepychem, lecz był to przepych owym czasem właściwy, który mógł przylgnąć na chwilę do ścian każdego domowstwa, gdyż cały był przenośnym i ruchomym. Nie zamieszkiwano wówczas nigdzie, obczowano życie całe. Najleńsza chata mogła się stać pałacem, gdy ją jak te izby obito oponami, kobiercami wysłano, zastawiono w niej sprzęty, okryto ławy proste poduszkami, i sukiennemi szkarłatami. W izbie królowej całe ściany odziane były szytem obiciem, podłoga wyłożona sukniem, stoły zwyczajnie osłaniały kobierce i opony.

Lśniło wszystko i świeciło, a kwiatów nad miarę rozrzuconych wszędzie, upajającą wonią napełniało powietrze. Lubiała bowiem królowa i co świeciło i co wonnym było, i co się uśmiechało niosąc z sobą wesele: śpiewy, gędzbę, twarze młode i mowy swobodne.

Przedłużała swoją młodość, okłamując się sama.

Wszedłszy do komnaty, padła królowa na krzesło swe u stola, całe wygodnie poduszkami wzorzystymi miękko wysłane, umieściła się w niem

tak aby wdzięczniej wydawać mogła, podparła na rękę, a widząc Sieciecha stojącego, wskazała mu ponagle ławę naprzeciw, ręką zapraszając aby bliżej jęj zajął miejsce.

Twarz Judyty, która piękną być chciała, przybrała jakiś pożyczany wdzięk młodość przypominający; spoglądała to tęskno, to zalotnie, to wyzywająco: gryzła kwiatek w ustach, i rzucała go pod nogi, ciągle Sieciechowi bystro patrząc w oczy, Wojewoda niezdawał się na to zważać wiele.

— Złe, złe wieści przywieźliście królowi, poczęła cicho i poufnie, jakby się lękała być podsłuchaną; złe bardzo, boję się aby to biedaka chorego nie wzruszyło zbyt. Kruchy i wątły ten pan mój, szeptała głos zniżwszy — słaby ciągle i stękający. Życia w nim mało! to przeznaczenie moje, nigdzie długo szczęścia nie zaznać.

Jakże się wam król zdaje? — gorzej? nieprawda?

Sieciech oczy spuścił.

— Tak, gorzej niżelim się spodziewał, rzekł cicho.

— O! gorzej jest co dnia! złe jest! Ja o tém najlepiej wiem, ja się znam na tém. Człowiek ten, niestety, nie może długo pociągnąć.

Mówiąc to królowa zdawała się bardziej tego pożądać niżeli się lękać, Wojewoda zmilczał.

— Uchowaj Boże co na niego teraz, poczęła

szybko siostra cesarska, rzucając oczyma niespokojnemi, cóż z królestwem, co z nami, co się ze mną stanie?

A! ojciec Bruno, który mnie na to namówił małżeństwo, odpowie przed Bogiem! W jednym, w was mam całą nadzieję, wy moim opiekunem będziecie...

Wlepila oczy swe ciemne w Sieciecha, wyzywając go do odpowiedzi, lecz nim miał czas ją dać, szczebiotliwa niewiasta dorzuciła.

— Na brata mojego Henryka, na synowców nie wiele liczę; chyba by młodszy syn wziął koronę, najbardziej na was, Wojewodo. Wy mnie nie opuście. Weźmiecie i sprawę i mnie, na ręce wasze...

Podala mu dłoń białą, którą Wojewoda milcząc do ust przybliżył, lecz bez zbytniego ukorzenia i uniżoności. W jego obejściu się z królową poznać było można iż ona go więcej niż on jej potrzebował, że pewnym był swojego stanowiska.

— Ja z wami zawsze — rzekł cicho.

Wyjaśniło się czoło Judyty, przysunęła się, pochyliła i zniżwszy głos, poczęła głosem śpiesznym.

— Król jest źle, on już z tego nie wyjdzie. Najmniejsza rzecz go nieponiornie trwoży, siły traci, nie w smak mu nie. Często godzinami ust nie otwiera, siedzi dysząc z oczyma zamkniętymi...

Ani go pytać trzeba, ani się radzić, wy radźcie sami...

Rnszyła ramionami białemi.

Wojewoda ciągle skłopotany milczał; brwi Judyty ściągały się trochę gniewnie.

— Uchowaj Boże nieszczęścia, wy tylko i ja zostanę. Wy królestwo całe macie w ręku, dziecko małoletnie, tego syna niewolnicy nie liczę, nie ma prawa żadnego...

Tak, Wojewodo, wy ze mną!

Widocznie chciała Judyta stanowczą wywołać odpowiedź, z którą Sieciech się ociągał, wodząc do koła oczyma i wążąc coś w sobie.

— Miłościwa pani, rzekł nakoniec, zawczasu dziś o tém mówić co jeszcze chyba dalekie jest. Król chorowity pożyje, potrzebny on nam dziś bardzo...

Wrocław zajęty, to są wszystko wrogi moje, zawzięci na mnie, przeciwko tym nie ja, ale król sam iść musi. Chory czy zdrow, trzeba go nam mieć.

— A! zrobi co wy mu każecie — spiesźnie wrzuciła królowa — ale nie wiem czy wywiózłszy go ztąd, nazał z nim żywym powrócić.

Potrząsa głową obojętnie; uśmiechając się do Sieciecha, król nie zdawał się ją obchodzić wiele.

— Zdzieciniały biedak cały dziś w rękach

waszych, ani go już liczyć — mówiła. Wsadzicie go na koń, pojedzie choćby konał. Jeżeli go tam potrzebujecie, czemuż nie? bierzcie — niestanie go, wy zastapicie.

Wyraziście te do zbytku usłyszawszy słowa, Sieciech dał znak królowej, wskazując na drzwi których zasłona zlekka zadrżała, jakby za nią ktoś odprawiał podsłuchy. Nie przstraszyło to jednak królowej, która usta zaciąwszy uśmiechnęła się pogardliwie i ramionami potrząsała.

Jednakże wstała z siedzenia, podeszła ku ławie i gdy Sieciech powstał, prędko mu coś szepnąć zaczęła. Rada była widocznie iż miała pozor zbliżenia się do Wojewody, parękroć uderzyła go po zbroi, klapnęła po rękę, dotknęła ramienia. Niesłychać było co mówili z sobą, lecz po szepciach przedłużonych, siostra cesarska głośnieć skończyła.

— Dokuczyło mi już z tym trupem żyć. Gdy się wola Boża stanie, nie wiele leż wyjdę. Brat lub synowiec mój temu da to królestwo kogo ja zechcę, a ja wiem kogo mam wybierać.

Cynicznie uśmiechnęła się królowa, Sieciech nie sprzeciwiał się jej wcale, chociaż oświadczenia te przyjmował dosyć zimno. Niekiedy trwożyła go drgająca zasłona, w słowa był skąpy, słuchał więc jej niż mówił i świetnym obietnicom

nie radował się tak bardzo. Napróżno Judyta usiłowała go ożywić.

Zbigniew, Wrocław, Magnus i Czechy nie dawały mu pokoju.

IV.

Noc już była prawie, gdy na osobny podwórzec, królewicz Bolko, w kilkanaście koni z drużyną swą, zajechał z łowów wracając. On i mało co od niego starsi towarzysze, w cwał, jak burza i wichry wpadli przeganiając się we wrota, i popędzili przed podsienia, u których służba czekała. Bolko konia swojego osadził w miejscu żelazną ręką, aż się spiał do góry i o mało wznak nie przewalił; skoczył lekko z niego i puścił, dwu towarzyszy ze swoich szkap zleciało.

Wojslaw ochmistrz królewicza, mający nadzór nad nim, wolniej dociągnął za niemi, gdy już Bolko, otrząsnąwszy się z kurzu, śmiejąc się stał ująwszy w boki.

Ci co pospadali śmieli się także, dwór cały był dobrej myśli, zwierzyna nabita oszczepami

i strzałami wisiała na siódlach, wlokła się poprzywiązywana do nich.

Dzień nie był stracony, powiodły się łowy; rżały do stajen i otrząsały się zmęczone konie, psy ujadły wesolo, trzepotały się sokoly, rozprawiali głośno ludzie, a młode chłopię co tym oddziałem dowodziło, po królewsku spoglądało na swe otoczenie, rzucając ku niemu słowa wesolemi. Ochmistrz tylko Wojśław burezał ponuro z konia zsiadając powoli znużony.

Śliczniejszego pana nad to chłopię, które z niebios na ziemię zesłał Ś. Idzi patron endowny, nad to dziecko wymodlone u Boga, widzieć było trudno jak te ziemie szerokie stały.

Lat dziewięć mając Bolko już w puszczy bil niedźwiedzie, a gdy z Siciechem pierwszy raz na wojnę się wyprosił, trudno było powściągnąć i utrzymać dzieciaka, który się parł gdzie największe było niebezpieczeństwo.

Natura to była owych pierworodnych, do wielkich spraw przeznaczonych gorąca, niepolamowana, szybka, nierozważna, zuchwała, prędka jak piorun, szalona jakby się swą młodością upajała.

Gdzie się on ukazał, był jak ogień co wszystko grzeje; ciepło się robiło gdy przystąpił, polłyskiwały oczy, śmiały się ku niemu usta, słowem ludźmi miotał jak chciał, rzucał niemi, bo

miał owo królewskie słowo co nie rozkazując nawet budzi do posłuszeństwa.

Mimo własnej woli krnąbrni nawet biegli gdzie wskazał, a on sam, skoro go myśl porwała nie zważając na niebezpieczeństwo, pędził zapamiętale nie zważając na nic. Kipiało w nim życie i jak wrzątek wylewało się za brzegi...

Chociaż jedenaście ledwie miał skończonych, rycerzem już się mógł nazwać, szanowano go jak dorosłego męża. Nad wiek się rozwinał, zmeźniał, zolbrzymiał; tylko nie porosła twarz i policzki niewieście o latach świadczyły.

Gniewało go to że starszym nie był, ale mu chłopięcych lat nikby był zadać nie śniwał, obawiano go się. Biłci już Pomorzan, krew przelewał, raną się chlubił, śmierci w oczy zaglądał nie drgnawszy, chłopak od Boga darowany.

Dość spojrzeć nań było gdy tak stał między słupami, otoczony drużyną, zdala każdy królewicza w nim poznał: kształtny był, krzepki, zwinny, giętki, choć całego swojego wzrostu nie miał jeszcze, już duży, ramion szerokich, piersi wypukłej jakby puklerzem okrytej, rąk silnych choć drobnych.

Twarz też była piękna, rycerskiego wyrazu, tylko około ust z jednej strony, wrzód który był nabral i rozpuł w dzieciństwie ślad po sobie zostawił, piękne wargi skrzywiwszy, nieco. Dziwny to wyraz dawało twarzy, nie szpecąc jej

bardzo. Królewicz mawiał wskazując na szram ten że broda i wąsy go pokrywają. Szkoda tylko że blizna nie od włóczni jest ale od wrzoda lichego.

Twarz miał ciemno ogorzałą, bo jej nie szanował i nie krył; czoło tylko jak śnieg białe, policzki rumiane jak jagody, oczy ciemne w których płomień skryte nieustannie paliło się i gorzało.

Gdy stał, choć spokojnym być chciał królewicz, drgał jakby go wewnątrz coś bodło i spokoju nie dawało.

Gwiazda to była wszystkich co się do niego zbliżali, kochali go wszyscy, choć podczas i srogim być umiał a popędliwym. Gdy się pogniwał a rozjątrzył ubić gotów był druha, choćby go potem oplakał.

Mówili nań niektórzy — Bolesława to onego wielkiego potomek prawy, odżyje w nim tamten, wdał się w niego. Miał odwagę niezłomną Chrobrego a Szczodrego szła bojowniczy i wspańiałość.

Straszném się to zdało że tak wczesnym był, bo w jedenastu leciech mężem prawie. Nie mu nie brakło, bo pobożność ojca i matki, której nie znał, odziedziczył, męztwo dziadów i ich rozum; po księgach go jednak szukać nie lubił. Słuchał chętnie rozumnych ludzi, mawiając że lepsze są księgi żywe nad te co się na zdechłych

skórach piszą. Do nich też i czasu nie miał, bo koń i oręż, zabawa rycerska śmiała mu się w dzień, marzyła w nocy...

Pieszczot macierzyńskich nie znał Bolko, niewieściego wychowania nie kosztował; matka mu zmarła na świat go wydając, a macocha nie lubiła tej perły, która nie jęj była. Wyszło mu to na dobre, że go zawczasu wzięli między siebie wojacy, bo w tym wieku, gdy drudzy się jabłkami bawia, on z łuku ptastwo strzelał, a konia małego dosiadał jakby doń przyrosnął...

Macocha go precz od siebie oddaliła, zdając na ręce Wojsława, ale ojciec za to milował jak oko własne jedynaka, owe dziecię z daru Bożego.

Szanował w nim niemal ten cud wyjednany ofiarą Ś. Idziemiu złożoną, że gdy się już potomka nie spodziewał, Bolko na świat przyszedł.

Pobożny król gryzł się bezdzietnością swą, bo mu Zbigniewa bez ślubu i błogosławieństwa duchownych narodzonego, za syna uznawać nie dozwolono. Kochał i tamtego a wyrzec się musiał, pragnął więc takiego któregoby kochać mógł bez grzechu. Milował go też nad wszystko w świecie, a i z tém prawie się musiał ukrywać, bo macochę to jęrzyło że nie jęj był ten którego kochano.

Z królem razem kochali go wszyscy oprócz zazdrośnej Judyty i oprócz Sieciecha.

Wojewodzie ten syn pański, dziedzie prawy,

choć go przy ojen pod niebiosa wynosił, był so-
lą w oku i strachem; stał mu na drodze, zapie-
rał wschody do góry...

Przed królem Sicciech mawiał zawsze iż mło-
dego pana ostro i surowo trzymać było potrzeba
aby się nie rozbijał zawczasie, nie zhardział do
zbytku, cugli sobie nie popuścił. Po cichu i wzdy-
chając przypominano cesarza Henryka IV, który
z obu synami miał zatargi. Z ręki też Sicciecha,
krewny jego Wojsław dodany był za ochmistrza
królewiczowi.

Wojsław może w początkach posłusznym był
temu co go posadził na straży, gdy Sicciech nań
patrzył, surowo się z wychowankiem obchodził,
ale się wprędce rozmiłował w nim, nawykł mu
ulegać i sprzeciwić się nie umiał. Urok ów i po-
tęga życia pełnego młodości podziałały nań. Za-
czynał często od strofowania a kończył na uści-
sku, wołał głośno a wprędce zniżał głos, uśmiec-
chał się, milknął

Wojsław mrukliwy był, podżyły, ciężki, czę-
sto do zbytku milczący; w potrzebie śmiały, ale
nie prędkićj myśli i niepewien siebie; Bolko go
wyprzedzał we wszystkiem, a gniewnego czasem
objawszy za szyję skruszył pocałunkiem i śmie-
chem. Powoli rozmyślając Wojsław widział wię-
cćj, rozumiał lepiej niż się zdawało, nie chwalił
się z tém, milczeć umiał. Mówił mało, ale to co
rzekł ważyło. Do niedźwiedzia podobnym był

z postawy i obyczaju, ruszyć mu się było ciężko, a gdy się dźwignął, druzgotał co popadł.

Rachował nań Sieciech jako na krewniaka ze swój ręki postanowionego, przeliczył się jednak sądząc że mu w myśl jego działać będzie. Władysław obowiązek swój pełniąc, nie na den zrozumieć nie chciał. Zżymał się Wojewoda, ale go już z miejsca ruszyć nie było można.

Gdy burza ta młodzięcza wpadła w podwórzec zamkowy, aż cały grod niemal zatrzęsł się od niej, pozostałe psy zamknięte w psiarui zawyły, konie w stajniach rwać się i rzeć poczęły, ludzie z komor powybiegali. Każdy się domyślił że to królewicz przyjechał.

W spokojnej nawet izbie królewskiej, oddalonej od Bolkowego dworu, zadźwięczały naczynia stojące na stole. Władysław nastawił ucha i uśmiechnął się, on także czuł że to syn jego ukochany przylecieć musiał... On jeden a chyba Pomorey drudzy na zamek iść mogli z takim szturmem i nagłością. Sieciech co przy królu siedział zmarszczył się, królowa stojąca przy mężu, zacięła wargi. Na twarzy Władysława Hermana malowało się jakby nłogosławienie.

Przybywało życie jego, tak jak ten co Wrocław zajechał, był dlań śnierznią i sromem.

Bolko stał w przedsieniu, chciał widzieć gdy zdejną zwierzynę, gdy psy, konie i ludzie się rozejdą, a na jutro nowe łowy, ludzi, konie i psy

zakazać. Na jutro mu obiecywano niedźwiedzia. Polowania dlań nie było na tego zwierza co pierzechał, ale na tego co walezył.

Już miał Bolko zakrzyknąć na swą czeladź, gdy z ławy na której wdali w kącie podsienia siedział, podniósł się młody chłopak bladęj twarzy, szczupły, drobny, ale zręczny jak jaszczurka co się między kamieniami zwija, z długim włossem jasnym, z ogromnemi oczyma niebieskimi, które mu z pod czoła wyskakiwać się zdawały. Był to ulubiony służka i towarzysz królewicza a zwali go Pruszyneką, choć imie miał Mikołuszką.

Szedł jak oduczony ze snu, i domyślić się było łatwo czemu; choć panu ulubiony w domu pozostał, bo rękę jedną miał całą chustami obwiązaną i niósł ją, niemogąc poruszyć. Na polowaniu dobijając borsuka dał mu się pochwycić zębami, tak że musiano żelazem ściśniętą rozwalać paszczekę, aby wydobyć dłoń chłopca strzaskaną, która się dopiero ziołami okładana goiła.

Dla Pruszyнки zostać w domu było srogą karą, ale ruszyć się nie mógł, bo słuchać musiał. Królewicz go lubił nad innych ze swęj drużyny, bo Pruszyneką szedł i biegł z nim, choć sił jego nie miał, w ogień i wodę. Dla Bolka gotów się był dać ubić i zarznąć. Sypiał u pańskiego progu, stał cały dzień u jego boku, chodził i jeździł gdzie się kolwiek ruszył.

Zobaczywszy go Bolko krzyknął wesoło.

— Cożes to nie zdechl Pruszyńko?

Chłopak potrząsł głową i włosy odgarnął.

— Nie, miłościwy panie, odparł z pokłonem, tylko z nudów a żala żem tu sam jeden zostać musiał, o małym nie przepadł; ręka się już goi, baba mówi za dni pięć, a ja za trzy do licha, plachty i onuczki rzucę w pokrzywy.

Rozśmiał się, rękę chciał podnieść i jęknął, pogroził mu królewicz.

— Nie dokazuj. rychło mi będziesz potrzebny.

— Wojewoda Sieciech przybył! cicho odezwał się Pruszyńka.

Skrzywił się nieco Bolko.

— Co mi potem! rzekł krótko.

— Licha nam nawiózł.

— Jakiego? co?

Wojśław stał niedaleko, usłyszawszy rozmowę zbliżył się z wolna swym niedźwiedzim, ocieźnionym krokiem.

Pruszyńka mówił dalej.

— Srogie rzeczy rozpowiadają.

Wyrwał się slysze klechom Zbys co siedział w klasztorze u Sasów, zawiedli go panowie do Wrocławia i jak na stolicy posadzili. Biorą go Szlązacy za księcia.

— Co ty szalejesz! przerwał Wojśław.

— Cały już dwór o tem prawi! zawołał urażony Pruszyńka, tak ci jest, król o mało nie omdlał gdy się dowiedział.

Stał Bolko namarszczony.

— Nie tak strasznego, odczwał się, ludzi zebrać a prędko, nie tracąc i dnia, dopóki oni głów nie mają, póki się nie spodziewają paść na nich i rozbić a zgnieść...

Ręką w powietrzu zakreślił koło i pokazał na ziemię.

— Dobrze! dodał, wojna będzie, a nie, toby się ludziska pospali i popuchli! — a! dobrze pojedziemy na wojnę...

Spojrzeli nań wszyscy — oczy mu pały.

— Ale on z sobą ma Czechów pono i Magnusa, rzekł Pruszyuka, ludzi dużo nabierali.

— A my to ich niemamy? śmiał się Bolko — on zbiera, my tylko wici pošlemy aby stawano, pod gardłem. Muszą być!

Co drugiem zachmurzało czoła, królewiczowi twarz rozjaśniło, rad był! Spodziewał się na tę wojnę wyprosić. Czemże dlań były lowy przy prawdziwej wojnie, w zażartym boju do którego wzdychał, walki w której się rąbano zajadłe i on mógł ręki na karkach ludzkich spróbować!

Z drugiego podwórca pędem biegł komornik królewski.

Król już wiedział o synu i wołał go do siebie bo cały dzień nie widział ukochanego i tęsknił, a chciał wiedzieć czy był cały, czy mu się nie stało nie.

— Król, pan miłościwy, wzywa a żąda was pilno — rzekł komornik, pospieszajcie.

Choć nie odziany był tylko tak jak na łowy, w kaftanie krótkim, w łosiowém, obcisłym ubraniu do konia, w bucikach do jazdy, a róg jeszcze miał na plecach i mieczyk myśliwski u boku — pospieszył jak stał.

A że niemiał śliniaczym chodem iść jak drudzy, popędził przedsięwzięciami żwawo, nim Wojśław miał czas mu przypomnieć aby się przeodział. Ruszył za nim powolny ochmistrz, gdy już mu z oczów zniknął, więc ręce załamawszy stał mrużąc.

W komnacie królewskiej, Władysław siedział na tym samym miękko wysłanym stolku, na którym go z rana zła wieść znalazła. Stała królowa u jego boku tak, iż król jej widzieć nie mógł, a ona Sieciecha naprzeciw stojącego miała przed sobą. Znaki mu dawała jakie chciała, nie bardzo troszcząc się o to iż u progu stojący podkomorzowie i komornicy je także widzieli.

Król posępniejszy był niż z rana, ale rzeźwiejszy nieco. Sieciech przy nim, gdyby drugi król swobodnie się obracał, a choć pana szanował z nawyknienia, znać było że go nie wiele ważył.

Po szybkim chodzie ojciec poznał Bolka, twarz mu się rozjaśniła, usta otwarły, na drzwi wzrok obrócił, zapomniał o wszystkim.

W tém po młodzieńczemu wpadło chłopię

z czapczką w rękę, z rogiem na plecach prosto biegnąc ku ojcu. Długie włosy rozwiane na ramiona mu spadały, twarz umyślnie rozweseloną przybrał, i szedł spiesząc do ręki ojcowskiej. Oburącz pochwycił go król za głowę i poczał nie mówiąc, ściskać i całować. Od ojca zwrócił się króliewicz ku Judyecie.

Ta dziwnie się z nim obchodziła, kochała go czasem do zbytku, częściej nienawidziła i niechęć wyraźną okazywała. Urok młodości tej wesołej, żywój, wdzięcznej chwytal ją za serce, potem wstręt jakiś odpychał. Była maeochą, a niemiała syna.

Zawahała się z podaniem mu ręki, aż zwolna wyciągnęła ją ku niemu. Bolko pochylił się do pocałowania i ustąpił prędko. Sieciech stał jak mur groźny, surowy, niemal straszny, na powitanie oczekując i niewyprzedzając go. Z wejrzenia jakie rzucił na syna królewskiego widocznem było że dlań nie miał życzliwości, że mu zawadzało to chłopię tak ukochane ojcu i wszystkim.

Pokłonił się zdala wojewodzie króliewicz, w zamian Sieciech ledwie głową skinął lekceważąc sobie dzieciaka.

— Bolck — zawołał król zwracając się ku niemu i ręce doń wyciągając — słyszalesz? wojna, mieć będziemy wojnę!

— Tak, mówiono mi coś gdym z konia zsiadał, rzekł króliewicz, niech więc Bogu będą dzięki!

Ręce obie podniósł do dóry, Sieciech się obrócił doń zmarszczony...

— Niegodzi się, rzekł surowo, wojny pożądać nigdy, nikt nie wie jak ona wypadnie.

Król westchnął głośno.

— A! gdyby i najgorsza była, rzekł wesolo królewicz, zawsze to wojna, a dla ludzi rycerskich cóż nad nią miłszego.

Czoło króla rozpogodziło się, cieszyła go ta odwaga dziecięcia.

— Prawy wojak z ciebie będzie, zawołał i pociągnął go ku sobie, całując w głowę.

Judyta skrzywiła się, Sieciech przeszedł w głąb izby kroków kilka, jakby na te pieszczoty ojcowskie nie rad patrzył. Stał potem nieco opodał, zwrócił się i przerwał szeptu króla z Bolkiem, których dosłyszeć nie mógł.

— Miłościwy panie, królewiczowi po łowach czas spoczywać, ja czekam rozkazów waszych, bo i jednę noc tracić nie trzeba.

Odprawiony w ten sposób Bolko oczyma się pytającami do ojca odwołał, a król ręką wskazał aby nieco ustąpił. Chłopak się cofnął ku ścianie, Sieciecha wzrok poszedł za nim.

— Mów, wojewodo, odezwał się król, nie nam chłopiec nie wadzi, niech słucha owszém i waszego się nieczy rozumu.

Była chwila wahania się i milczenia. Sieciech

spoglądał na królowę, ta mu znaki jakieś dawała, nareście poczał, będąc posłusznym królowi.

— Miłościwy panie, rany goić potrzeba dopóki się nie zaognią.

Wyśle więc i posłańców po grodach aby się ludzie nasi ściągali co najrychlej tu do nas. Musimy iść siłą znaczną na Magnusa i Wrocław. Zdrada jawna, lecz przystało nam zrazu w nią nie wierzyć, oczy zamknąć, spróbować ażali się nie pomiarkuje. Jeżeli go do rąk dostanę, łeb mu zetnę.

Pójdzie jedna ziemia po swój woli, osobno każdej się zechce swego księcia mieć i stać samopas...

Magnus zaskoczony nim siły zbierze, uleść musi i Zbigniewa nam wyda. Ale mi nie przystało samemu iść, powiedzą że ja to czynię a nie wy, miłościwy panie. Musicie być ze mną osobą swą, Sieciecha, nienawidzą, dla tego że wam wierze nie służy. Sieciech im solą w oku, na Sieciecha wszystko złe zwałają! Bez was, miłościwy panie, powagi nie będzie, Magnus ulegnie wam a mnie się opierać będzie.

Król słuchając z uwagą natężoną, kilkakroć dłonią drżącą powiodł po czole — wzdychał ciężko.

— Luźnym słowem które lada kto przynosi odczuwał się, nie dawajcie laeno wiary. Nim się rycerstwo zbierze, nim wystąpiemy, do Magnusa

trzeba słać z pytaniem, niech powie czego chce, co myśli. Podda się może bez bitwy, nie, pójdziemy nań, gdy inaczej nie może być.

Sicciechowi słuchającemu, twarz się mieniła i ramiona poruszały.

— Ślijmy do Magnusa, kiedy taka wola Wasza — odparł miłościwy panie; ślijmy doń, ale wici trzeba słać i lud gromadzić, aby być przygotowi.

— Gromadźcie, potwierdził król smutnie, wy lepiej wiecie co trzeba.

Bolko stojący pod ścianą ręce zacisnął z radości. Młódj głowie jego tylko zdalo się że słać do Magnusa nie było po co, a z buntem się w rozmowę wdawać nie potem; wprost nań uderzyć, rozbić i ukarać... Po dziecinnyemu myślał. Po co tu w słowa grać, gdy w miecze brzęknąć można!

Stało się milczenie.

— Niewiem ci co Magnus powie, począł Wojewoda, ale to wiem że podłym zdrajcą jest. On to z jamy dobył klechę, aby go przeciw nam prowadzić, nim się zastawić i ranić serce ojcowskie. Tak! zdrajcą jest, on i wielu innych po tych ziemiach co z nim przeciw mnie trzymają. Niemogą na króla uderzyć, biją we mnie, wiedząc że król stoi za mną.

Wszyscy przeciw mnie są, wszyscy przeciw wam, panie! zdrajcy niepoczciwi wszyscy!

Poczynał się coraz bardziej unosić.

— Na mnie biją, mówił, bo ja stoję na straży dobra pańskiego i całości tych ziem, które oni rozerwaćby radzi na kawały; każdy z nich ciągnie w swą stronę, radby sam panem być, słuchać niechce nikt. A co warte królestwo rozerwane na poly i szmaty?

Wszakci je krwawo Mieszko i Bolko spóili na to w jedno, aby siłę miało, na to korona im była dana, aby pod nią się wszystkie ziemie jak kurczęta pod kokoszą guieździly...

Władysław słuchając niby na stół patrzył, myślał niewiadomo o czém; wzrok czasem ukradkiem wyrwał się ku synowi. Roztargniony był i gdy się Wojewoda zatrzymał, rzekł jakby machinalnie.

— Ślijcieno do Magnusa.

— Kogoż, wasza miłość posłać każecie! pytał Wojewoda.

— Wybierzcie sami — szepnął Władysław, ja niewiem.

Królowa poczęła znaki dawać Wojewodzie, który się namyślał zdawał, mileżał.

— Duchownegobym słał — odezwał się Sieciech, aby pokryjomu i z ks. biskupem Żyroslawem się rozmówił, a jego też ku nam naklonił. Gdy ojciec a pasterz słowo rzecze, ludzie rychlej za nim pójdą niż za Wojewodą. Duchownegoby

potrzeba, ale takiego coby i mógł i chciał, nie-
widzę.

— Znajdźcie i wyślijcie kto wam po myśli,
potwierdził król zbywając się ciężaru.

Znowu królowa dała znak.

— Duchownego nie mam, Wojsława poślę,
gdy innego nie znajdę — odezwał się Siciech.
Temu przynajmniej zawierzyć mogą że mnie nie
sprzeda. Mojej krwi jest i wam wierny, miłości-
wy panie, Wojsław malomówny, powolny, ale
jak kamień twardy; nie przennienią go, nie kupią,
nie nastraszą.

— Ślijcie Wojsława, zamruczał król obo-
jętnie.

Ruszyła z politowaniem ramionami Judyta.

— Co ma rzec im? — zapytał uparty Wo-
jewoda.

— Co wy mu każecie, rzekł król zimno,
spuszczając oczy. będziecie wiedzieli jak mówić
do nich. Niech wichrzeń wszelakich zanębiają,
niech Zbigniewa nazad pod strażą do klasztoru
odeślą.

Mówił coraz ciszej, rozmowa widocznie króla
nużyła, ocierał pot z czoła tuwalnią, wzdychał,
oczyma niespokojnymi po izbie wodził, jakby ra-
tunku szukał przeciwko temu męczeństwu.

— Idźcie, wojewodo miły — dodał żywiej,
idźcie, rozporządzajcie, czynicie jako chcecie, wiem

że co uczynicie dobrém będzie. Na wszystko rękę daję — na wszystko.

Sieciech głowę uchylił, pomszył się jakby odchodzić miał, i zawrócił raz jeszcze.

— Więc woła wasza, wojsko ściągać — Wojśław jutro na zaraniu w skok do Wrocławia ruszy, takeście przykazali, tak się stanie, ale Wojśław wróci z rękami próżnemi.

— Usłyszym czego chcą — mruknął król trochę niecierpliwie.

Jeżeli zażądają co niegodziwe, postanowimy co dalej.

Gdy Sieciech już ku drzwiom się zbliżał, królowa za krzesłem pana stojąca, ruszyła się jakby goniąc za nim, Władysław podniósł oczy na nią, ale widząc że gdzieindziej była zwróconą, ku synowi spojrzał. Ruch ten dostrzegłszy macocha spieszniej jeszcze do wyjścia się miała. Suknia jej jeszcze nie znikła całkiem za zasłoną, gdy Bolko z pod ściany poskoczył i wesolo zbliżył się do ojca.

Oba się do siebie uśmiechali, król o trosce zapomniiał.

— Łowy? jak że poszło na łowach? spytał.

— Już mi łowy nie w głowie, kiedy wojna za pasem! — prędko poczał Bolko. A! miłościwy ojcze, po co do nich posyłać, na co ich pytać, iść na nich, na karki paść i tłuc!

O! ja — zawolał chwytając ojca za rękę, ja z wami i Sicciechem idę.

Władysław głową potrząsał.

— Nie — nie, rzekł.

Zachmurzyła się twarz Bolkowi, odskoczył.

— Chodziłem na Pomorze! zawolał.

— Inna to wojna, jeżeli od niej Bóg miłosierny nas nieuchroni — rzekł król smutnie. Któż wie kogobyś mógł napotkać naprzeciw siebie!

Bolkowi oczy się iskrzyły.

— Kto przeciw ojcu mojemu idzie, ten mi wrogiem jest, nie pytam jak się on zowie, zawolał.

Król przyciągnął ku sobie i w głowę pocałował, dwie łzy mu pociekły po twarzy, które otarł po cichu. Zamiast odpowiedzi głową potrząsał długo — słowa rzec nie mogąc. Głośna rozmowa, widać dla tych co u drzwi choć zdala stali, ale słyszeć ją mogli, przeszła w szepty ciche.

Król dopytywał, słuchał odpowiedzi rokoszując się niemi; widać było że żył w tém dziecięciu — uśmiechał się do niego, głaskał. Nagle przycisnął go do piersi i rzekł głośno.

— Idź już! idź!

Posłuszny syn, do ręki się pochylił, całował ją i zwrócił ku wyjściu. Na twarzy królewskiej niepokój się odmalował, na komornika skinął, który gdy się zbliżył szepnął cichym głosem.

— Ojca Lamberta wezwijcie do mnie.

Czy dozorca i kierownik sumienia królewskiego był tak blisko, czy się spodziewał i czekał wezwania wieczornego do modlitwy lecz i jeden pacierz, nie upłynął gdy już się ukazał na progu. Na widok jego cała służba komornicza, która dla rozkazów zwykła stać była we drzwiach, cofnęła się zaraz i znikła.

Ojciec Lambert, mężem był poważnym, lecz umiał składać tę powagę i surowość, a stawać się łagodnym w potrzebie. Rozm patrzył mu z oczów. Mimo dość podeszłego wieku twarz miał rumianą, od której siwe zupełnie włosy mocno odbijały.

Rysy były wyraziste, piękne niemal, ożywione przelatującymi po nich wrażeniami. Usta choć się starały być dumnymi, miały więcej łagodności i pobłażliwości, niż powagi, prawdziwy to był kapelan dworski, który dla spełnienia posłannictwa swojego naprzemiany różne przybierać musiał charaktery; do niczego już zbyt nie przywiązując wagi. Szedł z wolna do króla nie uniżając się przed jego majestatem, z którym był oswojony, patrzył tylko jakim go znajdzie, aby się do stanu chorąg zastosować duszy.

Król witał go z npragnieniem, zdala głową i ręką zapraszając ku sobie. Nieprzyspieszył kroku ojciec Lambert i dopiero przy stole stanąwszy, uklonił się.

Na wezwanie podał rękę, Władysław obyczajem wieku, z pokorą ją ucałował.

Oczy jego zwróciły się ku drzwiom niespokojnie, ale tam już nikogo nie było.

Rozkazawszy przybliżyć się duchownemu, Władysław pochylił się ze złożonemi rękami, jakby spowiedź przed nim miał czynić.

— Ojciec mój, poczał, ojciec uspokój sumienie moje. Nieszczęście dotknęło mnie. Grzech mój wychodzi na światło dzienne, aby się pomścił nieprawości mej. Chciałem go przed światem utaić, czyniąc ofiarę na przeblaganie Boga.

Wicie? zapytał król.

O. Lambert zawahał się trochę, choć z twarzy jego łatwo poznać było, że wiedział to o co był pytanym. Przez o. Lamberta, który sumieniem pana władał, kierował niem Sieciech, musiał go więc uprzedzić zawczasie.

— Wiem co Bóg dopuścił — westchnął kapelan.

— Wicie więc niedolę moją, na którą pociechy szukam i rady, mówił Władysław. Dziecię moje, które daleko ztąd ukrywałem, wyciągnęli na świat nieprzyjaciele moi. Mnie, ojca, na sąd powołują! na pośmiewisko podają!

Co pocznę? — Ojcem jestem i zguby dziecka pragnąć nie mogę.

Ojcem jestem.

Królowi pot zciekał z czoła, lzy z oczów, głosn mu brakło.

Dnehowny wpatrywał się w niego z uwagą milezącą.

— Coście uczynili raz — rzekł, a dobrém było, nie cofajcie. Osiem lat spędził w klasztorze, Bogn był ofiarowany, cofać nie godzi się daru położonego na oltarzu. To gniew Boży przeblaga. Spuścił głowę Władysław.

— A! mówili mi szeptał — donosili, pisywał przełożony, że go nałamać nie mogli i suknia mu powołania nie dała, krnąbrny był.

— Upor z tego ducha w nim złamać było potrzeba, rzekł o. Lambert.

Król w dłoniach ukrył czoło.

— Cóż winne biedne dziecko? wyjąknął.

— Dziecięciem grzechu jest, odpowiedział kapłan.

Nastąpiło milczenie, po którym król znowu mówić począł, jakby litości wzywał nad sobą.

— Ojcie mój! wy to najlepiej wiecie, ile takich małżeństw do niedawna było jeszcze, nim kościół nakazywać począł, aby bez jego błogosławieństwa ludzie się żyć nie ważyli. Niewiasta z której się narodził syn ten, prawą mi i wierną żoną była, żoną się zwała moją, tak jak ja mężem jęj się wyznawalem. I byłaby została małżonką moją do końca żywota jęj, gdyby mi po Bolesławie nie kazano wziąć tego ciężaru nad

sily, a innój królewskiego rodu małżonki dla potomstwa. Naówczas tamtą usunąć musiałem... dziecka się zaprzecć.

— Stało się i dobrze się stało, odpowiedział duchowny. Dla królestwa też waszego lepszym jest jeden co je dzierżeć będzie, niż dwu coby je mieli rozrywać.

Bolek miłym wam jest.

Królowi obficie się łzy rzuciły, płakał ręce wyciągając. ~

— Ojcem jestem, powtarzał, wnętrzość ojcowskie dla obu mam, i to jest dziecko moje!

Wyrzekł to tak silnie przejęty, że kapłan, który go nie spuszczał z oczów, na chwilę oniemiał, zbierając się do odpowiedzi.

— Miłościwy panie, rzekł po namyśle. Miłość ojcowska nie wymaga po was ofiary spokoju ziem tych i bezpieczeństwa. Gdy się Zbigniew narodził królem nie byliście, nie winicie mu działu z królestwa, bo by pokrzywdzonym był ten którego modlitwy pobożnej królowej wyjednaly. Azali w klasztorze szczęśliwym nie może być?

Milujecie Bolesława! powtórzył Lambert, bijąc w słabość królewską.

— Kocham go jak oczy moje, rzekł król — jak życie i nad to mizerne życie, ale na sumiecin kamieniem, brzemieniem cięży mi ten — ten!! Nocą słyszę płacz jego w kolebce, jawi mi się

nocami matka jego, staje u łoża i woła jako na Kaina.

Coś uczynił z dzieckiem mojem? — Azali ono i twojem nie było?

Trwożę się i drzę a boleję, bo gdy serce odpowiada, Bogum go dał na ofiarę, ona woła na mnie, iż Izaaka nie chciał Bóg od Abrahama, choć posłuszny pod nóż głowę skłaniał a ten niechce jęj poddać pod słodkie jarzmo Chrystusowe.

Widząc króla tak mocno poruszonym, iż w mowie czuć było niepokój, o. Lambert począł łagodnie go pocieszać.

— Miłościwy panie, sny i widzenia zsyla moc nieczysta... Krzyż od nich uwalnia. Klasztor nie jest stosem ofiarnym, ale przedsieniem przybytków niebieskich.

Mogliżście mu co lepszego dać nad spokój i pewność zbawienia? Czyż świat ma co droższego nad to? niemacie na sumieniu nic, boście wedle serca ojcowskiego postąpili.

Zamilkli, płakał król jeszcze.

— Módlmy się, ojcze, odczuwał się znudzony— psalmy mówcie abym je powtarzał za wami, alisci dusza się moja uspokoi i wstąpi w nią łaska pańska a da siłę.

Kapłan natychmiast ukląkł u stołu, złożył ręce, król nieco się przychylił klęknąć niemogąc i psalmy razem odmawiać zaczęli.

Nabożeństwo to trwało tak długo, że gdy o. Lambert powstał, aby odejść, a komornicy weszli aby króla rozdziać i do łoża prowadzić, znużony pan o swęj sile dźwignąć się niemógł.

Podczaszy niósł napój na sen w kubku złotym, drudzy misę, nalewkę i ręczniki, imi odzież nocną. Młodsza czeladź przyświecała. Dwóch pod ręce podniosło chorego i tak pochodem długim ciągnąc znikli w przyległej sypialni, a w pierwszej izbie zostali tylko na czatach komornicy.

Na zamku cicho już było, świeciło się tylko i poruszało w komnatach królowej. Sieciechowi ludzie stali pogotowiu zbrojni, których rozsyłał na wsze strony. Coraz to się z zamkowych bram wysnuęła gromadka i pognęła gościńcem w noc ciemną.

O. Lambert z pacierzy i rozmowy, wprost poszedł do Wojewody.

Pełno też tu było starszyny różnej, z którą narady trwały do białego dnia, wszystko co króla otaczało szło tu po rozkazy, bo Sieciech w Plocku, jak we wszystkich ziemiach panował sam, czynił co chciał i w rękach trzymał wodzę, które ściszał tém mocniej, im mu się bardziej wrywać chciało.

I na ten raz, ci co go znali, potrzęsając głowami zapowiadali, że groźbę i niebezpieczeństwo na swą korzyść obrócić potrafi.

Palatyn chodził zasepiony i gniewny, powtarzał ciągle jedno.

— Dam ściąć zdrajcę Magnusa, a z nim wszystkich spółników jego.

V.

Na wrocławskim grodzie, jak ludzie zapamiętali, czasu pokoju, nigdy nie było tak tłumno, pełno, gwarno jak teraz.

Nie tylko zamek, ale miasto, podzamecze, przedmieścia, wały i bramy obsadzone były wojskowemi, zalane Szlązakami i Czechami. Coraz to nowe jeszcze poczty przybywały. Noc mało się od dnia różniła, bo i w ciągu jej do wrót się dobijano, przybywały oddziały, zajeżdżali rycerze.

Pilnowano się czujnie u bram, ztąd coraz u nich nowe krzyki, wrzawa, pytania i odpowiedzi miały się długo, nim gości niecierpliwych się wpuszczono. Obawiano się zdrady i podejścia. Wysyłano dniem i nocą czaty na gościńce, wici po resztę ludzi, wybiegali zbrojni, wysuwali

się piesi, ciągnęły wozy ze zbożem i sianem dla nagromadzonego rycerstwa.

Namiestnik Magnus krzątał się pilne oko mając na wszystko. Na podzamczu, w kilku uliczkach drewnianymi ostawionych chatami, zwykle cichych i pustych, po których innego czasu więcej krów chodziło niż ludzi, stały teraz kupy różnej gawiedzi, gwarzyły, rozpytywały się, spierały. Zatrzymywano konnych, wykrzykiwano, a gdy od zamku się słyszeć dawał ruch jaki, oczy i uszy cheiwie się zwracały ku niemu.

Widać było ciągle sotnie zbrojnych w hełmach okowanych, z oszczepami na plecach, toporami, łukami i tarczami, przeciągające od zamku na wały, z wałów napowrót ku zamkowi. Wszystko się jakby do wojny gotowało.

Miejscowi ludzie, choćby się wysypali wszyscy na rynek i ulice tyleby wrzawy nie wnieśli z sobą, aniby ich tak wszędzie było pełno; czuć było obcych, a ci się najzwawiej ruszali, najwięcej dokazywali, najgłośniej krzyczeli. Gawieź ta nie mogąc się cała na zamku pomieścić, po domach mieszczan się rozpościerała. Dolatywały z nich niewieście krzyki, śmiechy i łajania.

Wyrwała się czasem uchodząca dziewczyna z rozpuszczonemi włosami i wpadłszy w tłum, z jeszcze większą trwogą wracała nie wiedząc gdzie się schronić.

Na targowisku, u studzien, koło zamku, na-

mioty i szalasy gęsto stały jedno koło drugich. Tu i owdzie całemi rzędami konie u ladajakich żłobów powiązane się pasły. Przed namiotami kilką powiewały białe chorągiewki. Na przyźbach siedzieli gęślarze nucąc, a tłum obstępował ich dokoła, przysłuchiwał się i wtórował...

Już zdawało się wszędzie jak nabitó, a ciągle jeszcze przypływało coraz więcej ludu. Wehodzące kupki szukały sobie miejsca, wszczywały się spory, zanosilo na bitwy, aż wójci nadbiegający rozstawiali, uspokajali i godzili.

Spokojni ludzie patrzali na tę nagłą powódź zalewającą miasto ze trwogą. Nie w smak im ona była. Wiedzieli z doświadczenia co znaczy sprowadzanie żołnierza i konni ono najdolegliwsze. Za tem szła wojna, obleżenie, głód, mordy i wszystkie plagi Boże. Ale mały człek wielkich spraw odżegnać nie zdola. Patrzali osłupieni, a baby i dzieci tulily się po wyżkach wylękle.

Gdy się to działo w mieście i na targowisku, na grodzie gorzej było jeszcze. Tam się już prawdziwe obozowisko rozkładało, choć noc nadeszła jasno było od ognisk porozpalanych, przy których ludzie leżeli, nie rozdzielając się na straży. Czaty chodziły dokoła, we wszystkich wrotach czuwały warty, z okien poodsuwanych szum i gwar straszny i światła bily, jakby wesele obchodzono. W podwórcach, choć pod okiem starszyny, nie uszło pół dnia bez zatargu krwawego, który se-

tnicy kijmi uciszali. Z zaniku też dolatywały głosy, jakby i tam nie lepiej się działo.

W prawo i lewo od wielkich sieni na dworcu świeciło, drzwi stały otworem szeroko, tu i tam ścisk ludzi widać było, tak że przybywający ledwie do środka dobieć się mogli. Służba konwie nosiła i beczki próżne wytaczała, bo pić trzeba było dać, a po skwarze letnim żłopali chciwie kto się dorwał, jak ze studni.

W lewo kilka izb poninąwszy, była jedna największa, w której starszyna siedziała u stołu, choć stół już próżny był i kubki tylko a dzbany na nim.

Na ławach jeden przy drugim, w postawach różnych, siedzieli ludzie rycerscy poopierani, pół leżący, niektórzy poskładawszy głowy na rękach ze znużenia.

Namiestnika Magnusa w tłumie tym odróżnić łatwo było, bo mu wszyscy cześć oddawali, a i postawa była nielada. Wzrost ogromny, otyłość wielka, twarz szeroka, ręce silne. Olbrzymem się wydawał przy drugich, a gdy głos zabrał, jego jednego wśród największej wrzawy słyhać było. Głową wszystkich przechodził, a że mu z niej już dużo włosów spadło, świeciła góra biała i lśniąca. Rysy twarzy wyraziste, grube, szerokie, zdala były w oczy. Że lato odzieży ciężkiej na siebie nie dozwoliło brać, miał kaftan szkarłatny wdzia-

ny bez gźła na ciało gołe, a na nim u szyi łańcuch ciężki złoty.

Kilku duchownych w sukniach ciemnych około niego stało, kilku tuż tylko co zbroje z siebie pozrzucali, bo na skórzanych kaftanach znać było powyciskane ich ślady.

W pośród nich na szerokiém krześle i węglowiu, zmieniony do niepoznania siedział niedawny kleryk, teraz pan a syn królewski Zbigniew.

W sukni mniszėj niezgrabnym był, teraz, gdy się pstro i bogato przestroil nielepij mu było; twarz się tylko wielce przerobiła, gniew i złość z nićj zeszyły, została chytróść i buta wesola.

Na siedzeniu swém nie siedział a leżał rozpostarty, sam się sobie przyglądając niekiedy, tak mu dziwno było iż się tu znalazł; łańcuchem, który na piersi miał bawił się uśmiechając do niego, to pasem od mieczyka, na który z ukosa czasem poglądał.

Pas był misternie kowany, sadzony i świecący.

Sukni nowėj rękawy to naciągał, to spuszczał, to kolo szyi rękami przebiecał, to włosy jeszcze krótkie przyglądał, bo mu postrzyżyn klasztornych wstydz było.

Przez ten czas gdy wolnym był, na brodzie mu się włos puścił rzadki swobodnie, pieścił się też z nim, choć wedle życzenia nie rosnał, zasiewał się nędznie, a sterczał twardo. Rysy twarzy

rozweselone nie wypiękniały, grube były i niekształtne; wzrok latał dziko, usta krzywiły się szydersko. Ludzie się doń nie bardzo garnęli, a i ci co mieli do tego ochotę, rozmówiwszy się prędko ją tracili.

Wśród kółka które go otaczało stał namiestnik Magnus, poważnie ręce za pas pozakładawszy, silnym i donośnym głosem rozmawiając ze starszyzną.

— Hej! hej! prawil śmiejąc się, już tam w Sieciechowie i w Plocku trwoga być musi. Podkrólik nasz miota się jak podsmalony. Kto wie! może już ciągnie na nas, bo to prędkie człek, ale czaty rozesłane, dadzą znać w czas, będziemy wiedzieli co czynić.

— Już tam z nas, ozwał się jeden ze Szlązaków, nieposłusznych wichrzycieli uczynią, za to żeśmy się za krzywdę pańskiego dziecka ujęli. A no! niech aby jedna ziemia swojego pana ma, nie Sieciccha. — Dosyć już tej Sicciechowszczyzny.

— Pewnie! pewnie! dodał Dobek z Morawicy. Za króla i za jego krew stajemy. Matka Zbigniewa była siostrą naszą, czemuż to dziecko nie ma być tak dobre jako i drugie co je aż święty Pański na ziemię znieść musiał.

Duchowny blisko stojący, oburzył się, tak jako niegdy opat na Dobka, który język miał nieostrożny.

— Ze świętami pańskimi tylko się za panbrat

nie stawcie — rzekł — aby wam nieświęta siła głowy z karków nie zdjęła za to bluzganie!!

Dobek, który wprzód księdza nie widział, uderzył się po głbie, i unilkł poczuwszy winnym.

— Żart to był! rzekł pokornie po chwili.

— A no — głupi — odparł surowo duchowny, spoglądając nań z góry; świętych rzeczy usta ladająciami nie tykajcie, aby wam język nie usechł.

Dobek zbliżył się i w rękę go pocałował.

Żarty z duchownemi niebezpieczne były, oni panowali i rozkazywali. Duchowny nie dawał się przebiagać.

— Pamiętajcie ino dobrze, dodał, co się z bezbożnym królem Bolesławem stało, abyście i wy jak on nie zginęli marnie.

Skłonił Dobek głowę.

Po za krzesłem Zbigniewa stał młody człek, namiestnika Magnusa bratanek Zahoń; blade chłopię, jak tyczka od chmielu wyrosłe bujno a nie silnie, chude, potulne i nieśmiałe; był to przybozny księcia dworak, który się do doń przygarnął.

Z nim po cichu mieniał słów potroszę Zbigniew.

— Nudno i u was mało nie jak w klasztorze za klauzurą, szeptał rozglądając się dokoła po twarzach i wyciągając jakby mu się na sen zbierało. Ani gędźby, ani pieśni, ani wesołego słowa, ani twarzy niewieściój nie najrzeć.

— Miłościwe książe — szepnął Zahoń, nie pora

potemu. Między taki tłum niewiast się wprowadzać nie godzi, sromotyby się bardzo, bo ludzie języków nie strzymają. Gędzby też niktby słuchać nie chciał, kiedy wszystkim w głowie że lada chwila rogi zagrają może.

Zbigniew niecierpliwie się poruszył.

— No — rzekł — naówczas też pora będzie myśleć o wojnie a na konie siadać, dziś, wolałbym dla siebie zażyć dobrej chwili a nie wędzić się w tej głupiej wrzawie.

Spojrzał pogardliwie po ludziach i zamilkł. Zahon nie miał co odpowiedzieć. Książę wydawał mu się nad wszystkich rozumniejszym, bo pięknie i łatwo mówić umiał. Zbigniew oczyma wodził po izbie, niekiedy poziewnął, nierzadno mu było wśród ludzi starszych, którzy o poważnych sprawach gwarzyli. Dobek zbliżył się doń jakby go chciał rozerwać, bo inni zaniedbywali.

— Cóż, miły panie, nie probowaliście dziś łuku, albo miecza? spytał — nie dosiedliście konika? Zdaloby się teraz, póki czas obeznać z ryccerskiem rzemiosłem!

Zbigniew z lekceważeniem, wzgardliwie usta wykrzywił.

— O! wielka mi to nauka — odparł, noża z pochew dobyć i na odlew ciąć. Nanke tę ma parobek każdy, póki siły staje. Konia między nogi wziąć i trzymać się na nim, nie wielka też

sztuka. Jam do dowództwa stworzony a nie do bicia się, a dowodzić, da Bóg potrafić.

Dobek głową potrząsał.

— I na to trzeba doświadczenia — rzekł sucho.

— To się go dostanie — ciągnął dalej tym samym tonem Zbigniew. W klasztorze mnie tego nie uczono. Za grzech mi nikt nie weźmie że do razu żołnierzem nie będę. Temu co panuje więcej trzeba głowy niż dloni. I uderzył się w czoło.

— E! e! zaśmiał się Dobek — obojga pono zarówno! Jak jedno będzie słabe drugie się nie na wiele przyda...

Książę się uśmiechnął pańsko, próbując ręką wąsa, którego jeszcze nie miał.

— Wiemci ja co mi potrzeba — zawołał dumnie. W klasztorze mi rozumu nie wycisnęli dusząc, a myśleć dość było czasu!

Dobek, któremu się tego dnia jakoś nieszcześnieilo, już chciał na inny przedmiot, mniej drażliwy nawrócić rozmowę, gdy tłumit się stal u wchodu i głosy jakieś podnosić zaczęły. Magnus natychmiast niespokojne oczy w to miejsce zwrócił, kędy tysiącznik jego Pałka, nawet hełmu z głowy nie zdjawszy, przez tłum się przeciskał szukając go oczyma niespokojnie.

— A co tam niesiesz, Pałka? zapytał zdala, przez głowy drugim Magnus.

— Miłościwy wojewodo, głośno poczał przybyły, którego reszta starszizny nie wiele obcho-

dzila; tajemnicy w tém niema, godzi się i głośno o tém powiedzieć. Nasze czaty posła od króla oznajmują. Jutro tu ma być.

Usłyszawszy to zgromadzeni ruszyli się wszyscy.

— Poseł od króla! poseł? sam? z ludźmi! Gdzie? kto go widział? poczęto wołać ze wszech stron.

Wstał i Zbigniew ale z namarszczoną twarzą, poczuwszy urazę że się z tém oznajmieniem do namiestnika zwrócono, nie do niego, który tu już pierwszym chciał być. Wtrącił głośno.

— Któż? gdzie te posły? do mnie?

Tysiącnik mało co głowy skłoniwszy, dalej znów mówił do Magnusa, jako do swojego dowódcy.

— Poseł z niewielką garścią o milę ztąd na nocleg stanął.

— A poczet ma duży? słyszysz! przerwał Zbigniew chcąc na siebie zwrócić uwagę.

Palka nie zbity z tropu, patrzył ciągle na Magnusa, wahając się z odpowiedzią.

— Poczet ma duży? powtórzył namiestnik.

— Jest tam, słyszę, koni może ze dwa dziesiątki — odparł Palka.

Magnus, który, jak inni, do zbytku na królewicza nie zważał, wtrącił od siebie.

— Niewiecie kogo do nas wysłano?

— Poważny jakiś człek — mówił Palka — mó-

wili że się Wojsławem zowie. Ode dworu i osoby pańskich.

Popatrzywszy po otaczających, Magnus dał znak Palce głową że odejść może. Skupili się starsi, poczęli szeptać i naradzać się po cichu między sobą. Widząc to Zbigniew, urażony że go na boku zostawiono, podszedł ku nim, właśnie w dobrą chwilę, gdy się starszyczna Magnusa otaczająca do drugiej izby ruszała.

— Coż poczniemy? zapytał królewicz stojąc naprzeciw namiestnika.

Zmieszał się Magnus nieco, zawahał, ciężko mu było z odpowiedzią.

— Miłościwy książę — rzekł wreszcie pomyślawszy długo, i nie rad widocznie że mu się książę wtrącał — dajcie nam samym naradzić się a rozważyć, potem ja, miłości waszej przyniosę co uradziemy.

Nie w sniak to poszło książęciu.

— A jaż to się wam nie zdam do rady? zawolał nieco gniewnie, oczyma złośliwemi tocząc dokola.

Magnus go odwiódł na stronę.

— Zostańcie, wasza miłość tu — tak będzie lepiej, rzekł, zabawiajcie się, ludzi sobie jednajcie, my z sobą śmielej bez was mówić będziemy. Sprawy są nasze domowe, wam jeszcze nieznanne... Tak lepiej.

Nie odpowiadając już nic, Zbigniew zagnie-

wany poszedł się rzucić na ławę i podparł łokciem, nie tając iż mu nie w smak było, odsunięcie od rady, a zbywanie się jak młokosa. Tymczasem starszyczna polska i czeska z Magnusem poczęła się wybierać do bocznej izby, którą za nią zamknęto. Kobiety z niej pewnie przez szpary musiały się przypatrywać zgromadzeniu, bo słychać je było na widok Magnusa pierzchające, strwożone, śmiejące się i pokrzykujące...

Izba też to była dla rodziny i domowników nie od gości, sprzęty jej mówiły o niewiastach, czuć było kądziel i zioła wonne, nabiał i jadło.

Magnus nie mając już gdzie wprowadził tu starszyczkę, odprawiwszy niewiasty do klęci. Weszli milczący panowie. Kobiety zaraz drugie drzwi zasunęły za sobą... Chciał i Dobek wniknąć, ale mu Magnus w progu szepnął.

— Piłnuj swojego królewicza — a zabawiaj go — my tu radzić musimy. Co obradzimy powiemy wam.

Widać było z twarzy Magnusa niepokój jakiś i podrażnienie, inni też nie bardzo patrzyli wesoło. Westchnął Magnus, odszedł nieco w głąb i do jednego z poufalszych odezwał się.

— A co? rzekł — książęcia własnego mamy!! Mnichy z niego zrobiły niewiem co. Ni z pierza ni z mięsa, ale królewska buta jest.

— Prawi niezgorzdej — odezwał się drugi — języka dosyć ma, w głowie też jasno, tylko że do

roboty się nie bierze, do konia i do żelaza go nie napędzić... Rycerz z niego nie będzie tegi.

— Patrzy jako zwierz, gdy go z nory dobędą — dodał trzeci.

Nie pochwalił nikt.

— Wszelako jaki on jest, lepszy będzie od Sieciecha — zakończył inny.

— Cóż z posłem od króla czynić będziemy? zagaił Magnus — Wojśław to krewniak Sieciechów. Oehmistrz królewicza, znam ci go, lepszy jest niż się zda.

Wszyscy po sobie patrzali, głowami potrząsając, nikt z wyjawieniem zdania nie spieszył. Najstarszy Chramy, odezwał się brodę targając, jak miał we zwyczaj.

— Ha! co się stało trudno odrabiać. Zgodziliśmy się królewicza wziąć, trzeba przy nim stać.

— A jeżeli siłą zechce nas przemagać Sieciech — mówił Magnus. Mamyż krew rozlewać?

Nie odzywał się nikt.

— Czechy nas poprą i pomogą — bąknął jeden.

— A no, pewnie, poprą tak że zajadą i złupią — rzekł Magnus — zamiast Sieciecha będziemy mieli, jakiego Przemysła! Co myślicie! Jeśli się zładzim zgodnie, dobrze, jak ma wojna być o tego mnicha, ja grodu i ziemi na łup dla niego dawać nie myślę. Nastraszą się naszej siły, niech Zbigniew siedzi, jak nas wojować zechce, za zdraj-

ców i nieprzyjaciół głosić, nie warta krwi naszej sprawa. Sieciech ma ludu dosyć.

— Oho! zawołał Czech, który nieco dalej stał, a Dobrosław było mu innie. Jakeście prędko wzięli sprawę, tak ją też rychło rzucacie. Tożescie się zgodzili królewicza trzymać i popierać.

— Nie wypędzamy go też — odezwał się Magnus kwaśno — ino wojna, sroga rzecz. Kiedy musu do niej niema, lepić nie poczynać.

— Zkądże to wiatr dziś zawiewa! wtrącił Dobrosław.

— Ten sam co i wczora — mruknął Magnus — rozumu zawsze trzeba. Sieciechowi strachu napędzić, aby nam tu nie bruździł, nie królował, toć trzeba, a od swoich odstać i ze swemi się zarzynać!!!

Warknął Czech coś niewyraźnie, inni za Magnussem trzymali.

— Królewicza nie opuścimy, rzekł jeden, a na rzeź się za niego też nie damy, i jego nie uratujemy przez to i ludzi nagubim.

— Gdy poseł przybędzie — ciągnął Magnus dalej — powiemy mu że przeciw królowi podnosić się i z królem wojować nie myślimy, przeciw Sieciecha występujemy. Niech nam król nie on panuje, niech ludzi nie wygania, niech głów nie strąca, oczów nie łupi... Dosyć było Sieciechowych rządów, jam tu z rannienia pańskiego, niechże mi równy nie rozkazuje.

— A jak król nie przystanie? zapytał Chramy, jak się nas nie ulęknie?

Pogladził się Magnus po łysinie.

— Ja grodu na łup nie dam, rzekł, a czyja woła w polu się potykać, nikomu nie zbrojno.

— Tak lepiej, dodał drugi z boku. Kto ma wolę rozprawiać się orężnie, niech z murów wyciągnie. Grodu szkoda, na obleżenie ani żywności, ni gotowości niema.

— Ani ochoty — zakończył Magnus.

Milczał trochę, a potem dodał:

— Prawdę-li rzec? po królewiczu więcej spodziewaliśmy się. Na kleryka on pewnie dobry, a będzie-li zeń żołnierz, nie wiem. Z oczów mu groźnie patrzy, z gęby mu słodko płyną słowa, a ręce wiszą. Ni do konia ni do miecza ochoty niema. Włożył zbroiczkę, nie dotrwał w niej pół dnia, już mu barki gniotła, aż się skrobał.

Rozśmiało się kilku, nikt nie sprzeciwiał.

Rozpoczynały się narady, gdy, drzwi przebojem otwartszy Zbigniew się zjawił ciągnąc Dobka za sobą. Wstyd mu było z rady zostać wykluczonym.

— Cóżście uradzili? rzekł od progu, miotając oczyma, aby wyczytać im prawdę z twarzy, nim ustami skłamał.

— Tak jak nie — odezwał się Magnus wodząc wzrokiem po swoich, zobaczemy co jutro pokaże. Nie wiemy co posel niesie.

— A ja wiem — przerwał Zbigniew — jasna rzecz, zechcą abyście się poddali, mnie katom w ręce dając.

Oburzyli się wszyscy.

— Nie bójcie się, miłościwy książę — odparł Magnus — wziąć was z między siebie nie damy. Zawczasu dziś mówić o jutrze, niewiedząc co ono przyniesie, ale zdrady się nie dopuścimy. Król gdy posyła znać chce zgody...

Bystrém spojrzeniem po twarzach poznał Zbigniew iż przed nim tajonó sprawę, a zbytniej dlań miłości nie było. Zgadł niemal co się święciło.

— Miłościwi panowie, odczwał się podnosząc głowę. Nikomu ja nie prosił aby mnie z klasztoru wyciągano — samiście to, po dobrej woli uczynili. Teraz gdy ja swobodny, o prawa swe się upomnieć mogę — nie ustąpię od nich. Jeżeli poseł niesie zgodę i to co mi należy jako króla synowi, dobrze — zechcą-li mnie znówu zamurować a opuścicie wy mnie, pójdę do Czechów, pójdę do cesarza, pójdę do pogan bodaj, a praw się upominać będę.

Mówił żywo, przejęty mocno i kilka głosów odczwało się:

— Nie opuścim miłości waszój, nie opuścimy. Magnus stał milezący długo.

— Będziemy przy was i za wami — odczwał się — tylko w grodzie się zamykać niebezpieczna

rzecz. Gród macie jeden w ręku, dać go na zniszczenie? nie godzi się. Przyjdzie do oreźnej rozprawy, potrzeba ciągnąć w pole.

Zbigniew się zadumał.

— Pewnie, byle było z kim w pole iść — rzekł. Toć i dziecko wie, że gdy za murami tysiąc ludzi, przeciw sześciu tysiącom bronić się może i obronić, w pola równe siły mieć trzeba.

— Prawda! prawda! potakiwać zaczęto, dając się ująć wymowie.

— Zatem eo? wtrącił Dobek, z kąd wziąć to wziąć, lud zbierać trzeba i siłę gromadzić. Czechy nam pomogą.

— Pomożemy — rzekł Dobrosław.

— Szlżaków pancernych i tarczowników, jazdy i pieszych, co od załogi zostaje, niech idzie z wami — odezwał się Magnus. Nie będzie tego wiele.

Książę w ziemię patrzył, lecz trwogi na nim widać nie było.

— Tak—począł głos niższy, tak, panowie mili, nie prosiłem się ja z klasztoru, ale się do niego nazad wsadzić nie dam. Ludzi choćby z piekła muszę mieć.

Na to wspomnienie piekła w ustach kleryka, kilku się trwożliwie przeżegnało i cofnęło.

Z twarżaniami posepnymi stali dokola wszyscy, radzić więcej się nikomu nie chciało. Dwu bliż-

szych drzwi wysunęło się zaraz do pierwszej izby. Wkrótce i trzeci pociągnął za niemi.

Malo poczekawszy dwu znówu zbliżyło się do wnijscia i znikło. Magnus tylko i Dobek ze Zbigniewem zostali.

Zbliżył się Dobek z Morawiey do namiestnika.

— Na ludzi — odezwał się — trzeba złota i srebra — a zkad ich wziąć?

— Ja nie mam — krótko rzekł Magnus.

— Ani ja — dodał Dobek.

— Ni też ja — śmiejąc się szydersko dodał Zbigniew — zabrano mi wszystko i dano bodaj klasztorowi, a na co święcona woda upadnie, tego już nazad nie wyrwać. Przecie po ojen mi się coś dostać musi, — kto mi zawierzy, temu ja sto-kroć zawdzięczę.

Namiestnik namyslał się, wahał, przysunął powoli do księcia i szepnął z cicha.

— Może na to znaleźć się rada. Co się jutro z posłem uczyni, to nam powie co dalej mamy przedsiębrać. Do jutra spij wasza miłość spokojnie.

Skłonił się nisko. Nie pozostało nic, tylko nazad do izby powracać, ku której Magnus prowadził. Zbigniew wyszedł nadaśany i gniewny, w progu na Dobka skinąwszy, nie zatrzymał się już między gośćmi,—szedł wprost do izby, która mu była przeznaczona.

Miał już i dwór swój i urzędników i służbę,

bo mu się na nią Czesi i Polscy wygnańcy, co go sprowadzili, złożyli.

Zaraz w pierwszych dniach, ukazało się że do występowania gromadnego, dwornego, strojnego i hałaśliwego największą przywiązywał wagę. W drodze już zaczął się troszczyć by jego krwi królewskiej odpowiednio, co najrychlej się urządzić. Chwytał ludzi jacy się stręczyli, odziewał ich jaskrawo, dwu co na rogach grali zabierał z Saksonji, innych ze Szląska pościagał, od panny wyprosił, konie sobie darowywać kazał, dwór przybierał i stroił. — Więc mu o to szło niżeli o samą sprawę.

Za pręg zamkowy teraz nie ruszył się bez gromady, którą za sobą wszędzie ciągnął. Mnsiał jeden przed nim miecz nosić jak przed księżciem udzielnym, drugi tarczę malowaną, dwu przebraźliwie trąbiło, inni okrzykiwali, lud rozpędzali, wołali: Pan jedzie! z drogi!

W tém jednem najbardziej królewska się w nim krew okazywała; przepychowi jaskrawemu był rad, a gdy prawdziwego miec nie mógł, jako tako kłamanym się odziewał. Pysnił się tak z sobą i gawiedzi podziwieniem chciał być koniecznie. Śmiał się widząc wybiegających z chat ludzi, głowy wyglądające przez okna, chowające się za węgły dzieci, i dla tego tylko na koni codziennie siadał, aby się z trębaczami i dworem zabawić poklonami ludu. Im więc koło niego wrzawy

czyniono, tém szczęśliwszy był, na zabój w rogi grać, w bęben bić, o żelazo szczekać nakazując.

Starzy na to potrząsali głowami, a widzieli w tém pańską dumę, która zresztą w owym wieku przystała książętom i była w obyczajach.

Na zamku izba najprzedniejsza z belkami rzezanymi wzorzysto przeznaczoną dlań była. Nie brakło w niej nic co do wygody i ozdoby służyć mogło. — Gromadka zjednanych przyjaciół, nazwana drużyną, poprzyrodziewana dziwacznie, otaczała go już wierząc w jego szczęście i gotowa zań karku nastawić. Wszyscy za Dobkiem i księciem pospieszyli, czując że potrzebni być mogą. Szedł i Zahon.

Choć nikogo za serce pochwycić nie mógł Zbigniew, królewska jego krew, nadzieja panowania, łask i datków, ludzi doń ściągala. Dobek szedł z nim jako pokrewny, spodziewając się nim zawładnąć i kierować, inni że nic lepszego do roboty nie mieli, a nadzieję jakąś świtającą widzieli.

Słuchali go wszyscy podziwiając mowę łatwą dopomagali do śmiechu, gotowi byli na wszelaką służbę. Zahon najlepiej blaznował, śmieszył i najniżej się kłaniał, za co był w łaskach.

Reszta drużyny nie wiele była warta. Na wodza do przyszłego wojska, którego jeszcze nie było, nastreczył się i wparł niemal gwałtem człowiek, który pono wiele po świecie wojował,

a z wojen oprócz wyprawnego języka i skóry podziurawionej nic nie przyniósł. Kto on był dojąć nie umiał nikt; Szlązakiem się mienił, przysięgał że z Głogowa był rodem, choć tam już nie miał nikogo i nikt go tam nie znał. Powiadał że wojował długo na Węgrzech, że królowi Szczodremu służył, że Ruś znał jak własne kieszenie, królom Czeskiemu i Węgierskiemu był ulubiony i tylko go zazdrość z ich dworów wypchnęła; że na Cesaarskim też długo przebywał i do Włoch z nim wędrował, gdzie też nieprzyjaciół się dorobił swą cnotą. Cuotliwym się mienił wielce, a przez cnotę nieszczęśliwym. Cesaarskich teraz nie lubił i psy na nich wieszał.

Człek był jeszcze urodziwy, postawny, wyszczekany, językiem do wszystkiego gotów, ruchawy pozornie, a gdy przyszło co czynić posługujący się i popychający drugich, krzyżący tylko głośno a niewiele skuteczny. Do misy i do dzbanu pierwszy się zawsze stawiał i najdzielniej koło nich chodził. Chociaż skarżył się że był porąbany w wojnach okrutnie, a włos mu już szpakowaciał, chciał jeszcze służyć, jak powiadał, szczególnie pod takim księciem, którego na pierwsze wejście pokochał nadzwyczajnie. Kłaniał się do stóp królewiczowi, lizał mu ręce, rozpędzał przed nim ludzi, chodził przodem z głową odkrytą i pochlebstwy go zjednał.

Zwał się Marko Sobiejucha. Ten bodaj na

głównego wojewodę swatał się Zbigniewowi; a że gadał bardzo wiele i zabiegał nieustannie, już był prawie pewien swego. Dwu też Czechów Rawików, ludzi milczących i cichych, przyjął był sobie Zbigniew, z tych jeden Przemko podczaszym był, drugi Leszko podkomorzym.

Nie zbywało na innych dworaka, a codzień się stręczyli na wi, których niepytając przyjmowano, byle kto kaftan cały miał. Ci co występowali w lepszej odzieży, pewni byli wyższego na uwym dworze dostojęstwa.

Dobek z Morawicy opiekun najdawniejszy, w zaufaniu był i łaskach.

Gdy się do izby wtoczył dwór książęcy za nim, znaleźli tu Marka, tylko co ze snu przebudzonego, bo się po moeném piwie wywezasowywał, dużo z nim wprzódę nadokazowawszy.

— Mnie się widzi — odezwał się Zbigniew, obejrzawszy po swoich, że obcego nie było — mnie się widzi iż na panów Szlązaków nie wiele rachować mogę — potrzeba myśleć o sobie.

— Święte słowa! wtrącił Marko, złote słowa, nikomu na świecie wierzyć nie należy, nikomu.

— Sieciech, ciągnął nie zważając książę, Szląska nie puści, póki go nie wywojujemy na nim. Trzeba ludzi. Jeżeli nie znajdę innych, do Pomorców ślać potrzeba zawczasu, ci staną...

Dobek głową pokręcił.

— Ciężka z takim drubem sprawa, rzekł, nie

wiecie co to za lud. Poganie są okrutni; pójdą oni dziś z wami, jutro na was, a wiary nie strzymają nikomu.

— Co? podchwycił Sobiejncha — ja ich znam. Szkalują ich, żołnierze dobrzy, ludzie nie źli, jak słowo dadzą, strzymają. Prawda że łupią, a któryż wojak nie łupi? na to wojna.

— Znasz ich? zawołał Zbigniew, jedź zaraz na Pomorze, do Gniewomira, do innych, jednaj ich dla mnie.

Marko stanął jak wryty, we włosach ręką przebierając, zafrasował się.

— Ja ich znam — rzekł — niema wątpliwości, nikt na świecie lepiej ich nademnie znać nie może, a no jechać tam niepodobna mi. Ząb mają do mnie, poważniłem się z nimi i ubilem kilku, a krwi oni nie darują. Znajdziemy takich co do nich pojedą.

Dobek radził z Krakowskiego ludzi ściągnąć, gdzie lud był ochoczy i rażny, Czesi swoich stręczyli — i — nim dzień zaświtał wyprowadzono posły na wsze strony potajemnie, Magnusowi nie mówiąc słowa.

VI.

Nazajutrz rano, gdy się u bram orszak Wojsława ukazał, domagając wpuszczenia z królewskim słowem, rozkazy już były wydane, aby go na gród do namiestnika prowadzono.

Wojsław nie zbyt pańsko wystąpił, nie nadto okazał, nie miał nad jakie dwadzieścia koni z sobą. Dodany mu był duchowny, wikaryusz z Płocka, ksiądz młody, imieniem Teodor, bo naówczas żadne się poselstwo, żadna czynność ważniejsza bez duchownego rady i nadzoru nie obchodziła.

Biskupi wyżej już stali jak wojewodowie i królowi pilno na ręce patrzali.

Znał też Sieciech krewniaka swego, iż o ile twardym był a nieugiętym, tak równie do słowa ciężkim i w wymowie nie obrotnym.

Zbigniew od rana nie wychodził z izby swój, wahając się, czy mu się ukazywać należało, lub wszystko zdać na namiestnika, przy którym Dobka postawił. Dworowi wszakże swemu, pogotowiu być kazał...

Poselstwo wprost od bramy, przeprowadzane przez gawiedź ciekawą, która za niem biegła aż ku dworowi, na gród się udała. Magnus już na nie czekał, całą starszysznę około siebie skupiwszy. Nienawiść ku Sieciechowi, pomimo obawy wojny, nastrojała gniewnie umysły.

W dziedzińce wjeżdżając Wojśław dojrzał, rozglądając się ciekawie, iż wszędzie ludu zbrojnego moc była wielka, jak nabito żołnierza, między którymi sporo Czechów poznawał.

Posłańcowi z królewskim słowem uchybić nie chcąc, Magnus do progu wyszedł przeciwko niemu. Odział się na dzień ten świątecznie, ludziom też zbrojnym na grodzie przykazał, aby wdzieli odzież i zbroje przystojne. Zsiadającego z konia przywitał w przedsieni. Spotkali się milczący, mierząc oczyma, poczem Wojśław z księdzem Teodorem szli do izby razem, gdzie czekała starszyzna liczna, jak na radę zgromadzona.

Mógł już tedy rozpoznać Wojśław, że niespodzianym tu nie był, że o nim wprzód wiedziano, gotowano się na przyjęcie, myślano, jaką mu dać odpowiedź.

Do izby wszedłszy rzucił oczyma posel, ażali

nie ujrzy Zbigniewa, któregoby się był domyślił, choć go nie widział od dziecka. Lżój mu się stało gdy go nie zobaczył. Dokoła tylko na ławach siedzieli ludzie posepui, gromadnie, ciasno, z brwiami namarczczonemi, z twarzami groźnemi, dłonie na mieczykach, milczący i jak do sądzenia gotowi.

Tu i owdzie spostrzegł twarz dawniej sobie znajomą a wrogą; te których nie znał jawnie okazywały, że nie lepiej myślały. Wstali niektórzy, inni się nawet nie podnieśli, szmer dał się słyszeć, za wchodzącymi wtoczyło się więcej jeszcze ciekawych, wszystko zbrojne, nachmurzone. Do ucha mogły dolcieć słowa i śmieszki nie mile, lecz Wojśław zimnym na to był i jak wszedł powolnie, tak nieustraszonem okiem obiegił ławy dokoła obojętnie, zwrócił się do Magnusa i rzekł:

— Miłościwy pan król Władysław mnie do was przysyła.

Namiestnik wskazał duchownemu i jemu miejsce przy sobie, milczenie trwało głucho dość długo, a że Wojśławowi do słowa przyjść tak zrazu łatwo nie było, prosił ks. Teodora o wyręczenie.

— Miłościwy pan Władysław przysyła nas — począł ks. Teodor — chcąc wiedzieć, prawdali to jest, że przyjęliście tu Zbigniewa, którego on chciał mieć w klasztorze? prawdali, że przyjęliście

zbiegów i zdrajców, którzy na karę zasłużwszy chroniąc żywota do Czechów pouciekali!

Wstrzymał się ksiądz, Magnus obrócił ku nim i rzekł po krótkim namyśle:

— Królewicza Zbigniewa i biednych ludzi, co się niesprawiedliwie prześladowani tulali po obcych, przyjęliśmy. Tak — prawda jest.

— Więc winniście zdrady i nieposłuszeństwa? — wtrącił sam Wojsław.

— Nie jesteśmy jej winni — rzekł Magnus. — Królewicz nieszcześliwy miłosierdzia się ojcowskiego domagał, a zbiegowie, bracia nasi, przeciw królowi nie nie zawinili.

Gdy to mówił, z ław dookoła dało się słyszeć mruczenie naprzód, potem kilku zawołało:

— Nie zawinili przeciw króla, pana naszego, ino przeciw Sicciecha...

— Przeciw Sicciecha! — kończył Magnus. — Złości a samowoli pana Sicciechowój dłużej nikt z nas znosić nie chce.

— Nie! nie! nie będziemy jej więcej cierpieć. Nie! — poczęli z ław odzywać się siedzący śmiejąc coraz.

— Z Czechami się przeciw własnemu królowi wiązać, na własny kraj następnicie — odezwał się Wojsław zwolna. — Król o wszystkiem więc.

— Żle wie — zawołał Magnus goręcej — nie chcemy taksamo czeskiego panowania, jak Sie-

ciechowego. Niech król sam nami rządzi, albo niech nam syna da.

Sieciccha nie chcemy!

— Sam król was zdrajcami mieni — odrzekł ks. Teodor — woli jego nie jesteście posłuszni.

— Imiego tu zdrajcy nie ma! — wyrwał się Dobek, stojący za Magnusem — tylko Siecicch jeden. On to miłości pańskiej nadużywa, on z krajn wierne jego sługi pędzi, on prześladnje, on obdziera, on nieprzyjaciół robi — on.

Chórem z ław wszystkich, coraz śmielej, głośniej coraz, zaczęto już krzyczeć nieśmiało, zapalczywość rosła.

— On! Siecicch! zdrajca!!

Wojśław i towarzyszący mu duchowny postrzegli, że niebezpiecznem było zbyt ostro przemawiać, bo umysły już się oczekiwaniem zburzyły i rozjątrzyły same. Spojrzeli po sobie. Wojśław sam zwołna począł z chłodną krwią, która go nigdy nie opuszczała.

— Nie z panem wojewodą Siecicchem to sprawa, ale z panem a królem naszym. Ja nie od Sieciccha, ale od niego tu przysłany idę. Co komu do woli i postanowienia królewskiego, który chciał tego, aby dziecko poboczne w klasztorze się chroniło, a sromoty mu nie czyniło? Nie godzi się nikomu stawiać pomiędzy ojcem a dziećciem; ojciec każdy, gdyby i królem nie był, ma prawo

nad swoim. Wolno mu z niemi czynić co chce.
Dlaczegożście srom królowi uczynili?

Dobek się wyrwał:

— Jako żywo dziecko pobocznem nie jest. Matka jego, ziemianina córka, tak dobrze żoną była pańską, jako która Judyta i syn to tak dobry, jakby się z królownej rodził, skoro ją pan Władysław swego czasu miłował i za żonę trzymał. Srom czyni królowi, kto krzywdę czyni dziecku, nie my!! nie my!

— A zbiegowie i zdrajcy? — spytał Wojsław.

Tak nazwani zdrajcy i zbiegowie siedzieli na przeciw mówiącego na ławach, Dobek też do nich się liczył, więc skoro to słowo rzekł, szmer, wrzawa i zburzenie powstało wielkie.

Magnus chcąc nad nim zapanować, podniósł się, wstał i rękami a wołaniem począł zażegnawać ową burzę, ukazując, że sam mówić pragnie.

Ucichło po troszę.

— Powiem co na sercu mam — zawolał — kryć prawdy się nie godzi. Zbiegowie to są, którym nie król, ale Sieciech dokuczył i nie od króla, ale od Sieciecha uciekali, bo na ich gardło nastawał. Nie wiemy już, kto u nas panem. Władysław król czy Sieciech? On zagarnia pod siebie wszystko, krakowskim wojewodą jest, niech na Krakowie siedzi, a nam da rządzić, gdzie nas postawiono. On wojsko całe ma w ręku, on grody, zamki, urzędniki, dwór, on króla i kró-

lowę, on królewicza. Ino już nie widać, gdy za-
pragnie, aby sam panował.

Tego my nie zniesiemy, tego my nie damy
uczynić. Równy nam ziemianin jest...

Znowu nie mogąc się powstrzymać, krzyknęli
wszyscy:

— Nie zniesiemy tego! nie damy.

Ci, co siedzieli dotąd na ławach spokojnie,
wstali, zaczęli się poruszać gromadnie, skupiać
i postępować na izbę. W głowach szumiało, paliły
się twarze, wyrywały słowa grube, łajania ostre,
przekleństwa i pogrożki. Wojsławowi słyszeć ich
nie godziło się, rozumieć nie było można. Magnus,
który rad był uspokoić Szlązaków, rękami dawał
znaki gwałtownie, ale bezskuteczne. Rozprzegał
się ład, jeden od drugiego zarażał się gniewem,
powstrzymać było trudno.

Wojsław pobladł trochę, ksiądz Teodor wstał
i chciał począć mówić, utajając w to, że go suknia
osłaniała.

Zamilkli niektórzy, ale w dalszych rzędach
i głębi wciąż jeszcze szumiało.

— Między króla a jego urzędniki, któż ma
prawo wchodzić — rzekł ksiądz. — Nie nasza
rzecz sądzić, co król czyni. Komu źle, niech się
skarżyć idzie.

— A! tak! słyszycie! — krzyknęto z ciżby —
ho! Albo go to dopuszczają? Na drodze go wezmą,
do ciemnicy zasadzą, jak Janka z Borku, jak

Ludka Doliwę! Jak Andrka z Bolimowa, co mu głowę Sieciech nieiąć kazał. Król mówicie, albo my to króla mamy? Nie Sieciech królowi, ale pan nasz Władysław panu Sieciechowi służy!

Śmieszki urągliwe dawały się słyszeć tu i ówdzie. Wojśław błady wstał.

— Nie wolio mi słuchać tego, co mówicie, bo nieprawdą to jest, a oszczerstwem. Ci, co się z posłuszeństwa wyłamują, na Sieciecha wołają, bo do woli królewskiej zmusza. Sieciech praw — nieprawi ci, co nam nastają!

Słów tych ledwie mógł dokończyć, gdy wrzawa wzmożła się gwałtownie i zagłuszyła go.

Popędliwy Dobek pierwszy miecza dobył z pochew, drudzy też zobaczywszy to, chwycili się do żelaza; kto co miał, nóż, mieczyk, topor, podnosząc do góry. Zgiełk powstał straszny, cisnąć się zaczęto groźnie ku posłom, tak, że Magunś poskoczywszy w czas, ręce rozpiął, sobą ich zastawił i od pierwszej napaści obronił.

Na małoby się to jednak było przydało, bo rozjątrzenie było straszne, a nienawiść wygnańców ku Sieciechowi taka, że na krewniaka jego, co śmiał stawać w obronie Wojewody, rzuciliby się byli i rozsiekali niechybnie, gdyby z drugiej strony o. Teodor nie stanął, a na księdza nikt nacierać nie śmiał. Ława stała niedaleko drzwi do drugiej izby prowadzących, namiestnik prawie gwałtem popchnął w nie Wojśława, sam ciągle go sobą okry-

wając. Posel z księdzem ledwie mieli czas wpaść do bocznej izby i drzwi zaprzeć za sobą, gdy tłum rznął na nie rozwścieczony i bić począł rękami i nieczami, z zapamiętałością taką, iż Magnusa nawet słuchać nie chciano i nieposzanowano.

Jak to zwykle bywa. gdy jeden pierwszy da hasło, tłum się da pociągnąć i siła w nim liezbą rośnie; pomiarkowanie i pamięć stracono, miotano się, nie zważając na kogo... Rozbijali jedni drugich do drzwi się cisnąc. W Wojśławie Sieciecha widziano i krzywd się chciano pomścić.

— Zabić! rozsiekać! — krzyczeli przodujący.

— Sieciechów służka, na gałęź z nim!

Szcześciem drzwi, za któremi skrył się Wojśław z ks. Teodorem, dębowe były, grube, kute i do wyłamania nie łatwe, choć wszyscy się na nie zwalili, barkami je chcąc wyważyć niesłuchając Magnusa, który całą siłą głosu i ramienia im się opierał.

Na całym zamku zburzyło się i zawichrzyło.

Widząc, co się w izbach działo, pacholkowie i czeladź starszyny na ludzi Wojśławowych wpadali, spędzili ich z podwórza, aż się do szpichrza skryć musieli przed niemi, zasunąć i założyć, aby życie ocalić. Zaczęto ich tu oblegać i kamieniami ciskać.

Zbigniew posłyszawszy wrzaski, choć zrazu się porwał biedz także, strwożył się wprędce

o siebie i Marka Sobiejuchę posłał tylko na zwiady, co się tam stało.

Do podobnych spraw, gdzie dziesięciu na jednego idzie, Marko był najlepszy, wrzasku rad przyczyniał i drugich popychać był gotów; zobaczywszy o co szło rzucił się ochotnie i resztę spokojnych ludzi pociągnął za sobą. Zakipiało wszędzie, nikogo nie słuchano.

Szturmowano do drzwi i do szpichrza coraz gwałtowniej. Drzwi, za którymi skrył się Wojśław z księdzem, runęły nareszcie wyparte, wrzeciądze pękły; tłum wpadł z mieczami do komory, ale Wojśław miał czas ujsć oddawna. Wyłękłe niewiasty dały mu się skryć na strychy, od których drabiny odjęto i pochowano.

Napastnicy w izbie pustej nie znaleźli nikogo, a z drugiej patrzyły niewiasty, stanawszy śmiało ze starszemi na czele, bo wiedziały, że im się nie stać nie może.

Magnusowa żona w białej namitec i szubce jedwabnej, zaparła im drogę. Ręce założywszy na piersiach, z brwią namarszczoną, patrzyła na oszalałych spokojnie, ani się nawet odzywając. Cofnęli się przed nią, rozbiegli po kątach, ale nikogo nie znaleźli.

— Darmo się nie trudźcie — odezwiała się w ostatku groźnie stara niewiasta z wyrzutem do Dobka. — Gościny nie umiecie szanować!

a myśmy mu dawno konia kazały dać, aby ucho-
dził. Nie ma go na zamku.

Ochłonęli jakoś oszaleli ludzie cichy ten
i spokojny głos posłyszawszy, stanęli, miecze do
pochew wkładając. Magnus nadszedł gniewny,
łajac i bezczeczając, wyganiać ich nazad do wiel-
kiej izby.

I jak się ten ogień od jednej iskry począł,
tak też rychło nśmierzył, jedni sami przyszli do
opamiętania, drndzy się wzięli zagorzałych imać,
odciągać, hamować i poskramiać. Wrzawa powoli
ustawała, pojedyncze głosy tylko podnosiły się
w górę z odgrózkami na Sieciecha, na Wojsława,
a nawet i na króla samego.

Marko Sobiejucha, przodem zawsze idący,
gdzie niebezpieczeństwa nie było, u szpiechra do-
kazywał, aż go z rozkazu Magnusa precz ode-
gnano. Zajrzał potém do izby i do Zbigniewa
ruszył, aby go ściągnąć tam, gdzie się jeszcze
ucierano, bo mógł z tego rozjątżenia dla siebie
korzystać. Królewicz się wahał jeszcze, lecz po-
szedłby może, gdyby od Magnusa nie przybiegł
komornik z prośbą a załeczeniem, żeby się nie
pokazywał, dopóki spokój nie wróci. Wojewoda
i tak miał do czynienia wiele, by umysły rozją-
trzone ukołysać.

Marko Sobiejucha, Dobek i inni zebrani przy
Zbigniewie, radzi sprawę doprowadzić do ostatka,

aby Wrocławian wnieść w wojnę, na Magnusa wykrzykiwać zaczęli.

W wielkiej izbie uciszało się, gdy tu zgilek powstał.

— Naměstnik na dwu stołkach siedzi — krzyczał Dobek — my tu z nim nie sprawimy nic, próżno się nań oglądać.

— Przechera, zdrajca jest, niegodziwiec! — wołał Sobiejucha — mówiłem od początku, to wieprz tuczny co swojego brzucha ochrania.

— Co pocniemy? — pytał Dobka.

Zbigniew milezał gniewny.

— Nas tu jutro królowi oddadzą, z postronkami na szyjach — odczywał się Dobek.

— Zewsząd zdrada! — mówił Marko — królewicza w matnię zagarnęli.

Usłyszawszy nową wrzawę, która z mieszkania królewicza dochodziła, Magnus sam dobiegł nie spokojny dowiedzieć się, co tu się burzyło, otworzył drzwi, powitano go spojrzeniami, jak wroga.

— A cóż? — począł poskakując ku niemu Dobek — Sieciechowego bratanka wy bronicie i osłaniacie!! Wy! Jeszcze nas powiązanych oddać mu gotowi!!

— Bronilem go tak, jakbym bronił was — rzekł surowo Magnus, mierząc go oczyma — gdyby oni mordować chcieli. Robię, co mogę i com powinien, więcéj ani na włos. Posłyszeli prawdę, czekamy końca. Jeżeli król przybędzie

z wojskiem, mówię otwarcie, wojować nie będziemy, oblegać się nie damy, a Sieciechowi i w oczy powtórzę com rzekł.

Zbigniew słuchał z boku stojąc, blada twarz jego zaogniła się gniewem, brwi ściągnęły, nie odpowiadając Magnusowi, odwrócił się do swoich i zawołał głośno:

— Cóż my tu dłużej czynić będziemy, gdzie Sieciechowych bronią. a o nas nie myślą? Precz chyba iść!

— A iść! iść! — powtórzył Dobek.

— Marko — odezwał się książę, kto ze mną trzyma i chce iść razem, ludzi zwoląć, strąbić, na koń, w pole, położymy się obozem, bezpieczniejsi będziemy!!

Sądził zapewne, że namiestnik wstrzymać go zechce, lecz Magnus popatrzał, sklonił głowę i rzekł:

— Gwałtem was strzynywać nie będziemy. Ja was tu miłościwy panie nie powoływał, nie obiecywałem nic. Mnie proszono, nie ja m prosił. Chcecie iść, otwarte bramy, szczęście Boże.

Ochłódli wszyscy i zamilkli.

— Prawdę rzec — odezwał się uspokajając wojewoda — nie ma tu co czynić w ciasnym grodzie, w pole przyjdzie wyciągnąć dziś czy jutro. Posłów uratowałem, wrócą do króla i Sieciecha z tém, co tutaj posłyszeli. Król wojsko już zbiera, ruszy na nas z nim. Ja miasta mu nie zamknę, bo wojny wydawać nie mogę.

— A my bić się musimy i będziemy! — krzyknął Dobek.

Zbigniew mniżej śmiało, ciszej powtórzył za nim toż samo.

— My się bić będziemy!

— Zatem wam nie zostało nic, tylko w pole iść — zakończył Magnus.

Marko Sobiejucha, któremu we Wrocławiu wygodniej było niż w polu, niekoniecznie podzielał to zdanie, aby z miasta wyciągnąć, stał jednak milczący, zachmurzony, bo mu się przeciwie nie godziło, gdy wszyscy jedno postanowili.

Ostygło jednak jak od zimnej wody wszystko. Zbigniew napróżno w swoich szukał górętszego poparcia.

W tém Magnus począł, zwracając się ku niemu.

— Wasza miłość nie będziecie się na mnie gniewać, uczyniłem com mógł, dalej nie zdążam i obiecywać nie chcę, gdy strzymać nie potrafię. Gdybyście w mieście zostali, oblegna nas, ogłodzą, oskoczą i wezmą, głowy pod miecz pójdą. Bezpieczniej w polu. Ludzi nagubimy dużo i was tu zgubaby czekała; w szerokim polu choćby się nie powiodło, jeszcze ująć można, do Czech schronić i lepszego czasu szukać.

— A no, a no, — odezwał się Dobek — może i wasza prawda. Grodu chronicie i o sobie myślicie, za to wam nikt nic nie powie, ale po

coście Sieciechowego bratanka ocalili! Nagubił dosyć naszych Wojewoda, mieliśmy prawo się pomścić.

— I cóżby wam z krwi jego przyszło? — odparł Magnus. Królby jej nie pomaszczonęj nie zostawił.

Tak się skończyło owo poselstwo królewskie, choć nie krwawo, ale bez skutku.

Goretsi nieprzyjaciele Sieciecha, którzy na Wojśława godzili, domyślali się, że gdzie ukryty na zamku być musiał jeszcze, a chcieli go szukać po kątach. Magnus z sobą u stołu zatrzymał ich długo, nie dając odejść. Mrokiem Wojśławowi i ludziom jego boczną furką Pałka ułatwił ucieczkę.

Odetchnął dopiero namiestnik, gdy mu znać dano, że w pole wyjechali i bezpiecznie do lasów czas mieli się dostać. Przewidzieć teraz było łatwo, że król natychmiast z wojskiem na Wrocław pociągnie. Rad się więc był pozbyć Zbigniewa i jego ludzi z miasta, ażeby gród od niebezpieczeństwa ocalić.

Nazajutrz już Marko Sobiejucha ruszał się, gromadząc swych ludzi, zwołując Czechów, ściągając, co gdzie było ciurów a ochotników, którzy na wojnę i łupy czekali. Wygnanezy zjechali natychmiast, rozbiegając się po kraju, przyjaciół jednając i ochotników, między nienawistnemi Sieciechowi. Nie było o nich trudno,

gdyż wojewoda surowością swą naraził wielu, a jego pomocnicy i przyjaciele, utni w swą moc, po ziemiach wszystkich byli znienawidzeni.

O królu nikt nie wspomniał, nie myślał; na Sieciecha się gotowali wszyscy.

Magnus karmił, poił i czém mógł opatrywał królewiczowskich ludzi, którzy powoli oddziałami w pole wyciągali. Za nimi i Zbigniew miał iść, acz jawnym już było dla najbliższych nawet, co mu sprzyjali, że ochoty do boju wielkiej nie miał, a głowę pełną tylko dumy, i pragnienie igraszki płochęj, jaką sobie ze dworem czynił. Szyto mu chorągwie, strojono czeladź, zbierano urzędników, ściągano trębaczy i śpiewaków, bo o to się najwięcej troszczył... Chciał też mieć i namioty książęce, obszywane, piękne i pokrycia na konie szkarłatne, bez tego się nie chcąc ruszać w pole. Z grodu też dobrze zaopatrzonego ciągnąć precz w lasy i pustkowia, gdzie i głodem przynurzyć i chłodem przyboleć i biedy zażyć było trzeba, nie miał książę ochoty.

Gdy go z klasztoru brano, spodziewał się do gotowego działu przyjść, wszystkiego znaleźć po dostatkiem, a nie dobijać się swoich praw jeszcze. Narzekał, iż mu zawód srogi uczyniono.

W kilka dni już ostatki Zbigniewowych żołnierzy wyciągać miały, i on gotował się rad nie rad iść z nimi. Widząc go posępnym i złym,

Magnusowi żał się krwi królewskiej zrobiło. Dał, co mógł, w końcu radę podszeptnął.

Wieczora ostatniego, gdy już w mieszkaniu Zbigniewa sakwy wiązano, węzłki ściągano i zabierano, opróżniając kąty, co się tylko dało zagarnąć, a Zahoń i dwór ciągle o coś jeszcze chodził się nponinać u wojewody, Magnus sam poszedł do Zbigniewa, który od niego unikał.

Dobek ciągnął za nim w ślad, pilnując, aby królewicz sprawy sobie w czém nie popsuł, lub się nie zadarł bezpotrzebnie.

— Dam wam na odjezdném radę jedną — odezwał się Magnus — posłuchajcie, nie pożałujecie.

— Czemu nie posłuchać, aby dobra! — odezwał się Dobek, który nie dowierzał staremu i załdoń miał od owego poselstwa.

— Nim wyciągniecie w pole, — mówił stary — jedźcie do biskupa pasterza naszego, a proście go, aby, gdy król przybędzie, wstawił się za wami. Pobożny pan usłuchać go może prędzej niż innych.

Królewicz zbytniej do tego nie okazując ochoty, zamruczał coś.

— Biskupie słowo wiele znaczy, ciągnął wojewoda, a o. Żyrosława król pan nasz szannje wielce

Dobek słuchał milcząc.

— Jeżeli do niego pojedziecie — ja z wami — dodał Magnus.

- Po co mi biskup, gdy wojnę prowadzić mam! odezwał się Zbigniew, lecz Dobek potrząsł głową.

— Choć nie wiem i ja po co do biskupam iść gotów, księdza żadnego omijać się nie godzi — straszni ludzie są.

— Staruszek ojciec nasz dobry jest — dodał Magnus — pokłonu uczynionego nie pożałujecie.

Nie było sporu o to, choć i wielkiej ochoty nie okazywali. Zbigniew dał się pociągnąć.

Nazajutrz rano zakazał królewicz, aby dwór wystąpił okazale i licznie, wedle swojego upodobania, chciał nawet dwóch trębaczy z sobą prowadzić, aby przodem jadąc oznajmowali o nim, co mu ledwie Magnus odradził. Z żalem zostawił ich i śpiewaków, a hałaśliwą część dworu, towarzyszącą mu wszędzie, bo i bez niej ludzi było do zbytku.

W czasie pobytu we Wrocławiu królewicza, O. Żyrośław wcale się do niego nie odzywał i do spraw tych nie mieszał. Mąż to był pobożny, spokojny, chorowity, nie rad płatać w zawikłania i spory. Dosyć miał do czynienia z duchowieństwem i ludem.

Gdy orszak królewicza zbliżył się do oparkanionego dworu biskupiego, służba poznawszy Magnusa, zaraz o nim znać dała. Kapelan biskupi wyszedł na spotkanie i gości wprowadził.

Biskupa, który dla wieku i choroby z siedzenia

prawie się nie ruszał, zastali skulonego w dwoje na poduszkach, w przyciemnionej izbie, w której przed obrazem mała paliła się lampa.

Domyslił się starzec, kogo miał przed sobą; zobaczywszy Zbigniewa, strwożone oczy podniósł, przypatrując mu się pilnie. Księżę z wielką pokorą i butę swą straciwszy, do pocałowania ręki się przybliżył. Z podziwieniem postrzegł Magnus, iż twarz mu się nawet zmieniła wiele i złagodziła.

Nie rzekłszy jeszcze słowa do nich, biskup skinął, aby go zostawiono sam na sam z królewiczem.

Magmus i Dobek do drugiej izby ustąpili, Zbigniew pozostał, ułożywszy pokorną postawę.

— Dziecko moje — odczwał się staruszek głosem słabym — boleję nad losem waszym. Po co was skuszono, spokój klasztorny mieniać na niepewne losy?

Zbigniew, któremu może się przypomniały zakonne czasy, a może uznawszy potrzebę uniewinnienia się przed ojcem duchownym, pragnął go zjednać dla siebie; złożył ręce na piersiach, spuścił głowę i niewyraźnie, cicho, niemal bojaźliwie zaczął bełkotać.

— Pochwycono mnie siłą z klasztoru ojcze przewielebny, nie mogłem się oprzeć! Zmuszono mnie dopominać się praw moich.

— Praw! praw! — pochwycił biskup — oszu-

kano cię dziecko moje, mówiąc o prawach, miłosierdzia tylko u rodzica żądać możesz...

— Ja — ja nie władnę sobą — rzekł Zbigniew — starszyzna, panowie mnie wiedą. Nie moja wina!

Westchnął. biskup, zdziwiony trochę wejrzał nań.

— Inaczej mi o was mówiono — począł z politowaniem: Cieszę się dziecko moje, że przeciwko ojcu i królowi nie podnosicie oręża, grzechby to był wielki,

— Mam nadzieję — odczwał się, ośmielając Zbigniew — że wasza przewielebność raczycie przemówić za mną. Pozory są przeciwko mnie, lecz posłuszny isć muszę, zagrożony jestem, życia nie pewien. Nieprzyjaciele wojewody chcą mnie mieć z sobą, isć z nimi muszę. Łzy leję w skrytości...

Zamyślił się o. Żyrośław; nie posądzał księcia o fałsz a udanie, znajdował go jednak tak odmiennym od tego, o którym słyszał, że uszom własnym wierzyć mu się nie chciało.

— Z ufnością w łaskę waszą pasterską — ciągnął dalej książę — składam żal mój i utrapienie na łono jego. Nie chcecie wydawać méj tajemnicy. Otoczony jestem ludźmi, którzy każdy krok mój i słowo śledzą. Ledwieńm nprosić ich mógł, aby mi tu po błogosławieństwo waszój przewielebności przyjsć było wolno...

Z nbolewaniem patrzył nań o. Żyrosław i zdala drżącą go przeżegnał ręką.

— Jeżeli król pan nasz miłościwy przybędzie tu — rzekł — będę się starał poruszyć serce jego dla was... Chcesz wrócić do klasztoru?

Pytanie to niespodziewane wzruszyło mocno księcia, który się uczul we własne sidła schwyconym, zamilkł nieco. Namyslał się.

— Ostra reguła ojca naszego Benedykta ciężką jest dla mnie — rzekł, zawahawszy się. Wyrwano mnie z ciszy klasztornej, powroty był już trudny...

Śledził go biskup oczyma i nie rzekł nic na to.

— Nieszczęśliwe losy twe — dokończył po chwili — modlić się będę za ciebie, Bóg się uli tuje. Serce króla anielskie, litości pełne...

Przeżegnał go raz jeszcze. Zbigniew uniżywszy się przed biskupem, rękę jego drżącą ucałował.

O. Żyrosław dal znak stojącemu zdala naprzeciw drzwi kapelanowi, aby wojewodę wprowadził.

Wszedł Magnus, chcąc biskupa pożegnać dłużej nie trując rozmową, lecz starzec zapytał go o poselstwo od króla. Wojewoda zaczął się otwarcie uskarżać na Sieciecha. Słuchał go o. Żyrosław cierpliwie, dał mu żal wylać i czynić zarzuty, a gdy skończył, westchnął boleśnie.

— Słyszę narzekanie na Sieciecha ze stron wszystkich — rzekł. — Przypomnijcie sobie czasy pierwszych panów naszych. Ile to krwi kosztowało, nim się ziemie zdobyte zlepiły w jedno państwo, aby mieć siłę przeciw sąsiadom? Chcecieli, aby znowu się rozpadły na łup Czechom, Rusi i Niemcom? Sieciech winien, że ciśnie w jedną dłoń, co się już rozsypuje! Sieciech.

Nie mógł powstrzymać się Magnus.

— Tyranem jest! — zawołał — władzy mu się chce, królestwa dla siebie pragnie. Królowa z nim trzyma, a uchowaj Boże chory pan zemrze, nie dzieci jego wezmą państwo, ale on razem z siostrą cesarską. Powstajemy nań, bo zdrajca jest!

Gwałtowny wybuch wojewody pozostał długo bez odpowiedzi. O. Żyrosław przebierał drżącymi palcami książkę, leżącą przed nim.

— Napisano jest tu w tém piśmie, którego słowa prawdą są wiekuistą — rzekł — iż zginie wszelkie królestwo rozdzielone w sobie. Pamiętajcież na to, abyście w więzy obcych nie poszli, nie umiejac swoim być posłusznymi. Pamiętajcie!

Magansie miły — dodał biskup, spojrzawszy na Zbigniewa — wyż to myślicie wojnę syna z ojcem zażęgać?

Namiestnik zamilkł, ale Dobek gorący naprzód się wysunął:

— Nie my wojnę wydajemy — rzekł — ojciec przewielebny, nie my! Bronić się będziemy tylko. Zbigniew pokrzywdzony jest, praw swoich szuka.

— Jakich praw — odparł starzec. — Na ojen?

Dobek się namyślił i rzekł:

— Na królu!

Potrząsł biskup głową i z litością odwrócił zwrok ku Zbigniewowi, który stał pokornie, oczy w ziemię wlepiwszy.

Tak się rozmowa skończyła. Gdy przystąpili do pożegnania, o. Żyrosław zbliżającego się Zbigniewa pobłogosławił nieznacznie, a do towarzyszących mu odezwał głośno.

— Radhym was błogosławił wszystkich — nie wolno mi. Tym, co idą na wojnę, w której syn ma walczyć przeciw ojcu, błogosławić się nie godzi. Modlić się będę, aby Bóg odwrócił krwi rozlew, zesłał upamiętanie!

Dobek poruszony i przełękły już się miał ku progowi, pokłoniwszy się zdala, Zbigniew też odchodził, gdy Magnus przystąpił do ręki biskupa i szepnął:

— Ja na wojnę nie ciągnę. Wasza przewielebność zechcecie mi pomódz do przedjednania króla. Jakoście nam mówili słowa prawdy, rzeknijcie je panu naszemu, aby tyranii Ścieciecho-

wój koniec położył. Inaczéj padnie w gruzy królestwo i rozsypie się.

Biskup nie odpowiedział nic, pochylił się już nad księgą i modlić zaczął.

VII.

Nie kwapili się z wyciągnięciem dworacy Zbigniewowi i on sam. Wszystko było pogotowiu, z dnia na dzień wyznaczano żegnanie się z Wrocławiem, nazajutrz czegoś brakło i królewicz rad odkładał wyjazd do obozu.

Magnus zbyć się był rad a wyprosić nie mógł ostatka.

W izbie na zamku jednego z tych wieczorów, kilku ludzi siedziało pod ścianami na ławach, między którymi Dobka z Morawicy i Marka Sobiejuchę widać było nieco na uboczu rozprawiających z sobą. Obu twarze nie wesołe były, stękali i wzdychali oba.

Izba, jedna z tych które dla gości pospolitych przeznaczano, naga, czarna była, wilgotna, zabrukana i ciemna. Kilku z drużyny Zbigniewa

w niej sypiało, bo po kątach widać było wylazane siano, skórą i sukniem ponakrywane. Stało i wiadro bodaj od piwa, nachylone aby z niego wyczerpnąć było można ostatek — ale już próżne. Na stole wałały się chleba pruszczy, pod stołem leżały kości, miska i łyżka zapomniana czekala w kącie by ją sprzątnięto.

Dobek z Morawicy rozpuściwszy kaftana zaczął chodzić po izbie jako człowiek co myśli szuka a znaleźć jej nie może. Inni nań patrzali tak jakby od niego czekali czegoś a doczekać się nie mogli.

Marek Sobiejucha, człek co już nie z jednego pieca chleb jadł, a niewiele dbał z jakiego się jntro będzie żywił — siedział u okna, za okno spoglądał i poświstywał. Przerwana rozmowa, widać to było po twarzach, zostawiła po sobie niesmak jakiś. Szło im naopak, kwaśni byli wszyscy.

Na ławach siedzący, owi co tak bardzo szumiali, gdy Wojsław Sieciecha bronil, ofiary wojewody, sprzymierzeńcy królewicza, lica mieli posępne, ust teraz nie otwierali. Spoglądali po sobie trzęsąc głowami, to na Dobka który chodził rozpasany i słuwał, niby coś gorzkiego chcąc się pozbyć.

Po długim milczeniu, czasn którego jedni ziewali, drudzy palcami kręcili, inni się rozpiekali na ławach, miejsca sobie dobrać nie mogąc. Dobek stanął i głośno kląć począł.

— Porwałoby go licho! porwało! Bodaj zczeźł marnie.

— Kto! zapytał Marko od okna.

— Albo ja wiem kto z brzegu! zawołał Dobek. Dużoby im dziś dał licha na przekąskę! Niema bo ludzi na świecie! niema! Choć kamień do szyi i w wodę.

— He! he — przerwał Marko — na to zawsze czas. Wiecie co powiem? Jam już nie jeden raz bywał w takich opałach. Dwa razy stałem nad Dunajem a raz nad Renem myśląc — a no? plusnałby? Nie było już co robić! Nie plusnałem i dobrze się stało — bo ot się jeszcze żyje i ciągnie. Raz, panie tam u morza chciało mi się iść dać rybom zjeść, poczekałem z tēm i chodzę po świecie... Na to zawsze czas.

— Chcieliśmy się ratować od Sieciecha — rzekł Dobek nie wiele go słuchając — poszliśmy do Czech do pana Brzetysława. Tylko że nas i tam nie kopnięto nogą. Naostatek doradzili nam królewicza wziąć. Myślałem żeśmy Pana Boga za nogi złapali. Serce się uradowało!

Magnus się obiecał że go przyjmie. Mogłoby być lepiej?

Patrzcież co z tego urosło — królewicz, choć mój krewniak — królewicz —

To mówiąc Dobek głową począł kiwać nie kończąc, spojrzął po słuchaczach. Na ławach siedzący kiwali potakując głowami, kilku się nawet

uśmiecchnęło — Marko czekał jak się to dalej rozwinię, ani się przeciwił, ni pochwalał.

— Królewicz, choć mój krewniak, powtórzył Dobek — ni z pierza ni z mięsa. Licho wie czy go w kolysee baby nie zamieniły; nie tam królewskiego niema prócz buty. Je i pije dobrze, zęby wyszczerza niezego, lajać potrafi, huk i wrzawę kolo siebie, świecidła i brzękadła lubi, a żeby się tak wziął do konia, do włóczni, rycerskie serce okazał, jeszcześmy nie doczekali.

— A no, przyjdzie i to — odparł Marko.

— Kiedy? spytał Dobek — klechy z niego zrobili takiego jak sami. Gada dobrze, ale na języku u niego wszystko. Dziś cały dzień przeleżał drwiąc i blaznując z Zahoniem i Piętką, a ty sobie Dobku leń ukreć aby było co potrzeba.

Nie — królewicz się nam nie udał — powtórzył Dobek — Magnus nam zawód zrobił. Czechy gdy nadciągną to nie po co tylko aby nam z przed nosa co jest sprzątnęli, Pomorcy też gdy przyjdą, nie darmo.

— A wamby się chciało aby szło jak z płatka — rzekł Marko — gdzież to widziana rzecz? Gdym jeszcze był u Węgrów, trafiło się raz tak —

— Co mi z tego co się wam trafiło? przerwał niecierpliwie Dobek — mnie w głowie co nas tu spotka? Jak Sicciech nas wyłapie, to pościna i wywiesza.

Na ławach potwierdzające westchnienia się słyszeć dały.

— Co prawda, to prawda! mrknęło kilku.

— Nasi przyjaciele w Krakowskiem, na Szląsku, na Mazurach, którym Sieciech jak nam dokuczył i dojadł, darli się strasznie i ustawiali; obiecywali dużo. Teraz przycupnęli i siedzą cicho.

Marko, wstał, do wiadra poszedł, przechylił je, zajrzał że na dnie nic nie było i smutny wracając na ławę — począł pocieszać Dobka.

— Wasza miłość, chcielibyście aby trudne rzeczy szły łatwo! To nie może być. Baba nim chleb upiecze, osmali się i zabruce, a co dopiero gdy królewski kołacz trzeba na stół postawić!!

Pamiętam, że gdyśmy na Węgrzech z królem Salomonem —

— A! a! przerwał Dobek — daj że ty mi pokój z Węgrami i królem Salomonem, radziłbys lepiej co ze Zbigniewem poczynąć.

— Co? wiadoma rzecz, ludzi ściągnąć i w pole iść a bić się — odparł inny z boku.

— Łatwo to ludzi pościągać? zawołał Dobek. Widzieliście tych których zebrano?

— Jakich naleziono, takich się ściągnęło, rzekł Marko.

— No i widzieliście przecie co to za obszarpaney — mówił Dobek niecierpliwie — wszystko to wlecze się w łachmanach, dużo bosych co i chodaków nie mają, siła głodnych których odkar-

mieć trzeba, aby im dech powrócił; rzadko który dobry kij ma w ręku. Trzeba to odziać, uzbroić i nakarmić.

— O! o! to mała rzecz, gdy kto sprawę rozumie, zaśmiał się Marko. Ja wam powiem jak bywał o gdym wojował na Rusi z jednym kniazem co się goły wyrwał jak nasz i borykał się z bratem który Włodzimierz trzymał. Zaczęliśmy ludzi zewsząd ścigać takich samych bosych, gołych i głodnych, bo wiadomo że tacy są najlepsi. Człek głodny, widzicie, w ogień idzie gdy przy ogniu miska stoi, bosy zabija dla chodaków, goły dla opończy — a ten co ma wszystkiego podostatkiem, temu życia i wygody szkoda. Poszliśmy ze zbieraną drużyną na dużą osadę. Drugiego dnia ludzie z nięj wszyscy w lasy drapnęli, natlukliśmy dużo, a moi byli odziani, zbrojni i nie głodni. Jeszcześmy na wozy dużo nabrali i poprowadzili z sobą. Gołych mi dawajcie, tacy się niczego nie boją.

Dobek głową potrząsał.

— Jak pójdziemy po kraju w ten sposób się żywiąc, dopiero nas kochać będą — odezwał się.

— A nam po kata żeby oni nas miłowali, byle nas karmili? zawołał Marko.

— Pójdą wszyscy do Sieciecha, a z nim na nas — albo tego nie rozumiecie? mówił Dobek. Calego u nas majątku pono dwa knbki srebrne, co nam jeden darował Zbilut a Zdzitko drugi, —

srebra ani złota nie mamy. Jakże tu wojsko zbierać, czém go zbroić i odziewać?

Począł chodzić żywiej Dobek, a Marko podśpiewywał.

— Ja tam tego niewiem jak ono stoi u was — odezwał się przerywając piosenkę — jaki tu obyczaj, ja eom po innych ziemiach z różnemi panami wojował — tyle znam, że wojna na to jest aż by grosz i bogactwo dawała a nie brała. Po jakiegoś licha się komu zdawało żeby za nią jeszcze płacić trzeba?

Tak to jakoś do przekonania trafiło Dobkowi, że długo na Marka popatrzwszy umilkł.

— Widzicie — dodał — nie na samo wojsko trzeba nam zapasu, ale żeby z tego niezdarnego królewicza co zrobić, żeby się doń ludzie garnęli — trzeba mu szat, naczyń i koni i dworu. Tego nikt nie da darmo, a bez tego on nie nie wart.

— Ba! odezwał się Marko — darmo, jużci nie da nikt, ale ludzie na świecie pożyczają. Toć przecie królewskie dziecko, jak go na wojnie nie ubiją, to mu ojciec odczepnego musi dać jakich parę gródków i kawałek ziemi z osadnikami. A znowu żeby on się dał tak łatwo ubić i na oszczepy leciał, nie widzi mi się. Do podwinki pono skorszy niż do oręza.

Uśmiechnęli się niektórzy.

— Młody jest, rzekli.

— Post miał zbyt ni w klasztorze, dodał Marko.

— Ojciec! ojciec — przerwał Dobek, albo mu da ziemię, albo mnichowi napowrót odeszle i postrzyże.

Sobiejuha ramionami ruszył.

— Słuchajcie — rzekł wesoło. Prawda żem się ja parę razy w Danaju topić chciał, a raz w morzu, biedy się dużo najadło, zawszem się przecie szczęśliwie wykrecił. Raz mi już Polowce postronek byli na szyję założyli! Mam takie szczęście że mi się nie nie stanie, a że z wami trzymam i wy się wykrecicie.

Jeżeli by zaś leć uciegli! hm — to się o strawę na jutro nie będziemy frasować. Wy nadto na rozum bierzecie, a bezpieczniej brać na szczęście.

Dobek się nie zdawał przekonany.

— Co mi z tego wszystkiego! rzekł — gołe słowa!

— Ja swoje prawie — powtórzył Marko... Goli jesteśmy, ale skarb mamy w królewiczn. Na jego krew dług zaciągnąć można, byle czleka znaleźć co pieniądze ma.

— Takich pieniędzy, tyle grzywn co nam trzeba — odezwał się Dobek, nie łatwo gdzie znaleźć.

I począł liczyć na palcach.

— Na odzież, na zbroję, na konie, na wszelakie zapasy, i na to żebyśmy się gołego pana nie wstydzili, bo choć on dwór swój wszelaką da-

rowizną przyodział i świeci się, ale gzła ani jeden niema.

— No, i na to też trzeba — dorzucił Marko — żehyśmy my, a przynajmniej ja żebym się koło niego pożywił, bo — wiecie o tém — ja także przywędrował tu w złą godzinę. Odarli mnie rozbójnicy w lesie, został mi tylko pacholek w chodakach, który na koniu siedzi jak pies na płocie i pasem się śriska jako osa, bo żołądek ma wyschły. Ja też koszuli dawno nie pioreę bo niemam, a opończa co się świeci, tę już musiałem sobie wysłużyć niedawno...

Udał Dobek że tych zwierzeń nie słyszy.

— Wy u nas podeczasym i podskarbm i wojewodą, mówił dalej Marko, radźcie o sobie i drugich.

— Jak z próżnego nalewać — rzekł Dobek — nie potrafię.

— No, to ja wam poradzę — wtrącił Marko.

Siedzący na ławach pod ścianami, zasłyszawszy to, zwrócili nań oczy wszyscy i westchnęli.

Wstał Marko, pociągając odzienia i prostując się.

— Nie darmo ezłek po świecie bywał, rzekł, i na Węgrzech, i w Akwizgranie i w Kijowie i na Morawach — i gdzie się nie bywało?? Ja tu zaraz przybywszy zwąchałem jak stojemy, myślałem kędyby się pożywić.

Ja sobie prosty wojak — a wy, ludzie rozu-

mni, jeździliście z Magunsem do biskupa, który rychlej by wziął niż dał, a nie pojechaliście tam gdzieby się można obłowić.

— Gdzież się tu obłowić? zapytał Dobek ciekawie.

— A no tam gdzie się wszysey panowie żywią kiedy bieda—mówił Marek—albo to nie wiecie kędy królowie złoto pożyczają aby go nie oddać nigdy?

— Nie wiem.

— U Judów! zawołał Marko. Macie i tutaj pono kilku, boć oni są wszędzie i w Pradze ich siła, i w Krakowie gdzie który się już okazuje. Handlują złotem, kamieniami, niewolnikami, balsamami; srogie pieniądze i skarby mają.

Dobek ręką poczał się osłaniać i bronić.

— Zaś! żebyśmy n tych nieprzyjaciół Bożych mieli co brać! niech nas od tego miłosierdzie pańskie uchwowa!

Splunęli niektórzy, inni się przeżegnali z obawą.

— Tak wy o tém mówicie, ciągnął Marko niezmięszany, jakbyście nigdzie po świecie nie bywali, a o Judach nie słyszeli. Wszysey co rozum mają, monarchowie, cesarze, królowie, książęta ciągną z nich siła. Skarby u nich ogromne. Z szatanem trzymając złoto robić umieją. Z pogany teni którzy Chrystusa pana męczyli niema wielkiego zachodu, a choćby się skórę z nich zdarło, do zbawienia jeszcze pomoże. Nagrozi się

im, nafuka, nabije nawet, nie ujmie się za tém nikt, dobrze że z życiem wyjdą cali.

Dobek powoli zdawał się przychodzić do jasnego rzeczy pojęcia.

Żydów naówczas nie wiele jeszcze w Polsce było, tłumniej później nieco ściagać się poczęli. Siedzieli tylko po grodach bogatsi, handle wiodące różne. Wielkie prześladowanie, które tysiące później zagnało tutaj, gotowało się dopiero. W Pradze, Krakowie, Wrocławiu zamożniejsi osiedlili się za Władysława, trudniąc handlem, wybijaniem monety, kupnem i sprzedażą niewolników, lekami i lichwą.

— Gdyś się przekonał że królewicz goły — ciągnął dalej Marko — myślałem zaraz, Judy nam trzeba na tę chorobę. Da on nam grosza gdy królewicz zażąda.

Z niedowierzaniem i ciekawością przysłuchiwał się Dobek.

— Gdzież tego Judy szukać? przebaknął.

— A widzieliście dwór na piaskach? ten co murem obwiedziony wysokim, że za nim prawie dachów nie widać?

— Czyżże jest? pytał Dobek.

Marko palcem w stronę jego ukazał i nosem pociągnął.

— Tam nam potrzeba — odezwał się — tam ja czuję złoto i wszystko czego królewiczowi brak. W domu tym mieszka Natan Ispan — azali

wy o tём nie wiecie? Tylko że do niego przystęp trudny! ho!

Z ław powstawali zaciekawieni słuchacze, kołem otaczając Marka.

— A wy zkađ o tём wiecie? poczęli pytać Marka.

Sobiejuha śnial się zwycięzko.

— Ja, rzekł, gdy wchodzę do lasu wietrzę zwierzyne, gdy wjeżdżam do miasta, wietrzę Judów. To u mnie pierwsza rzecz. Mało wiele, przyczepiwszy się doń, człek zawsze coś udrze, bo każdy Jud się boi, aby go za męczeństwo Chrystusowe nie pozywano. Więc się ich drze. Wszysey to robią. Poco by ich żałować? Czy oni nam swaty czy braty? Wszakci to nie kto tylko ich ojcowie Pana Boga ukrzyżowali i męczyli; czemubyśmy za to ich nie mieli lupić? Sprawiedliwa rzecz i bardzo Bogu miła. Nam do Natana Ispana trzeba się dostać koniecznie, nalgać do brze, obiecać złote góry, nastraszyć trocłę da co potrzeba. Królewicz-że na Szląsku ma ła nować? Chce-li być Natan cały musi się zawczasu za-
służyć.

Wszysey, nie wyjmując Dobka, z pewnem poszanowaniem spoglądali na Sobiejuchę, który dawszy ten dowód przebiegłości, zdumniał. Rzucił okiem ku wiadrn próżnemu, jakby wyrzucając losom niesprawiedliwość iż takiego jak on człowieka, nawet piwem nie poczęstowały. Nikt

się nie odzywał, Marko splunął i ręce za pas założywszy, ciągnął dalej.

— Tak, tak, miłościwy panie — człek jestem mały ale bywały, wiem gdzie kury jaja noszą. Nie darmo człek wycierał kąty od Dunaju do Reuu, od Adygi do Dniestru — i...

Ręka w powietrzu dokończyła wyliczenia.

— Rada wasza pewnie nie do pogardzenia — odezwał się Dobek — wszelako Juda by chyba głupi był żeby dawał temu co jeszcze niema nie. i niewiadomo co mieć będzie.

— Król ma serce miękkie, poruszy się — rzekł Marko.

— A Sieciech co ma serce złe nie da mu nie zrobić — wtrącił Dobek.

— A! dziecku oczu nie wykole — mówił Sobiejucha. Widzicie, miłościwy panie, gdyby kolo was tak złe było jako wy trzymacie, jabym tu pewnie nie postął, abo miejsca nie zagrzal.

— A jakże trafić do Judy! zapytał Dobek — jam i na to nie mądry.

Marko się śmiał z prostoty człowieka, nad którym chwilowo brał górę!

— Miłościwy panie — począł cicho i poufnie, choć tajemnicy w tém nie było. Myszy nawet wiedzą jak się dostać do domu. Gdy drzwi zamknięte, drapią się po ściauie; gdy ściana gładka, kopią norę pod ziemią.

Powtórnie przeszedł się Marko do wiadra po

piwie, zajrzał w nie, przekonał się iż w niem nic nie było, a gdy inni wysmiewać się z niego zaczęli — zawołał.

— Co się macie śmiać? Poszedłby który z młodszych do jejmości. bo do bab bezpieczniej gołowasów posyłać, pokloniłby się i rzekł że srogie pragnienie mamy, woda się w studni zaśmierdła, a piwa ani kropli. Juści przez miłosierdzie dadzą choć męty. Co ich to kwaśne piwsko kosztuje? Na polu ziarno się samo rodzi, albo mu z osypów i danin przywiozą do spichrza, chmielu po lasach i po płotach dosyć, służba do zamku idzie, jak nam mają żalować — tego co im Pan Bóg darmo daje!

Jeden z siedzących pod ścianą ruszył się przekonany argumentem, a Dobek zamyslił nad daną radą. Sobiejucha podśpiewując do okna powrócił, tamten wymknął się z izby.

Magnus właśnie przed sień zajeżdżał z za miasta powracając, gdy Dobek go tu przywitał. Nie bardzo rad był i twarzą mu to okazał, bo wszystkich Zbigniewowych z nim razem, chciał się co rychlój pozbyć z grodu, objadali go i obierali.

Wieści też już chodziły, że król z siłami znacznymi na Wrocław ciągnie. Zsiadł z konia otyły namiestnik sapiąc zmęczony, udając że Dobka nie widzi. Ten mu się kłaniał uparcie.

— Czołem i głową, miłości waszej — powtarzał — czołem i głową.

— Bóg z wami—a co? zamruczał stary.

— Słówkoby się rzekło.

Usiedli tedy na ławie w przedsieniu.

— Długo was nie potrzynam — mówił Dobek — w pole nam na gwałt potrzeba, a niemamy o czem. Z próżnemi rękami i na nabożeństwo iść nie dobrze, co dopiero na wojnę.

— Jać skarbów nie mam — odparł groźnie Magnus — com miał i co mogłem, tegom nie skapił.

— Miłość wasza pomódz byście nam mogli pośrednictwem, opieką, dobrém słowem? rzekł Dobek.

— Gdzie? jak? u kogo?

— U Natana Ispana, jeśli się nie mylę w nazwisku, bogatego Judy, który tu mieszka — mówił Dobek — tenby królewiczowi mógł wygodzić.

Oczyrna wielkimi, zdziwionemi popatrzał Magnus na mówiącego, i nie było mu miło widocznie, że kto inny zabierał się do odzierania ze skóry tego którego on dla siebie zachował.

Po namyśle jednak, z dwojga złego wybierając, wołał pewnie by odarto żyda niż jego, i z łupem rychłej odejść mogli. Rzekł zrazu zwolna.

— Ot, czego się to wam zachciało! dobry nos macie.

Dobkowi to pochrębiło, rozśmiał się.

— Wy, miłościwy panie, pojedziecie z króle-

wiezem i ze mną do Judy, mówił Dobek śmielęj. My goli w pole nie pociągniemy, ludzie nasi ani oręza ani okrycia nie mają, darmo nie da nikt...

Namiestnik namyślał się długo, ręce obie po obu stronach szerokiego brzucha spartł na ławie, dyszał i dumiał nad odpowiedzią.

Przechodzącemu chłopcu kazał sobie przynieść kubek kwasu, wypił go, otarł usta, milezał i nie odpowiadał. Dobek czekał cierpliwie.

Zapatrzywszy się na wały i szopy naprzeciw stojące, Magnus zdawał się już zapominać o prośbie, aż Dobek ośmielił się ją ponowić.

— Miłościwy panie, dla królewicza choć to uczynić się godzi! pojedziecie z nami!

Namiestnik milezał ustami tylko poruszając dziwnie, jakby przeżuwał; za trzecią razą zagadnięty uparcie, popatrzał na natręta, podniósł się, rozprostował i rzekł.

— A cóż? muszę!!

Na jutrzejszy ranek zapowiedziane były odwiedziny u Natana. Marko dowiedziawszy się o tém, nalegał mocno aby do orszaku mógł należeć, królewicz byłby się zgodził na to, ale namiestnik odmówił twardo.

Sobiejucha pogniewał się mocno.

— Przekłęty wieprz — rzekł Dobkowi — pozbawia mnie podarku! żydy zazwyczaj mają i czeładź i wszystkich obdarowywać, cośby się okroiło.

Niechże się ja z nią nie spotkam na polu gdzie, bo mu brzuch rozpore.

Królewicz rad był niezmiernie, a gdy się przyszło wybierać, nie dopnił, inaczéj jechać tylko z wielką częścią dworu swojego, z trębaczami, chorągwią i zwykłemi okrzyki. Zdało mu się, że Judę przerazi i rychléj coś z niego wycisnąć. Magnus napróżno namawiał, by w kilka koni, po cichu odbyć tę wycieczkę, uparł się królewicz i na swoim postawił.

Ruszyli tedy z tą gromadą wrzaskliwą, królewicz odziany w co miał najlepszego. Magnus jak stał, Dobek we zbroi, dwu podkomorzych z łańcuchami na szyjach pozłocistemi.

Marko w podsieni stojąc kłął i pięści ukazywał zdala. Inni mieli z rady jego korzystać!

— Tak na świecie zawsze — szeptał — że kto zgotuje, ten nie jé.

Wycieczka do Natana nikomu zbyt miłą nie była. Magnus choć żydem się opiekując, wysysał z niego co mógł, ocierać się jednak o niewiernego nie lubił. Żydów obawiano się powszechnie jako czarnoksiężników, mających stosunki z siłą nieczystą, wstręt miano do wszystkiego, co ich otaczało, oprócz pieniędzy, do których czary nie przylegały.

Unikał każdy progu ich i dotknięcia; żydzi téż unikali zarówno stosunków ze światem wedle ich pojęć nieczystym i pogańskim (czcicieli gwiazd)

domy ich, o ile możności stały oddzielone od zamieszkiwanych przez chrześcian, zamknięte dla nich, tak, że jedna tylko część ich dostępną była dla tych, którzy z niemi mieli stosunki. Wystawieni na samowolę i prześladowania, kryć się musieli z całym życiem swém, aby cieżkości nie obudzać, nienawiści nie drażnić.

Dom Natana Ispana stał w części miasta, zwanój na Piaskach, wysoko obmurowany dookoła.

Brama wiodąca doń z dębowego drzewa wyciosana, blachami żelaznemi okuta, stała zawsze zamknięta. Wązka furta z boku prowadziła na podwórze, a i téj nie otwierano, nie przekonawszy się wprzód, kto i z czém przychodził. Cudzoziemskim obyczajem umocowany przy niej był młot ciężki, którym bijąc, przyjezdni znać o sobie dawali.

Zbigniew już zdala swoim ludziom w rogi dać kazał i pokrzykiwać, nie to jednak nie pomogło, gdyż stanawszy u wrót, znaku życia najmniejszego przy nich nie znaleźli. Trąbiono długo i pokrzykiwano na próżno.

Jeden z czeladzi dopiero z konia skoczywszy, młotem walić począł, nie żałując furty, aż się odsunęła deska od okienka i blada twarz w czapce ogromnej ukazała za kratą.

Z pod brwi jej czarnych, grubych, nawisłych, wejrzenie strażnika padło na Magnusa; starczyło

tego, by furtę zaraz otwierać zaczęto. Drugi z Natanowych sług pobiegł do dworu z oznajmieniem o gościu dostojnym.

Namiestnik nie chciał z koźmi i całą gromadą książęcą wjeżdżać w podwórze i zsiadłszy u wrót, pieszo weszli ze Zbigniewem. Stojący u furty strażnik, pokłonem do ziemi ich witał.

Ztąd się im dopiero pokazało domostwo, w pośrodku podwórca stojące, na pozór liche, obszerne, z dachem wysokim, ścianami niskimi i mnóstwem kleci dokoła.

Z pozoru trudno się tu było domyślać wielkich dóbr, tak nędźnie wyglądał dworzec ów niski, otoczony słupkami drewnianymi. Okna jego kratami drewnianymi opatrzone dokoła, nie dawały wejrzenia do środka, choć otworem stały.

Sługa, który przodem pobiegł oznajmić Magnusa, tak żywo się sprawił, że nim do drzwi doszli, już się one otworzyły, a w progu ukazał sam gospodarz, wychodzący na spotkanie swych gości.

Był to starzec wysokiego wzrostu, z bardzo długą brodą siwą i oczyma prawie brwiami zasłoniętymi; ubrany w suknię ciemną jedwabną, pasem szerokim ujętą, w lekkim płaszczu czarnym na wierzch jej zarzuconym i w zawoju na głowie.

Pokłonem niskim i ręką od ust witał znajo-

mego Magnusa, ale bystre jego oczy już postrzegły, że nie sam on przybywał; przebiegły Judeus domyślił się kogo i pewnie, po co wiedziono.

Zbigniew w klasztorze, we wstręcie i obrzydzeniu dla żydów wychowany, szedł niechętnie, trwożnie, ociągając się, a oczyma rzucając dokoła ciekawie. Magnus szepnął do ucha gospodarzowi kto był z nim, a ten jeszcze niżej Zbigniewowi się pokłoniwszy, rwał w białe palce kraj jego szaty i do ust ją przyłożył. Ruch ten przestraszył niemal królewicza, lecz się zmógł na mężstwo i twarz jakby do uśmiechu nastroił.

Weszli tedy w sień prawie ciemną, którą tylko otwarte drzwi oświecały. W lichém tém na pozór domostwie, nawet wnijście, zamiast zwykłego toku, było drewnianemi wyłożone dyłami. Na prawo otworem już stały drzwi, a przez nie dużą izbę nie zbyt jasną widać było.

Dokoła ję, zamiast ław leżały poduszki i ko-bierce nizko asłane. Część też podłogi grubemi, cienmemi kobiercami wyłożoną była. Stół ze świecznikiem mosiężnym w pośrodku, także był wzo-rzystą okryty oponą.

Zresztą nie było w izbie nic, oprócz szafy, w której gliniane, dziwnych kształtów naczynia, kubki i dzbanki ustawione były. Nic tu jeszcze nie oznajmowało tych wielkich dóbr, o których mówiono, złota i srebra nigdzie widać nie było.

Że innego siedzenia nad owe poduszki nie było, gospodarz wskazał je przybyłym, a sam znikł na chwilę, pospiesznym uchodząc krokiem.

Lecz jak szybko odszedł, tak prędko nazad powrócił i jedną ręką trzymając się za brodę, drugą za pas stawał w pełnej poszanowania postawie naprzeciw Zbigniewa i Magnusa. Dobek, który się wsunął za nimi, ku kątowi się skrył, ciekawe posyłając oczy na wszystkie strony.

Do rozmowy z Natanem nie potrzeba było tłumacza, umiał on już nieco pospolitego języka, a mówiono, że i wiele innych rozumiał, bo długo wprzód żył po różnych krajach niżeli się tu dostał.

Magnus ustąpił z nim nieco na stronę, w cichocieni naprzód ozoajmując mu, z czem i po co przybywał. Dobek zdała śledzący obni ich ruchy, postrzegł naprzód przerażenie Natana, zarzekanie się jakiegoś nderzanie w piersi gwałtowne, miotanie rękami, potrząsanie głową. Potem coraz łagodniejący spór trwał dosyć długo, nim się jakby poddaniem smutnem i uległością zakończył.

W tém chłopak młody w długiej sukni ciemnej, wniósł na płaskiej misie cynowej ogromną flaszkę i trzy knbki pozłociste.

Na twarzy Zbigniewa trwoga się odmalowała.

— Struć nas gotów, lub zazarować — szepnął Dobkowi.

— Cóżby mu z tego przyszło? — odparł towarzysz. — Jest sposób na to, sam on z nami napić się musi.

— Czyż nie wiesz o tém, że trusiciele sposoby na to mają, ażeby im trucizna nie szkodziła — szeptał Zbigniew przełękły — ja usta nie dotknę tu ani jadła ani napoju.

— Do woli waszój — odezwał się Dobek — ja to wiem, iż oni mają wina z gorących krajów, jakich u nas nikt nie zna, słodkie jak miód, a jak ogień rozgrzewające. Nie pogardzę przyjęciem.

Natan rad zapewne, iż przyniesione wino niemiłemu naleganiu nań folgę uczyniło, ukłonami jął na nie zapraszać, lecz Magnus też nie bardzo rad był pić, czarów zarówno obawiając się i trucizny. Stary nalegał mocno, a nawykły widać do podobnych obrzędów, sam pierwszy nalał trochę wina do kubka, pijąc za zdrowie gości i do kolan się im kłaniając.

Wziął i Magnus kubek podany i Zbigniew też z tą myślą, że go nazad pełnym postawi. Śnielszy a ciekawszy Dobek począł pić zaraz i skosztowawszy po piersiach się poglądził.

Napój był w istocie osobliwy, choć dla króla, ognisty, wonny, a łagodnie lechący usta.

Tymczasem namiestnik zagajał sprawę, Zbigniew też zbliżył się, bo gdzie szło o wymowę, latwiej sobie od innych poczynął, na sło-

wach mn nigdy nie zbywało. Kto był, o co się nbiegał, opowiadać nie potrzebował. Magnus przyrzekał w imieniu jego wiele w późniejszym czasie, gdy królewicz prawa swe odzyska, co nieochybnie nastąpić musiało.

Sluchał z wielką uwagą Natan.

— Choćby człowiek mały, jakim ja jestem, pragnął nslużyć waszej miłości — rzekł powolnie, ważąc każde słowo — zkądże ma wziąć? Jak dostać?

Utyskiwać począł na bardzo ciężkie czasy, na handel trudny, na to, że karawany kupieckie po gościńcach nigdzie bezpieczeństwa nie miały, choćby w listy od królów opatrzone były, rozbijano je i obarczano opłatami.

Zaklinał się, iż zubożały był, że nie miał nic, nie mógł nic. Bił się w piersi, oczy podnosił ku niebu, brodę siwą targał i wzdychał.

Nic to nie pomagało, Magnus nalegał nań. Dobek po winie śmielszy, z kąta po słowie przyrzucał. Zbigniew też zebrał się na wspaniałe obietnice, ofiarując się stwierdzić je pieczęcią swą, chociaż dotąd żadnej nie miał. Opór ze strony napastowanego żyda trwał długo, ale namiestnik naciskał go, a ten był we Wrocławiu najwyższym rządzcą; odmówić mu całkowicie, obrazić go i zniechęcić nie było bezpiecznem.

Natan w końcu musiał ofiarować pewną ilość grzywien srebra i sukno dla ludzi książęcego

dworu, zaklinając się, iż ostatki oddaje i sam ogołoconym będzie ze wszystkiego.

Językiem mówił złamanym, lecz żywo, gorąco, pomagając sobie ruchami, starając przebłagać pokorą. Oczy tylko ciemne z pod brwi nawisłych, ilekroć błysnęły, nienawisć z nich i gniew tryskał stłumiony.

Chociaż ofiara ta nie dochodziła przesadnych nadziei, z jakimi Zbigniew jechał do Natana, trzeba się nią było ograniczyć. Tak radził Magnus, wzięwszy na stronę królewicza i biorąc żyda swojego w obronę. Stało na tem, iż królewicz oprócz zwrotu grzywien, opiekę swą Natanowi w przyszłej dziełnicy zaręczał, pieniądze mu być u siebie dopuszczał, handel swobodny, wolność od opłat pismem pod pieczęcią zapewnić obiecywał...

Sam Natan wedle słów tych pismo ułożyć się ofiarował, mając zawsze do pomocy kogoś, gdy mu było potrzeba; książkę tylko przypieczętować miał nadanie, a świadki stały gotowe.

Tak w przeciągu godziny umowa zawartą została, zachęcony Dobka przykładem Magnus, wychylił kubków parę; naostatek i Zbigniew potajemnie przeżegnawszy napój, ośmielił się do niego. Wino było dobroci dziwniej i uweselało cudownie; twarze się też wyjaśniły, choć skutek wycieczki nie bardzo był pomyślny.

Natan nie chcąc swych gości bez podarków

wypuścić, znikł znowu i po chwili wrócił z chłopakiem, który niósł trzy srebrne naczynia, dla królewicza jedno, drugie dla namiestnika, najmniejsze i najlżejsze Dobkowi.

Tak wyprowadzani aż za próg wyszli z lichego domku tego, opatrzeni nieco z łaski Marka, który podał pierwszy tę myśl szczęśliwą a sam nie mógł z niej korzystać.

Kubki pozawijane w chustki jedwabne, czeladź u drzwi zabrała. Rozochocony Zbigniew dosiadając konia za furta, która się natychmiast zamknęła za nimi, kazał w rogi nderzyć, śpiewać i pokrzykiwać ludziom, którzy tém raźniej to spełnili, iż i im piwa i miodu wyniesiono, a tego się wcale nie wzdrali.

— Gdy panem tu będę — szepnął Zbigniew, pochylając się do ucha Dobkowi — wiesz co uczynię?

— Natana wasza miłość nagrodzi? — rzekł Dobek.

Rozśmiał się Zbigniew szydersko.

— Nie głupim — rzekł. — Zadrę się z nim, abym dwór mógł złupić. Znajdzie się w nim czém pożywić! Nieprawdaż! Nie godzi się, aby kaci Chrystusowi w skarby się wzmagali. Z szatanem trzymają niewierni i czary sprawiają. Kościołowi dam dziesięcinę...

Dobek nic nie odpowiedział, lecz wielkie powziął pojęcie o rozumie pana swojego.

— Ten królować potrafi! — rzekł w duchu.

Gdy w tryumfie z hałasem zajeżdżali napowrót na zamek, Marko czekał na nich w przedsieni, ciekaw, jak się im poszczęściło. Zbigniewa pytać nie chciał, Dobek śmiejąc się kubek mu swój pokazał i chustę jedwabną.

— Byłbym i ja podobny dostał — westchnął strapiiony Sobiejucha, kubek w rękę obracając — a no mnie com to wszystko uczynił, wiecheć się za to dostał. Taka sprawiedliwość na świecie!

Na złagodzenie smutku, pół grzywny srebrnej mu przyobiecano, a piwo i miód resztę żalu ugasiły.

VIII.

Była naówczas Kruszwica biskupią stolicą i miastem równego znaczenia z Gnieznem i Poznaniem, należała do najzamożniejszych u Polan grodów.

Szedł tedy handel ożywiony, mieszczaństwo było zamożne, ludność się pomnażała. Zamek nad jeziorem stał warowny, na tém miejscu kędy niegdyś Popielów wznosiła się wieżyca... Resztki tego *dominium* sterczały nad nim, czasu ciężkiego oblężenia, gdyby gród miał być opanowany, stanowiąc ostatni przytułek.

Tu Zbigniew u miasta i Gopla stał obozem ze swym zebrany z różnych stron żołnierzem. Nie było podówczas królewskiej na zamku załogi i to go ubiedz dozwoliło, gdy z kilku pułkami przyciągnął królewicz pod Kruszwicę.

Z samego wejrzenia na obozowisko poznać łatwo było można, z czego się siły Zbigniewowe składały.

Osobno stały dwa oddziały pogan pomorskich ze stanicami swemi. Z temi chrześciance kumać się ani chcieli ani mogli. Pomorska owa dziec łupieżna służyła tak nieraz i Cesarzom i każdemu kto jej chciał zażyć, byle rabunek miała bezkarny. Na zawołanie Zbigniewa poszła chętnie, z kneziem swym Przemkiem, który bez wojny żyć nie mógł, a z Polanami był w wiekniestej walce. Na nboezu się trzymali Pomorecy, gdyż się z niemi nikt drużyć nie chciał, a oni też o tém nie myśleli.

Dwa pułki posiłków czeskich stały także osobno, z temi ani Pomorecy, ani Polanie w zgodzie nie byli i u wodopoju nawet, gdy się czeladzie spotkały, łąwały się i do oszczepów porywały, wymyślając sobie wzajemnie. Czechów potajemnie wysłał Brzetysław, choć się zwało że z ochoty przyszli sami.

Dwa pułki dostarczyli też nieprzyjaciele Sieciecha, żądając go obalić bardziej niż Zbigniewa ratować. Ostatni siódmy oddział składał się przeważnie z samych zbiegów, których Sieciech wygnał z kraju prześladowaniem, a ci najzajadlejsi byli.

Ze wszystkich ziem znajdowało się ich tu po troszę, Krakowian i Szlązaków i Mazurów i Po-

znańczyków. Rycerze byli najlepsi gdyż między niemi zamożnych ziemian lik się największy znajdował.

Wysłane szpiegi donosiły że król téż wojsko miał liczne i doborne, a choć sam chory, na czele pułków iść miał na Wrocław i Zbigniewa. W Płocku jednak podobno jeszcze nie dobrze wiadano kędy królewicza szukać, a szło bardziej o odzyskanie Szląska, niż o Zbigniewa. Wprost więc Władysław iść miał na Magnusa naprzód, aby go przywieść do posłuszeństwa.

Nie pewnego nie było, ani gdzie, ani kiedy, ni z kim do czynienia mieć mogli Zbigniewowi. Każdy wysłany na zwiady inaczéj prawił, inak liczył, co innego rozpowiadał.

Jedni wojsko króla czynili ogromném bez miary, drudzy słabém i nie liczném, więcéj o nim baśni przynoszono niż wieści.

Dobek, który do rady stał przy Zbigniewie, acz ten nie zawsze sobie doradzać dawał, ledwie wymógł na nim aby na zamku się nie rozsiadał ze dworem swym, a przy obozie w namiotach się położył, rycerza udając, choć jawném było że nań nie został stworzony.

Królewiczowi chciało się z drużyną wygodny zamek zajmować, bo pysznić się lubił, panującego udawać i zażywać dobréj myśli.

Dopiero gdy mu zagrożono że znienacka przy-szedlszy nieprzyjaciół łączniéj go weźmie, z nie-

wielką drużyną odłączonego, zgodził się pod namioty pójść ze swojemi.

Tu gędzbą, śpiewami, hukaniem i jasnymi sukniami a dworem więcej się zajmował niżeli wojskiem i wojną. Śmiechów było pełno i przechwałek, bo siedm pułków owych zdawały się niewyciężonemi.

Jesień już nadchodziła, noce były chłodne, ranki z przymrozkami, pod płótnem, choć ognie palono blisko, zaczynało być nie bardzo zaciszno. Wieher podrywał ściany, wdzierał się do wnętrza i nocami potrzasał namiotami, jakby je wywracać próbował. Dwór królewicza znacznie był urósł bez potrzeby, dla wystawy tylko. Kręciło się około niego dużo pustej młodzieży, a wieści chodziły że pod męzkami sukniami i biała pleć do usług była używana. Królewicz nie bardzo rad ze starszemi obcował, lubił błaznów, pochlebców, śmiechy i ludzi co od niego wszystko znościć byli gotowi.

Obóz był gwarny, bezładny, do którego ludzie się nie bardzo zbliżać śmieli. Na pagórku nad jeziorem, między kilką staremi drzewami rozpięty był namiot pański z wiechą na wierzchu, a przy nim na wysokiej tyce zatknięta powiewała chorągiew czerwona bez żadnego znaku.

Obok niego ponnijsze dla Dobka z Morawicy, Marka i starszyny, stały nicopodal osobną gromadą. Dalej drużyna miała porozpinane

na kołach płótna, które się też namiotami nazywały. Dla oddziałów więcej szalasów i bud było z chrustu niżeli namiotów, ale za to dołów w ziemi pokopanych co nie miara i ognisk wiele nad któremi kociołki się grzały, a tuż dla koni rzędami stały żłoby pochwytnane z miasta jako tako na kołach ponocowywane.

Ani około Zbigniewa, ni u Czechów i Pomorców, porządku wielkiego nie było; królewicz się we wszystkiem na drugich zdawał, sam niewiele czynił. Lubil tylko czasami ze dworem i trębaczami wyjechać i przeciągnąć aby mu się ciury kłaniały.

Okolo polskiego obozu, który był najbliżej królewicza, ludu różnego niepotrzebnego włóczyło się dużo: gęślarzów, dziadów, bab, dzieci, błaznów i wszelkiego talałajstwa.

Królewicz potrzebował aby go zabawiano i kłaniano mu się; bawiono go więc różnie, sprowadzono mu od warjatów począwszy, do chłopców co kozły przewracali.

Baby mu wróżyły, śpiewacy różne, często sprośne pieśni wyśpiewywali, kobzy, gęśle i liry brzęczały przez cały dzień i nocy kawalek.

Za to o czatach mało kto myślał, chyba Pomorecy, co w cudzej ziemi się czując, na ostrożności też mieć się musieli.

Wojsko nie było bardzo postawne ani piękne, bo na lik więcej zważano niż na dobór ludzi.

Odziwał się każdy jak miał i jak chciał, ten w opończę, tamten w kożuszyne, inny w kaftan stary, a zbroi mało gdzie widać było, tylko około księcia żelaznych ludzi zwijało się trochę. Broń też nie była osobliwą, toporów więcej niż miecza, dostatek palek nabijanych i oszczepów z ladajakim żelezcem lub osmolonych tylko.

Konie mizerne mało co więcej miały nad paszę pod nogami.

Leżąc tak obozem, to Pomorcy to Czechy, rannymi, nocami wyrywali się na bliższe osady dla pożywienia, a co złupili têm żyli.

Brali i młodzież, wiążąc ją jak jeńców, trudno im co mówić było, musieli mieć zdobycz jakąś.

Gdyby się srożono precz mogli pójść, a byli potrzebni. Z okolicy też kto mógł w lasy się wynosił daleko, i całe osady się zasiekiwały ze stadami na uroczyskach po puszczach.

Królewicz na nic nie zważał, byle mu samemu dobrze było. Dobek pilno go mający na oku, mógł się teraz bardziej jeszcze przekonać iż pościechy z niego nie będą mieli. Trzymali go jak chorągiew w ręku przeciw Sieciechowi.

Ani do konia, ni do gonitwy, do rycerskich zapasów było go napędzić, choć Dobek, starsi a nawet Marko go wyciągał. Sobiejucha szedł najczęściej z têm aby go z namiotu dobył, siadł pić i słuchać jak bajdurzono i do nocy pozostał.

Całe tak dnię w próżnicy upływały. Zahoił

i kilku ulubieńców, zbierali śpiewaków, którzy najwięcej swawolnych umieli pieśni, gęślarzy. gawiedzi wszelakiej i sami im dopomagając bawili królewicza, który na stolku skórą pokrytym siedząc, nogi pozakładawszy, śmiał się aż za boki trzymał, szydził, młodzieź do psich figlów pobudzał i o wszystkiem zresztą zapominał.

Dobek chodził struty, ale go wyciągnąć, ani przemienić nie mógł. Zagadał go Zbigniew, zahuczał i z uiczem odprawił, a swoje robił.

Stały beczki z piwem i miodem do kola pańskiego namiotu, kto ze starszych przyszedł, nawlekli się i Czesi i Pomorcy nawet, pił, jadł, siedział i razem się zabawiał. Wychodził potem spluwając i mrucząc. Gdy o wojnie mówić przychodziło Zbigniew ziewał.

Spojrzawszy z pagórka na swe obozowisko, że dużo miejsca uad jeziorem zajmowało, zdalo mu się że świat uicem zawojuje.

Marko mu pomagał gębą wyszczekaną.

— Niech no się królewscy pokażą, mówili— dopiero im ciegi damy! — Nie ujdzie ich ztąd i noga.

Potopiemy w jeziorze, reszta w łyka. Odgrazali się nawet, gdyby królewscy rychło się nie stawili, że na nich gotowi iść, szukać, a choćby na sam Płock uderzyć,

Tym czasem stali, ryby łowili w jeziorze

i u Kruszwickich mieszczan gościli nie proszeni po chatach.

Zbigniew który mnichów i klechów w czasie pobytu w klasztorze znienawidził, teraz na oczy dopuścić ich niechciał. Do Biskupa nawet nie szedł, a do kościoła trudno go namówić było.

Dobek i Marko chodzili do miasta, bywali na mszy; on, choć się tego nie zarzekał, z dnia na dzień odkładał, ledwie się z rana przeżegnał lub gdy czarów się uląkł jakich, to je krzyżem odganiał.

Tak upływały tygodnie na próżnem leżeniu, nikt z pełna nie wiedział co dalej poczynać miano.

— Gdy zima nadejdzie — mruczał Zbigniew. gród się obwaruje, załoga osadzi.

Z Kruszwicy sobie tymczasową chciał zrobić stolicę.

Komn jak komu, Markowi, który się wojewodą nazywać kazał, wcale z tém dobrze było. Inaczéj téż wyglądał teraz, bo i pacholika onego oberwanego odział, i konie (na paszy ich nachwytałwszy) zbierał, mieniał, karmił, zbroi do brój dostał, niewiadomo jakim sposobem, we wszelaką broń się zaopatrzył, i w oczach go przybywało.

Pomorcy, którzy srodzy byli zawsze łupieżcy a handlarze, oprócz tego co z domu dla wyprawy potrzebnego zabrali, nawieźli i po drodze na-

grabili dużo różnego sprzętu, który mieniali i sprzedawali.

Targowicę trzymali na obozowisku. Marko się u nich w wiele rzeczy zaopatrywał. Tak mu tu dobrze było iż sam przed sobą i innemi kłamał, przekonywując iż trwać to może bodaj wiek wieków, bo się na nich nikt napaść nie waży.

— Wiedzą ludzie że kły mamy! — mawiał, nie będą śmieli!!

Tym czasem stać obozem w siedm takich oddziałów, wśród kraju spustoszonego, coraz trudniej było. Pomorey dalej codzień puszczać się musieli za łupieżą, i nieraz wracali z próżnemi rękami; Czechy głodem po troszę mrąc, odgrazali się, że gdy mroz przycisnie precz pójda; Polacy niewiedzieli co poczną, końca nie widać było.

Gdy Dobek, rozsluchawszy się po obozie przyszedł o tém dać znać Zbigniewowi, zaledwie go chciał słuchać. Ruszył ramionami.

— Czarno się wam widzi — rzekł, co ja na to poradzę?

— Albo się godzić, albo się bić trzeba, albo nas tu głodna śmierć wybije, mówił Dobek.

Królewicz, który właśnie patrzył na dwu chłopców pasnących się przed namiotem, z których jeden drugiego obalił i siadł na nim — począł się śmiać mocno. Na tém się rozmowa skończyła.

Drugą razą, sam na sam z Dobkiem usiłował

go przemądrze przekonać, iż ojciec mu wojny nie wyda i sam o pokój go prosić musi. Mówił tak zręcznie, przekonywająco, napastliwie że Dobka na razie uspokoił.

Sam jednak pono nie wierzył w to czém go durzył.

Posłano na zwiady ku Wrocławowi, Marko o tém doniósł królewiczowi, bo się to stało bez jego wiadomości.

— A no, dobrze! odczwał się.

Sobiejuha, widząc że się to podobało, pochwalił się tém jako swém dziełem.

Czekano dni kilka na powrót Czecha, który się wpředce z językiem przyobiecał; nie było go jakoś długo. Jednego dnia ujrzano go nareście.

Człek przebiegły, roztropny, smutny jakoś przywłókł się pod namiot królewicza.

— Cóżes to przyniósł? zapytał Zbigniew.

— Co Bóg dał, odparł Czech — król we Wrocławiu.

— Oblęgał go, wziął! — zaczęto pytać w koło.

— Gdzie zaś, mówił posłany. Dali o królu znać tylko że nadciąga, wyjechał naprzeciw biskup Żyrosław miłosierdzia prosząc dla miasta swojego; za nim Magnus wyszedł pana przyjmując.

— A Sieciech? pytano.

— Na razie go tam nie było, tylko ludzie z jego ramienia. — Nie okazywał się.

— Cóż król?

— Przyjechał nie zdrow i na zamku legł odpoczywać, mówił posel.

— Uwięziono czy ścinano? pytali jeszcze.

Czech o niczem podobnym nie słyszał. Zbi-gniew odwróciwszy się pytał już nawet więcej nie myślał; Dobek dopiero nadszedł przybyłego aby mu szerzej opowiedział o tem co widział i podслуchał.

Była już pewność że po odpoczynku, król z Wrocławia na Kruszwicę miał ciągnąć.

— To i dobrze! zawołał zuchowato Marko, prosimy ich tu, niech się raz skończy sprawa. Zagramy im do mogiłnych płasów, niechaj skaczą.

— Dawać ich tu! dawać! powtarzała młodziź niech no się naszym Pomorcom na zęby dostaną...

— Nie będą śmieli tu przyjść! — dodał Marko, chwałą się i chcą nastraszyć. Nie odważą się na nas nastąpić.

Skończyło się to na drwinach i śmiechu, Dobek z sobą Czecha do namiotu poprowadził i tu dopiero, nacisnąwszy go lepić się o wszystko dopytał. Czech nie taił swęj trwogi. Wojsko Sieciechowe było silne, dobrze zbrojne i do wojny zaprawione. Liezbę mieli większą pewnie niż wszystkie siedm pułków królewicza, podda nie się Szlązaków i Wrocławia wbiło ich w pychę, — walka się zapowiadała ciężka.

Gdy nazajutrz zwierzył się z tём Sobiejuchowi, ten go wyśmiał jak tchórza.

— Te Czechy! miłościwy panie, rzekł, jać ich na wylot znam, jam z niemi wojował, to są ludzie małego serea, zające; im się wszystko w oczach dwoi. Wojsko królewskie odziane dobrze, co z tego! — Żołnierz dobrego kożuszka więcej niż skóry swój żaluje. Nasz co ma lachman podarty, rzuci się na zdobycz. Niechno my się do nich weźmiemy, dopiero zobaczymy kto lepszy.

Powrót posłańca który na zwiady chodził, poruszył trochę obóz do czynności, ale nie na długo. Patrzano na królewicza, ten trybu życia nie zmieniał, uspokoił się drudzy, widząc go spokojnym. Dobek tylko chodził posepniejszy coraz.

Zbigniewa do konia i do zbroi napędzić, nie było sposobu. Gdy mu rycerską sprawę jako naukę wystawiano, śmiał się.

— Wy sobie z tego wielką mądrość czynicie, powtarzał, co żadną nie jest. Bić się uczyć nie trzeba, bydle nawet to umie, każdy się z tём rodzi że tłuć potrafi.

Dobek z Morawicy który w słowie nie był mocny, dawał się królewiczowi pobić językiem i szyderstwem, ale było mu nie mniej markotno. Starszyzna inna także nie dobrego nie przeczuwała. Cofać się było zapóźno, rozsypać niebezpiecznie. Najstraszniejszym było iż się tu wszystko coraz bardziej rozprzęgalo; przewidywano że

gdy do boju przyjdzie, każdy na swą rękę pójdzie, uciekać.

Przemko pomorski słuchać nikogo nie myślał; czesey dowódcy mieli też swój rozum, polacy nikomu się powodować dać nie chcieli, a każdy inaczéj radził; Marko wojewoda dużo gadał nie nie robił. Dobek szepeząc, skarżąc się, mrucząc biegał od jednego do drugiego, niespokojny o swą skórę...

Po kilku dniach posłano znowu na zwiady, a że do tego Czesi najsprawniejsi byli, znów drugiego popełniło, który kraj znał kilka razy go przewędrowawszy.

Zbigniewowi się zdało iż gdy starszyznę poił, karmił i bawił, a co drugi, trzeci, dzień z trębaczami obóz objechał, więcéj uczynić nie mógł. Im dłużej stali tém się czuł bezpieczniejszym.

Trzeciego dnia Czech, nie bawiąc długo, powrócił, konia spędził w niwecz; biegł z tém, że wojsko królewskie, przy którym i Bolko królewicz był, wyciągnęło już z Wrocławia i spiesźnie szło ku Kruszwicy.

Chociaż Dobek mu język za zębami trzymać kazał, nie wyszła godzina po powrocie, gdy w obozie wszystko się ruszyło jak w mrowisku gdy je kto rozgarnie. Dowiedzieli się Pomorcy, rozbudzili Czechy, Polacy poczęli o zbroi i koniach myśleć. Marko posłuchawszy o tém, zadumał się ale otuchy na razie nie stracił. Star-

szyszna cała poszła na radę do królewicza. Zastali go wedle obyczaju z młodzieżą, błaznami, gąsłarzem u drzwi i ślepym wróżbitą; zobaczywszy ich pochodem takim dążących namarszczył się strasznie.

— A no! znowu! — zawołał do Dobka kroczącego przodem — pokoju bo mi niedajecie. Jeśli przychodzicie napić się a poweselić, to wam rad, a jak straszyć to słuchać niechcę!

— Miłość wasza odparł Dobek, rada czy nie rada nuszysz nas posłuchać. Sroga bieda za pasem. Król na nas ciągnie już, siłę ma wielką, gotować się trzeba,

— To się gotujecie? — rozśmiał się Zbigniew albo wam bronie?

— Przecie obmyśleć trzeba czy naprzeciw nich iść, czy ich tu czekać? Jak się rozłożyć?

Możnaby zabiedz drogę, rwać ich z boku.

Królewicz zmilezał, patrzył do góry, a do Zahonia śmiał się boczkiem. Gąsłarz nie zważając na przybyłych brząkał i nucił, że się rozmówić było trudno. Marko, który się dowództwa nad Polakami napierał i zwał się zawczasu wojewodą, począł mówić, wyręczając niechętnego pana.

— A po co się nam ruszać gdy tu dobrze stojemy? zawołał. Gród warowny i jezioro mamy pod bokiem. Jest się o co oprzeć.

Czego u licha chcieć? — jakiego wiatra w po-

lu szukać? Ludzie co na zwiady idą, boją się wisieć to im się w oczach dwoi. Straszają nas słonianą kuklą.

Król ciągnie! — Myślą że samo imię nas strwoży! Pójdziemy ztąd, rozleziemy się, to nas po kątach tłuc będą. Nie! dostojm kroku, a przyjdą tu, posieczemy ich na drzazgi.

Przemko pomorski milezący a pomurzy wódz uśmiechnął się pogardliwie z wielomównego Marka. Czechy głowami wahały a wąsy gładziły. Patrzali na Zbigniewa wszysej, ten na nich ani spojrzał.

— Skończona rzecz, rzekł w ostatku.

Będziemy stali i czekali, a gdy przyjdą, pobijemy.

Gęślarz głośniej zanucił, drużyna po kątach chichotała, pan do rozmowy ochoty nie miał, popatrzyła na siebie drużyna.

Rozważniejszemi niepokój owładał. Przemko pomorski chciał inaczej.

Radził się rozbiedz do koła, na wojsko królewskie, na trzęsawicach, któremi przeciągać musiało, napaść ze wszech stron niespodzianie, popłoch wzbudzić, i starać się je wpędzić w moczary. Marko nigdy endzego rozumu nie lubił.

Powtarzał swoje. Tu stać trzeba i tu na nich czekać, wpadną między nas jak w polapkę, wytopimy ich w Gopie do nogi.

Upewniał że tym sposobem raz z nieprzyja-

cielem poczynął sobie nad Dunajem i wojsko wielkie, niewiadomo czyje, rybom i rakom da na pożarcie.

Mało kto go słuchał, z narady nie nie wyszło i od dnia tego każdy sam sobie po swojemu radził! Czechy, najprzebieglejsi, wysłali potajemnie szpiegów, aby wojsk królewskich ruchy śledzili i obliczyć się starali ich siłę.

Jednego wieczora, gdy w namiocie Zbigniewa jeszcze się świeciło i młodzież z panem się zabawiała, nadbiegło dwu Czechów z oznajmieniem że królewscy już Brzeście pominęli, trzema wielkiemi oddziałami sunąc wprost na Kruszwicę. Za dzień, za dwa można się ich było spodziewać.

Popłoch się stał wielki, Marko wojewoda, który dotąd sobie lekcewazył wszystko i miał za bajki co przynoszono, nagle niepokoić się zaczął bardzo.

Królewicz pozostał niewzruszonym.

— Dziś i jutro, bić się będzie potrzeba, rzekł wszystko mi jedno, czém prędzej tém lepiej.

Przywołano Sobiejuchę, bo w nim jednym książe miał wiarę i upodobanie.

— A wy, co mówicie! — zapytał.

— Czechowie przynieśli że królewscy nadciągają — odezwał się Marko. Jeżeli to prawda, niech ciągną, na zgubę swą tu przyjdą. Gdy się zbliżą, miłość wasza, każe wojsku zrana beczki wytoczyć i piwa dać obficie. Niech im się

w głowach zawieruszy, żołnierz na czezo nie nie wart. Dopiero się bić będą, aż strach.

Wybijemy do nogi!

Królewicz radę znajdował bardzo rozumną, po ramieniu go klepnął.

— Spodziewacie się zwycięstwa? — zapytał.

— Nie spodziewam się, ale jestem pewny — odparł Marko zmuszając się do uśmiechu, byle nam pomocy i czelhy dotrzymywały kroku. Z hukiem, wrzaskiem jak wichur wpadniemy na nich, muszą pierzchnąć...

Zbigniewowi dosyć tego było.

— A, gdybyśmy króla ojca do niewoli wzięli — odezwał się królewicz co z nim czynić będziemy?

— Wasza miłość na zamku go tym osadzić przystojnie, żeby mu na niczem nie zbywało, niech siedzi i dożywa wieku, do rządów się nie zdał. Przy kościele mu będzie najlepiej, a wy nam będziecie panowali.

— A z Sieciechem co zrobimy? — pytał rozchocony pan.

— Tego zetniemy, bo żywić się tak szkodliwego stworzenia nie godzi — mówił śmiało Marko. Ja Waszój miłości prosić będę o łup po nim żeby do mnie należał.

— Daję ci go — odparł Zbigniew.

Sobiejuha się pokłonił

— Może i brat młodszy popadnie się nam w ręce, z tym co? — mówił królewicz.

Mileząc Marko ręce obie do oczów przyłożył na źrenice nakazując.

Tak się naówczas, wyjęciem oczów pozbywano tych, którym życia odbierać niecheąc, czyniono ich niezdawnemi do niczego. Było to tak naturalném że Zbigniew mileżąc głową potwierdził wniosek, wcale się mu nie sprzeciwiając. Łaską było gdy się życie zostało.

— I królestwo zabiorę całe, dodał Zbigniew. W Płocku Dobka osadzę, was uczynię palatynem na miejscu Sieciecha, sam w Krakowie na Wawelu będę mieszkał, bo Kraków lubię.

— Weselszy jest i ładniejszy od Płocka—odezwał się Marko.

— I niewiasty piękniejsze ma, szepnął Zahon.

Wszyscy się rozśmiali, niektórzy poklaskując w dłonie, aż po namiocie się rozległo i za namiotem dobrą myśl slychać było.

Poszli na sen marząc o zwycięztwie, Marko tylko, choć tak o niém prawił, do namiotu przybywszy, koło wiązania sakiew krzątać się zaczął. Było mu jakoś nie swojo.

Nazajutrz w polskim obozie przygotowań żadnych widać nie było, Pomorcy zaczęli się ruszać i nie wiele swych namiotów zwijać zawczasu, worki a węzły, których mieli dużo, ściągali do kupy, koniom kopyta opatrywali. Czechy też mieczyki ostrzyli i zbroje przymierzali. Oni jedni nikogo już nie pytając, posłali swoich na zwiady,

przykazując im ażeby nie wracali aż wojsko królewskie będzie na mniej dnia drogi od Kruszwicy.

Puścili się wysłani, tym czasem już tego dnia zgorzeliznę mocno czuć było w powietrzu, dymy się podnosiły i opadały nad lasami. Nie było wątpliwości iż się królewscy przybliżać musieli.

Marko sakwy swoje kazał na konie przynieść, wdział na się co miał najlepszego i miodem w sobie ochotę a męztwo podbudzając, chodził i wykrzykiwał, toporek podnosząc do góry.

— Damyż my im ciegi, damy!

Nie tak wesółej myśli był Dobek, siedział w swoim namiocie na rękach podparty i stękał a przeklinał. Zmierzchało już gdy u wchodu do namiotu postrzegł cień, który w nim stanął.

Wpatrzył się w przechodzącego, ale mrok padał, poznać nie mógł kto był. Dopiero gdy się gość zbliżył, stanawszy tak iż mu światło na twarz nderzyło od wnętrza, poznał kapelana biskupiego, którego codzień prawie około obozu widywał. Niemłody człek, w grubą szatannę odziany z kijem w ręku, w czapce z futrem, pozdrowił go po cichu.

Dobek jako gościowi i duchownemu pierwsze miejsce dał w namiocie.

— Cożescie to ojeze, rzekł, tak późno do nas przyszli w goście?

Obejrzał się duchowny.

— W goście albo i nie, odpowiedział. Zawsze z dobrą wolą, z dobrém słowem:

— A! dobrego nam trzeba, bo złego mieliśmy i mamy podostatkiem — odczuwał się Dobek. Mówcie. ojcie kochany.

— Król się z wojskiem zbliża, rzekł ksiądz po cichu.

— My to wiemy — westchnął gospodarz.

— I syn przeciwko ojcu się bić będzie? spytał ksiądz.

— Gdy ojciec nań nastaje, bronić się musi.

— Sądzićież że się obronicie? — zapytał kapelan.

— Jeden Bóg wie — rzekł Dobek.

— Królowi ani na ludziach ani na wodzach nie zbywa! podolacież mu? mówił duchowny.

Westchnął Dobek.

— Cóż czynić mamy!

— Czemużby nie ślać do króla z pokorą i nie próbować przejednania? pytał kapelan.

— Bo nam go nie dadzą.

— Jakże o tém wicie? — począł duchowny. Miłoś to królowi, paun naszym z własną krwią wojować! — pogany widzieć prowadzone przeciw sobie?

Podniął Dobek i spojrzał księdzu w oczy.

— Czy wy to z siebie mówicie? — spytał.

Spuścił wzrok ksiądz.

— Ojciec nasz, pasterz radby zgodę uczynić,

rzekl. Przyjdzie li do boin miastu naszemu gro-
zi t  z niebezpiec  stwo. Id  cie do kr  lewicza,
pom  wcie z nim, czego chce.

Je  li mo  liwa rzecz, ojciec nasz przewielebny
po  redniczy  c b  dzie.

Zostawiwszy ksi  dza pod namiotem, poszed  
Dobek, cho   nie z wielk   nadziej   skutku do
Zbigniewa. Znalaz   go jak z Markiem o tych
krajach rozmawia   w kt  rych piasek na p  l jest
ze z  tem.

Na pierwsze s  owo o zgodzie, jakby go co
  gn  , poskoczy   kr  lewicz.

— Ho! ho krzykn  l zna     e si   nas boj  ,   e  my
dla nich za silni g  dy takich sztnk za  ywaj  .

A no — niech i tak b  dzie; jam nie od tego.
Ojciec mnie s  nyem pierworodnym niech uzna, p  l
kr  lestwa mi da i zwierzchni   w  adz  , Siciecho-
wi   eb da uci  c lub oczy wylupic  , zap  laci moich
sprzymierze  c  w! Mniej nie mog  c chcie   ani
przyj  c!

— Wasza mi  o  c za ma  o   adasz! — zakrzy-
cza   Marko, wi  cej nale  y nam. Niech kr  l pot
nasz krwawy op  laci grzywnami z  otemi a nie —
to nas pozna!

Pr   no Dobek chcia   rozprawia  , zahukano
go poszed   z t  m do ksi  dza, kt  ry s  owa ju  
nie rzek  szy na gr  d z t  m do biskupa powr  ci  .

Nazajutrz nowych wie  ci nie by  o, tylko zgo-

rzelizna coraz się mocniej czuć dawała w powietrzu, dymy przylatywały gorzkie.

Około południa przyszedł znów kapelan biskupi.

— Co mi przynosicie, ojeze! radośnie począł Dobek, wesół że go powracającego zobaczył, nie spodziewając się wcale.

— Przychodzę ze słowem ojca naszego, biskupa, rzekł stary ksiądz. Dziecku na łaskę ojca zdać się potrzeba a nie z rodzicem targować, w ten sposób miał jakiś otrzymać może i przebaczenie. Opatrzcie się dopóki czas, aby jutro nie było zapóźno.

Dobek mu popatrzył w oczy.

— Żartujecie! rzekł.

— Mówię jak mnie nauczono — odezwał się duchowny.

Poszedł z tém Dobek do Zbigniewa, ale tam zakrzyczano go i sponiewierano straszliwie.

— Nie nam przystało prosić i kłaniać się! — zawołał Marko, ale królowi Władysławowi, który syna swojego pierworodnego pokrzywdził.

Zacząto wywoływać srodze, odgrażać się straszliwie. Beczki tego dnia stały gęsto, pootwierane, wszyscy byli podochoceni, w głowach mocno szumiało.

Nie było co mówić z niemi, Dobek się wyśliznął i księdza z niczém odprawił.

Sobiejucha dowodził że nie darmo tak do nich o złość slano.

— Czuja oni żeśmy silniejsi, więc sromu unikając, zabi rają i proszą się.

Odgrzała się młodzież, radowali się starzy, rwało się wszystko do oręża, Zbigniew widział się już królem i zwycięzcą.

Mrok padał gęsty, a wesołość największa panowała w namiotach książęcych na pagorku, gdy Zahon wpadł trochę nie swój i jak przepłoszony.

— Niechno miłość wasza wyjść raczy i popatrzeć, zawołaj, bodaj czy nie królewscy to już obozują na kraju lasu, toć jutro chyba przyjdzie do rozprawy.

Nie tylko królewicz, ale co żyło z pod namiotów się wyrwało.

Noc już była prawie, a że księżyc na niebie nie stało i gwiazdy okryły obłoki, ciemność wielka zalegała do kola. W téj stronie od której puszcza stały, jak zajrzeć okiem, rzędami ognie się jakieś paliły. Było ich tyle i tak gęstych że gorzały prawie jako niezmiernie, jedno wielkie ognisko.

Nie mogło to być nic innego tylko obóz królewski, który puszcza wyrzuciła z siebie nagle, zatoczył się przed nim znienacka ognistym wałem i groźbą.

Nadbiegły w téjże chwili i czeskie szpięgi

wystraszone, zwiastując że cma okrutna ludu ciągnęła na Kruszwicę, że jakby z ziemi wyrastały oddziały coraz nowe, bo dopiero pod lasem tyle się ich razem zebrało.

Marko, który dotąd rad się przechwalał i odgrazał, głową trząsł i trzymając się pod boki, wąsy zagryzał.

Zbigniew, jako niedoświadczony wojak nie w tém jeszcze niebezpiecznego nie widział, gdy drudzy z liczby rozłożonych ognisk wnosili o sile królewskiego wojska.

Królewicz powtórzył tylko słyszane nieraz z ust Marka słowa.

— Jutro ich w puch rozbijemy.

Ani Dobek, ani nawet Sobiejucha nie potwierdzili tej zuchwałej wróżby. W obozie Czechów i Pomorców powstał ruch wielki, kupy się zbierały, Przemko na koniu oklep przybiegł nakazując rozpalone ogniska. Najmężniejszy z nich wszystkich nie był bez trwogi.

— Jeżeli umyślnie dla postrachu nie pozapalali ogni, ciężka będzie przeprawa rzekł. Jak na brzask pewnie nas napadną, stać trzeba pogotowin.

Marko, do którego się zwrócił Zbigniew, inną rady nie miał, tylko po staremu aby ludzi nakarmić i napoić do syta.

Gdzie kto miał stanąć, jak poczynąć, nie naradzano się nawet. Dobek nie położył się spać,

drudzy téż ze starszyny jęli objeżdżać pułki, ludzi przygotowując przez noc całą.

Napatrzywszy się na ogniska, Zbigniew spokojnie do namiotu powrócił i spać się układał, kazawszy rozbudzić o świcie.

Noc była czarna ale cicha, chmury zawisłe na niebie nawet się nie zdawały poruszać, odbijały się na nich błado czerwone luny, a dym przyciśnięty do ziemi rozchodził się i rozkładał aż ku jezioru. Wśród groźnej ciszy to psy zaszczeakały i zawyły, odpowiadając sobie zdala, to konie zarżały, to jakiś gwar dziwny, niby szmer tysiąca głosów cichych przesunął się w powietrzu i skończył na wodach jeziora.

W kościele na tymie na jutrznię dzwoniono gdy świtać zaczęło, zdala tentent powoły usłyszano, który się zdawał przybliżać nieznacznie.

Zachód obudził królewicza, bo czas było wdziewać zbroję...

Ołowiane światło dnia jesiennego, przezięrało przez szare obłoki.

IX.

Jakby na głos tego dzwonka co się ozwał z kruszwickiego kościoła czekano w królewskim obozie, wnet około namiotów ruch się rozpoczął znaczniejszy.

Stały namioty pańskie pod samym lasem u starych dębów, które już znaczniejszą część żółtych liści straciły. Rozbitych było ich kilka wielkich i ozdobnych dla Władysława, który wygodę potrzebywał, bo chory wyruszył z Płocka na rozkaz Sieciecha; dla królewicza Bolka i Władysława, dworu, kapelanów i starszyny.

Z wieczora już zapowiedział król Władysław że nazajutrz nie pocnie nic, dopoki się niepomodli i mszy świętej nie wysłucha, a błogosławieństwa Bożego nie otrzyma.

Sieciecha widać nie było na czele, nie miano-
wano go ażeby on dowodził, z ręki jego szli inni
on sam prawie się kryjąc, stał na uboczu, nie-
chcąc aby o nim widziano.

Na oko dowództwo było przy młodym Skar-
bimierzu, który się w szkole Sieciechowej wy-
ćwiczył. Na pulki królewskie dosyć spojrzeć by-
ło, by poznać że z niemi sprawa nie pójdzie łat-
wo. Żołnierz odziany, zbrojny należycie, nakar-
miony, nawykły iść na skinienie, poruszał się
wszystek jako jeden człek, w cichości i posłu-
szeństwie. Na zbroi i żelazie nie zbywało, ry-
chlej za dużo go było, niż za mało, bo ci zwłasz-
cza co z końmi szli, blach mieli poczepianych na
kaftanach do zbytku; tarczy, toporków, dzid, na-
goleńników i hełmów żelaznych było pełno.

Świtać ledwie poczynąło gdy Bolko królewicz
już się zerwał, budząc swoich około namiotu spo-
czywających i wołając że czas był się sposobić
do pochodu. Nocy niedospał, tak w nim wrzało
do tego boju, który się na jutro zapowiadał.

Wojśław trzymać go musiał i hamować coraz
lecz podolać temu było trudno. Królewicz za
wczasu począł się odziewać w bojowe suknie, nim
drudzy się z posłania ruszyli. On i młoda jego
służba, wesoło mieczami pobrzękiwała, przemyśla-
jąc jakiby oręż więcej przypasać mogła.

Bolko coraz to z namiotu wyrzwał.

— Dniejeli już? — nie dnieje? Czas czy nie?

Ranek był cichy, z góry nie padało nic, msza święta pod dębem odprawiać się miała. Przy-sposabiano już do niej wszystko, oltarz przykry-wano, aby gdy król się ukaze, o. Lambert już ubrany, mógł zaraz stanąć u oltarza. Od same-go Wrocławia przez drogę całą król był wielec milezący i smutny, napróżno się starano natchnąć go otuchą lepszą.

Modlił się, przeczcucia miał złe i płakał; wstyd mu było iść na dziecko własne. Do ostatniej chwili czekał azali się ono nie upokorzy i o łaskę prosić nie będzie.

Przybyli potajemnie z Kruszwicy od biskupa posłani i nie nie przywieźli.

Sieciech, który niepostrzeżony pilnował króla, możeby też był niedopuscił do zgody, pewnym będąc przewagi i zwycięztwa.

Gdy król już się odziewać miał i kożuch mu podawano, wszell wojewoda do namiotu, ubrany jak prosty człek, szarą na zbroję oponezą, aby pana uspokoił.

Drżący modlił się ciągle Władysław, spojrzeli na siebie, Sieciech już zwyciężcy miał postać.

— Niech się Miłość wasza, rzekł z uśmiechem, o bitwę tą nie troszczy. Nigdyśmy dzięki Bogu nie szli na nieprzyjaciela, pewniejsi zwycięztwa. W obozie ich nieład i niedostatek panuje. Ludzie

zbierani z różnych kątów, wódza brak. Jeżeli dostoją pierwszej napaści, rzeź sprawiemy okrutną.

Król strwożony ręce zacisnął.

— A! zabijać go nie każeć, rzekł po cichu, nie godzi się aby od moich ginął. Ojcem jestem.

Wojewoda nie odpowiedział, tylko mu się twarz pomarszczyła i ściągnęła.

Dniało, król zobaczywszy przez namiot z przodu odsłoniony że o. Lambert ze mszą wychodzić był gotów, prędko się ku ołtarzowi poruszył.

Do starego dębu niesiono za nim wezglowie, na którym pokłakł. Z odkrytymi głowami stało rycerstwo do koła, stał i Bolko, cały już żelazem okryty, więcej oczyma biegając ku Kruszwicy i nieprzyjaciół obozowi, niżeli pilnując modlitwy.

Msza upłynęła wśród uroczystego milczenia, jak kłosa od wiatru, uchylały się i podnosiły głowy, klękali i powstawali pobożni, po mszy zanęcono hymn do Bogarodzicy, cicho zrazu, lecz zaledwie odezwał od ołtarza, coraz większej liczby połączyły się głosy i uroczysta pieśń rozległa po całym obozie.

O góspodzie uwielbiona.

Mogli go ztąd posłyszeć stojący naprzeciw Polacy i zrozumieć że tą modlitwą przysposabiano się do walki.

Król nie powstał i nie ruszył się do ostatniego pieśni słowa, do pośledniego — Amen, które

silniej jeszcze niż śpiew, zagrzmiało echem wielkim po szeregach, kilkakroć powtarzane.

Niebo ciągle chmurne było, dzień wilgotny bezdźwięty, w powietrzu panowała cisza. Niekiedy tylko po nad skrajem lasu przeleciał wiatr niewiedzieć z kąd, liśćmi poruszył suchemi, podniósł je w górę i rzucił nieopodal drżące na ziemię.

Rozjaśniło się zupełnie. Pancernicy koni dosiadali i szykowali się tak, by wielkim kolem objąć obóz Zbigniewa i sam gród Kruszwicki.

Skarbiniarz przez szpiegi swe wiedział kędy stały Pomorcy, gdzie byli Czechy, gdzie zbiegowie polscy, Zbigniewa zaś, wśród walki, która się gotowała, łatwo się znaleźć spodziewano, wiedząc jaką się drużyną i hałasem otaczał.

Podano królowi konia okrytego, ale mu nie dopuścił Sicciech inaczej jechać jak za pułkami, otoczonemu strażą dobrze zbrojną i najmężniejszą.

Siadać już mieli, gdy król stojący w gotowości, a zdający się wahać jeszcze, skinął na syna, który się na konia spinał i z nim razem wszedł do namiotu. Prawie niechętnie Bolko cugle musiał porzucić i iść do ojca. Władysław stał w pustym namiocie, który już pacholkiwie opróżniwszy ściagać mieli, gdy Bolko, z niłodzieńczym ogniem w oku, rad ze swojego rycerskiego

rynsztunku, brzęczącego na nim wszedł do namiotu.

Król obie ręce na ramionach jego położywszy stał bezmównym długo.

— Dziecko moje, odezwał się po cichu — niech ci się dziś serce nie rwie do boju. Straszna ta walka będzie oplakana łzami mojemu. Wolalbym byś nie szedł na nią.

Królewicz zadrżał cały, aż zadźwięczały na nim żelaza i ojeu się do kolan pochylił.

— Miłościwy ojcze! a! nieżądajcież wy tego po mnie — nie żądajcie, nie strzymam się.

Wskazał ręką na wojsko szykujące się do ruszenia, na pulki które już wesole wyciągały w pole.

— Moje miejsce tam! tam! — zawołał.

— Nie, obok mnie — Bolku! Boję się o ciebie i niechęć abyś się spotykał z tamtym. — Bratem ci jest.

— Przeciwno ojeu idący wróg nie jest mi bratem! — zawołał Bolko. Znać go niechęć. Serce twoje zasmucił, stał się nieposłusznym.

Król ręce wyciągnąwszy znowu nim je położył na ramionach i zlekka ku sobie przycisnął.

— Bolku, dziecko moje, rzekł, jeśli chcesz iść bić się koniecznie, rycerskie słowo mi daj że j ego będziesz unikać.

Bolko zamilkł trochę.

— Nieznam go, rzekł.

— Poznasz, pokażą ludzie — odparł król — ocal go raczěj, nie walcz z nim, nie podnoś nań ręki, dla miłości mej.

Widząc łzy w oczach ojca stojące, Bolko zamilkł i rękę jego pocałował. Nie mówili więcj, za namiotem odzywały się rogi i ziemia tętniała.

W mileczeniu wziawszy błogosławieństwo ojcowskie, Bolko skoczył na gniadego konia, do którego był nawykły. Kilknaściu z drużyny, młodych, jak on zapalonych do boju, zbrojnych od stóp do głów towarzyszyli mu nie odstępnie.

Ani Wojśław ani żadna siła w świecie, gdy okrzyk bojowy się dał słyszeć, powstrzymać ich i jego nie mogła. Strzedz go już tylko było potrzeba, a odcinać, bo zapamiętały biegł za siebie nie patrząc, choćby się sam jeden miał pozostać.

Zawczasu się w nim burzyło przeciw Zbigniewowi, który ojca niecheiał szanować, gdy Bolko go kochał najczniej. Zapowiadał od dawna że gotów go własną ubić ręką, byle mu się nastęczył w boju, odgrażał się nań i zaklinał że mu nie darnie życia. Nie żeby z natury tak okrutnym był, lecz obrażonego ojca pragnął pomścić a w boju rozeznania nie miał, i wstrzymaćby się niepotrafił. Rozkazanie i prośby ojcowskie nie na wiele służyły.

Gdy się już rozstawione pułki ruszyły, król i Sieciceli musiał zaraz posłać po Bolka, który się zbyt naprzed wyrywał. Nakazywano mu

iść w pośrodku nęca i pierwszemu na harc nie wybiegać. Wojsław ocieężały, ze swym koniem równie jak on sam grubym i nieobrotnym, zaledwie się do wychowańca przysunął. Już za nim pozostawał w tyle. Nie pomagała ostroga ni popędzanie.

Wedle rozkazu Skarbimierza powolnym krokiem pulki się posuwały, opasując kolem szerokiem Zbigniewa obóz i miasto. W przeciwnem wojsku widać było pośpiech wielki i zamieszanie, pulki się dopiero ściągaly i szykowały na stanowiskach. Rogi odzywały się nawołując rozpierzełych, którzy jeszcze konie poili; i od jeziora się ściągali opieszale.

Sam widok wojsk królewskich mógł ustraszyc przeciwników, tak groźnym zastępem smęły się jako mur, gęsto zbite, najeżone dzidami i milczące...

Na staję przybliżywszy się królewscy, jakby przystanęli; każdy za oręż brał, łuk naciągał tarczę mocował, oszczep zwieszony podnosił, aby mu przy nderzeniu nie nie brakło.

Z drugiej strony miotano się w nieładzie, jakby niewiedząc co poczynąć. Już z miejsca na którym królewscy stali widać było gdzie Zbigniewa i starszyny szukać. Wiewał tam proporzec na długić żerdzi i żelazo poblyskiwało na pierśiach ludzi, którego gdzieindziej mało było.

Rozkazał Skarbimierz naprzód całą siłą rzucić

się na dowodzących, aby głowę odebrać nieprzyjacielowi. Zatrąbiono w rogi i ów mur, który się posuwał tak zwolna, teraz jakby nim wieher i burza rzuciła, padł wprost pędem wielkim na polskie pułki otaczające Zbigniewa.

Tu stał też najdzielniejszy żołnierz bo zbiegowie pamiętali że głów własnych bronić muszą, a Siecich im, gdyby się w jego ręce dostali, nie darzyć życia.

Bolko jak tylko rogi posłyszał i ruch poczuł okolo siebie, już go nie powstrzymać nie mogło. Niósł się jak jastrząb na stado spłoszone, młodeż wiodąc za sobą, gotów swoich własnych bić, gdyby mu śmieli zapierać drogę.

W jednej chwili zmieszalo się wszystko, oba wojska w jeden kłęb drgający się zbili. w jedno ciało miotające się jak smok ogromny; prac się wzajem, siekąc, rąbiąc i koląc.

Na prawo Pomorecy. ledwie dostawszy kroku, że tylni zajętego nie mieli, z wraskiem pierzchać zaczęli tłumnie. Ci co na przeciw nich stali, puścili się w pogoń za niemi. Czechy rzucili się pierwsi przeciw królewskim mężnie a rozpaczliwie bijąc się i tu bój zawziął się srogi.

Dobek i Marko, którzy przy Zbigniewie stali a ten niewiedząc co począć, błady na koniu siedząc w miejscu się okręcał, zrozumieli łącznie że nie dotrzymają królewskim.

Chcieli się więc cofnąć ku miastu, bo tam za

domami i ścianami obrona była łatwiejsza, a w razie ostatecznym i ucieczka mniej niebezpieczna. Lecz zaledwie się ku grodowi posunęli, gdy królewscy odcięli im do niego drogę, i na karki wsiadłszy, rozpoczęli zajądlą walkę. Bolko był w pierwszym rzędzie, zapomniawszy na prośby ojcowskie i o całym świecie, bo, gdy w nim krew zawrzała młoda, ślepym i głuchym się stawał.

Zbiegowie polscy z Dobkiem z Morawicy stali mężnie naprzeciw królewskiemu, broniąc się tak zacięcie iż kilkakroć szeregi ich złamali, ale coraz większemi kupami opasywano ich do koła, i garsć ta rycerzy, padać poczęła jak drzewa w puszczy, gdy wieher się w nią włanie.

Marko, ów wojewoda, który tak się obiecywał do walki, kędy teraz był nikt nie wiedział. Znikł nagle, a stało się to tak iż powiedzieć nie umiał żaden gdzie się podział, czy padł, czy go osaczono, ujęto, czy go ziemia pochłonęła.

Dosyć że go już nie było.

Z małą gromadką Zbigniew parł się ku miastu i zamkowi; blady, nienniejący mieczem nie oszczepem się bronić, zmuszony więcej za swą młodzież się ukrywać niż na własną liczyć siłę.

Nagle naprzeciw niego stanął Bolko; który po chorągwi i otoczeniu, albo raczej przeczuciem jakimś brata się w nim domyślał.

Zbigniew przyciśnięty przez niego, gdy inni mu w pomoc nie przybywali, pierwszy raz za

oreź pochwycił ręką drżącą i zamierzył się na niego.

Oczyrna starli się bracia — Bolkowi dłoń za-
drżała. Gdyby był słuchał zapaleczywości swojej
ubiłby go pewnie, mając przed sobą niezręcznego
do obrony i strwożonego; lzy ojcowskie stanęły
mu na pamięci i pominawszy go, z zajadłością
rzucił się w bok, niechcąc patrzeć nawet na Zbi-
gniewa. Towarzysze porwali go między siebie
i co żywiej z nim na wzgórze ku zamkowi po-
biegli.

Pierwszy co pod miecz Bolka się dostał, padł
ubity, gdy w tém koni jego pchnięty z boku osz-
czepem, na przednie upadł nogi, łbem na ziemię.
Lecz Bolko już stał, a towarzysza wierny, drugie-
go mu poddał wierzchowca. Nim go dosiadł
i obejrzał się, oddział otaczający Zbigniewa
i część Polaków na gród się już wdarła.

Tyle tylko ujsć ich zdołało od miecza wojsk
królewskich, które zwyciężkiego boju dokony-
wały, osaczywszy w koło resztę nieprzyjaciół
broniących się z wściekłością, bo jeńców brać
nie chciano. Bój wkrótce w rzeź się zamienił.
Z jednej strony wojska były Władysławowe,
z drugiej jezioro; śmierci wybór tylko od żelaza
lub wody. Ci, którzy z rozpaczny wpływ się rzu-
cili, mając na sobie kaftany ciężkie i żelazo, nie-
mogąc się utrzymać na wodzie, tonęli natychmiast
prawie. Niektórzy dobywali się bezsilnie, i zale-

dwie ukazawszy głowy, szli znowu na dno. Do innych strzelano i dobijano kamieniami.

Na falach widać było pływające ciała i potopione konie.

Dzikim rykiem i jękami rozlegała się okolica,

Jakaś część Czechów okrwawionych, garść ocalała zbiegów polskich, po stosach trupów usiłowała się dostać do miasteczka, z którego ludność przerażona z krzykiem uciekała na pole, domy, dzieci, nienie zostawiając na pastwę rozjuszonego żołnierstwa. W tém z rozkazu czy z przypadku, podłożony czy zażegnany przez nieostrożność ogień buchnął ze strzech słomianych, gęste kłęby dymu poczęły się podnosić w powietrze. Wicher, jakby hasła czekał zerwał się nagle i poniósł iskry i płomień na sąsiednie domostwa.

Wkrótce cała osada drewniana była już jakby morzem płomieni, po nad trupów stosami, bo wojsko biło i mordowało kogo napadło, chucią krwi i zabójstwa miotane. Z pagórka gdzieniegdzie jak po deszczu strumienie, toczyły się strugi krwawe.

Ogień, miecz, woda dokonywały razem straszego dzieła zniszczenia i śmierci.

Stało się co się dzieje gdy człowiek, własnego życia broniąc, zdziczeje i szaleńcem się miesie. Ludzie bili, zarzynali, mordowali bezbronnych, starców i dzieci, znęcali się nad trupami, jakby

chcieli ażeby nie żywego nie pozostało na ziemi. Pomorców bijąc ścigali jedni, drudzy osaczonych Czechów żelaza im trzymając na gardle spychali do wody, inni żagwie płonące rzucali na chaty które jeszcze całe stały. Garść zbiegów z Dobkiem na czele, broniła się ze lwim męstwem, ale z gromady stała się wkrótce kupką, później garścią, wreszcie za stosem trupów trzymało się ich kilku, trzech: jeden, ostatni.

Płynął cały krwią, chwiał się na nogach, oczy mu zalewała posoka, mieczem konwulsyjnie młotał niewiedząc już nic, aż obalił się i on jak dąb na ciała pobitych braci.

Bolko z drużyną swą, na przedzie był gdzie waleczono, zbroję miał potłuczoną oszczepami, helm pocięty, trzeciego konia pod sobą. Krwi na szatach szerokie stały plamy. Dyszał zmęczony a nie mógł i nie chciał odpocząć, dopóki bój słyszał i czuł w koło siebie.

Pod wieczór już straszliwe owe pobojuwisko, jednem było śmierci łóżem. Jeńców nie brał nikt... Całe brzegi jeziora stały okryte trupami ludzi, ścierwem koni, nad którymi sterczały polamane oszczepy i pokruszone pociski. Czeladź obozowa już plądrowała ściągając poobnażane zwłoki ku wodzie, spychając je do Gopła.

Jak zajrzeć było, na zmaconych jeziora, bieleły gęściej coraz unoszące stę trupy.

Król stał na wzgórzu i oczy zakrywał aby

nie patrzeć na widok ten straszny i krwawy. Woń pobojowiska odetchnąć mu nie dawała, a odejść nie mógł i oczów na długo od grozy tej oderwać. Szukał niemi syna.

Bolko zostawszy ze swemi na pobojowisku, napróżno się oglądał z kimby jeszcze mógł walczyć, nieprzyjaciela już nie było. Nad wieczór na wrzawliwem polu panowała cisza pustynna.

Garść tylko szczupła ze Zbigniewem schroniła się do gródu, ale w nim o obronie i trzymaniu się ani myśleć nie mogła. Zamek opasany był do koła. U stóp jego dogorywało spustoszone miasteczko, wyludnione, zniszczone na wieki, gdyż co nie uszło zawczasu, padło od nielitościwego żołnierza.

Modlił się król, gdy grubą odziany opończą przyszedł Sieciech i wskazał mu na wieżęcę grodu.

— Tam jest, rzekł.

Król odetchnął.

— Oddaję go opiece twój i straży, odezwał się drżącym głosem — ale o życie dla niego — o życie proszę!

I podał Sieciechowi dłoń, który dumnie się jakoś zawahał, nim jęj dotknął.

— Miłościwy panie rzekł — masz tam litość gdzie się jęj mieć nie godzi. Nastawał na życie twe, na królestwo, na powagę ojca, na nkochane dziecię twoje — oreż na ciebie podniósł...

— Chcę by żył! — powtórzył król z siłą wielką.

— Tak — odparł szydersko Sieciech — aby tobie panie i synowi twemu życie zatruwał. — Chcesz? stanąć się po woli twój, każę go oszczędzić.

— Życie! tylko życie! — zawołał król. — Zamkniesz go, niech siedzi i pokutuje.

Wojewoda poruszył się prawie gniewnie. Nadbiegła gromada żołnierzy ze Skarbinierzem, który bojem rozpalony i zagorzały, na zamek wskazywał, bo tehać i mówić nie mógł.

— Zabrać tych co tam są! — zawołał Sieciech, oczy ku wiży skierowawszy.

A król — dodał żywo — życie mu kazał zachować!

Gdy tych słów domawiał, zbliżył się Bolko na koniu również jak i on okrwawionym, ale z twarzą jasną i wesolą. Dumnie wskazał ojcu ręką na pobojuwisko i jezioro.

Namoty rozbijano, zsiadł z konia i ledwie rękę ojca ucałowawszy, który za nim gonił oczyma, padł znużony na ziemię. Chłopcy mu przynieśli w kubku wino, bo wody nie było żadnej, którójby użyć można. Studnie w mieście, jezioro trupy zaległy.

Przez długi potężny czas jeszcze w opustoszałej Kruszwicy nikt nie zaczerpnął z zatrutego Gopła wody, nikt ryb z niego nie dobywał, ludzkim mięsem utuczonych.

Skarbimierz lękając się, aby mu garść ludzi z królewiczem na zamek zbiegłych nie uszła, pośpieszył na gród, który już miano na oku. Wrota były zaparte, ale o obronie nikt nie myślał...

Gdy królewscy przybyli do bramy, kazał Skarbimierz zatrzeć, ale na odgłos ten, długo się nikt nie zjawił. Już miano zacząć tłuc i rozbijać wrota gdy w furcie człowiek się pokazał.

Do rozmów zwycięzcy nie mieli czasu ni ochoty.

— Wrota otwierać! — krzyknął Skarbimierz, gdy ja je wylamię, nie wyjdzie nikt cało, wybić każę wszystkich tak, jakieśmy wybili tych co tam leżą.

Wskazał na brzegi jeziora.

— Wrota otwierać! — krzyknęli drudzy — bramę na oścież!

Po krótkiej chwili wahania, poczęto drągi odwalać, zwolna odchyliły się ciężkie wrota, kilkudziesięciu ciurów stojących za niemi, padło na kolana przed Skarbimierzem, czoła chyląc ku ziemi. Nikt i nie spojrzał na nich. Królewscy poczęli zajmować wnijsie i rozgaszczać się na zamku. Pochwyconych jeńców łykami wiązać zaczęto.

— Gdzie Zbigniew? — zapytał Skarbimierz.

Nie mówiąc nic ludzie pokazali dworzec pod wieżą. Wódz z kilku ludźmi poszedł do drzwi, w które oszczepami bić zaczęto.

Niedługo czekali, gdy im je bez oporu naosćcież otwarto. Pacholę, które stało w progu drżące, na zapytanie o Zbigniewa, okazało drzwi na prawo.

Skarbimierz wodzem i żołnierzem był dzielnym, człowiekiem zinnym i dumnym, w boju się nie rozgrzewał zbytnio, jękami nie rozcznął. Jakim szedł na walkę, takim powracał; ciało się znużyło tylko, dusza była spokojna. Patrząc na twarz jego niktby nie odgadł zwyciężył czy przegrał; — cieszyć się jawnie ani smucić nie umiał. Kamiennym go zwano, bo i w boju, choćby najsiłniej rannym był, nie stęknął. Obawiał się go żołnierz, ale poszanowanie mieli wszyscy. Okrutnym nie był ani miękkim. Patrzył na śmierć zinném okiem, męczarni niechęć przyczyniać nikomu.

Izby stały otworem, puste, jedna za drugą. W ostatniej u ściany na ławie spostrzegł Skarbimierz siedzącego człowieka, nad którym drugi stał z boku z rękami spuszczonemi.

Zbigniew błady, oparty był na łokeiu, nsta miał zaciśnięte, w oczach wyraz zarazem dziki i strwożony.

Nim Skarbimierz wszedł i mógł doń przemówić, zmierzył go wzrokiem królewicz, jakby chciał nieprzyjaciela poznać i los swój przyszły z niego odgadnąć, — niósł mu śmierć, oślepienie czy życie i łaskę?

Ostatniej mało się mógł spodziewać, jeńcem był krwią drogą oknpionym, krnąbrnym przeciw ojcu i królowi. Ujrawszy przystępującego Skarbimierza wahał się czy ma wstać i upokorzyć się przed nim, czy resztką dumy i przebiegłości z nim walczyć. Poruszył się i pozostał w miejscu, podniósł znowu i padł, nie pewien siebie, czoło tarł ręką, oczy spuszczał. Wreszcie jakby siłą jakąś rzneony — wstał. Skarbimierz długo nań patrzył nim się odezwał.

— Królewski rozkaz jest, abyście więźniem byli — odezwał się krótko. Zechcecie li zbiedz lub z zamku się wyzwolić, życia waszego nie będą szczedzić.

Z pod brwi nawisłych popatrzył Zbigniew.

— Wiem że jeńcem — odezwał się ośmieszony — ale jestem królewskim synem, o tem ja nie mogę, a wy zapominać nie powinniście.

— Syn co się na ojca porwał, dzieckiem być przestaje — surowo odparł Skarbimierz. Miłosierdzin króla winniście życie; znajcie się do tego.

W pierwszej izbie zbrojni ludzie, którzy przyszli ze Skarbimierzem, stali pogotowiu niewiedząc co im przykażą. Ten, nieczekając już odpowiedzi, zwrócił się ku nim i pokazał na Zbigniewa.

— Więzień jest wasz — rzekł — strzedz go macie pilno, abyście zań głowami nie odpowiadali.

Kilku się natychmiast zbliżyło.

— Strzedz go dzień i noc, taki jest rozkaz króla, pana naszego — powtórzył Skarbimierz.

Namyslił się Zbigniew i gdy dowódzca miał już odejść, zbliżył się doń z niegrabną mieszaniną dumy i pokory, krokiem niepewnym.

— Chciałbym mówić z wami — odezwał się głosem niższym.

— Ja nie z wami do mówienia nie mam — odparł zimno Skarbimierz.

— Jesteście chrześcijańskim człowiekiem — rzekł król — możecie nieszczęśliwego przez miłosierdzie posłuchać.

Wódz skinął na ludzi aby się oddalili i zatrzymał się w progach.

— Ja — odezwał się z wolna wzrokiem badając przeciwnika Zbigniew — nie tak winnym jestem przeciw królowi i ojcu memu jak się zdaje. Szedłem nie po własnej woli. Z klasztoru mnie wzięto gwałtem, prowadzono tak samo. Nie chciałem być przeciwko ojcu, zmuszono mnie. Byłem w ręku tych ludzi zakładnikiem. Mamże za to odpowiadać, czując się niewinnym?

Popatrzał nań trochę zdziwiony Skarbimierz.

— Prawicie dziś tak — rzekł — bo was zwyciężono i złamano. We Wrocławiu sprawialiście się inaczej, ludzie świadczą o waszych słowach i uczynkach.

— Ludzie winę własną składają na mnie, oszczercy są! niegodziwi! — zaczął nabierając

coraz odwagi królewicz. — Bądźcie mi orędownikiem, miłośnicy panie, a jeśli nie chcecie więcej nie uczynić, odnieście słowa te królowi ojcu memu — niewinny jestem.

Skarbimierz popatrzał nań z góry, nie odpowiedział nic i wyszedł z izby powoli. Zbigniew wrócił na siedzenie swe i padł na nie zamyślony. Strażnicy nowi cisnęli się do izby ciekawie. Zahon więc pobiegł ku drzwiom i zamknął je przed nimi.

Sami zostali we dwu. Zbigniew obejrzał się bojaźliwie, odetchnął, jakby mu wolniej było i podniósł głowę ku stojącemu Zahoniowi, z wyrazem szyderstwa i złości razem.

— Słyszałeś Zahon — rzekł po cichu — słyszałeś jak mówiłem do niego? nieprawdaż? mógł pomyśleć i uwierzyć, że jestem niewinny? Dobrze mówiłem. Albo nie było płaczu w głosie i żalu w oczach? Widziałeś?

Chłopak głową skinął.

— Ha! złego jeszcze tak bardzo nie ma nie gdy życie jest! — mówił królewicz. Ci co poginęli głupi byli! Z klasztoru się wyzwoliłem, a w więzieniu wiecznie siedzieć nie będę. Gdyby mi oczy chcieli wyknąć przysłali by zaraz z żelazem człeka... Jeszcze nie ma nie straconego!

Rozśmiał się cicho sam do siebie. Zahon wyłękły stał nieśmiając wyrzec słowa.

— Król mi życia nie weźmie — począł po

krótkim namyśle — nie, dzieckiem jego jestem. Sieciech nie będzie śmiał. Nie! Pokorę udawać trzeba i kajać się przed niemi! Co robić!

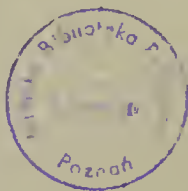
Dziwna jakaś otucha wstąpiła w niego nagle; zapomniawszy rzezi, trupów, pożogi, radował się tylko temu, że sam z nich wyszedł cały, powtarzając dziecinnie.

— Nie ma nic straconego, gdy życie jest!

Obojętność ta królewicza, nawet Zahonia zdawała się strachem przejmować i podziwieniem. Chłopak który po raz pierwszy śmierć widział zblizka, słyszał jęki konających, krzyki męczonych, płacz uchodzących kobiet, które padaly po drodze tuląc dzieci; patrzył na krew spływającą strumieniami i stojącą kałużami — wzdrygał się na te straszliwe wspomnienia; Zbigniew myślał już tylko o sobie. Nie spytał o wiernego Dobka, nie dowiadywał się o ulubionego Marka, nie zabolął nad stratą ludzi których postradał.

On sam rannym nawet nie był, miecz jego nie obmył się we krwi; czuł tylko głód dokuczliwy i pragnienie, które mu usta paliło.

Koniec tomu 1go.



Biblioteka Raczyńskich

JK 986



JK0986